★ Piosenki Franka Kimono!
★ Jak straszna jest wojna
★ Listy w sprawie Agnieszki
★ Korespondencja z Paryża

Łódź
tygodnik społeczno-kulturalny
Odgłosy
NUMER 29 (1320) ROK XXVI 16 LIPCA 1983 ROKU CENA 15 ZŁ

Grażyna Szapołowska

Chcę być gwiazdą

BOHDAN GADOMSKI

GWIAZDA. Kto to właściwie jest? Podobno może, ale nie musi być obdarzona wielkim talentem aktorskim. Musi natomiast fascynować własną osobowością, który to dar sprawia, że w pewnych warunkach zostaje uznana za ideał urody i wzór stylu życia. Mężczyźni ją uwielbiają, kobiety starają się do niej upodobnić i wiernie naśladują jej sposób obcowania z mężczyznami.

Ponieważ w tym roku komisja egzaminacyjna PWSFTviT w Łodzi (Wydział Aktorski) na czele z dziekanem **Janem Machulskim** preferowała tak oświadczył w telewizyjnym wywiadzie dziekan) właśnie osobowości, ludzi zdolnych zainteresować sobą na egzaminie, na scenie, w filmie, postanowiłem przypomnieć drogę na „gwiazdorski Olimp" wybranych z zestawu swoich licznych rozmówców (aktorek i aktorów), którym mniej lub bardziej powiodło się w zawodzie. Piękne dziewczyny, wspaniali chłopcy, wybrańcy losu, reżyserów, zaakceptowani przez widzów. Rodzime gwiazdy, gwiazdki i gwiazdeczki...

— Jak trafili do zawodu aktorskiego, który przyniósł im spełnione nadzieje i nieprzewidziane rozczarowania?

— Co sądzą o wybranym przez siebie zawodzie i tzw. w nim karierze?

— Czy czują się gwiazdami?

Artykuł „Chcę być gwiazdą", „Chcę być gwiazdorem" (dwie części) dedykuję tegorocznym kandydatom na wydziały aktorskie szkół teatralnych i filmowej na terenie kraju. Adresuję go do tych, którzy znaleźli się w gronie szczęśliwych wybrańców i do tych, którym się nie powiodło w konkursowych egzaminach, ale nie stracili nadziei na udany start za rok.

Bohaterkami pierwszej części publikacji są:

KRYSTYNA JANDA — aktorka Teatru „Ateneum" w Warszawie, znana z wielu ról w filmie i TV, jedyna spośród polskich aktorek, które grają czołowe role w filmach zachodnich. Osobowość. Gwiazda. Wszechstronnie uzdolniona aktorka.

GRAŻYNA SZAPOŁOWSKA — aktorka Teatru Narodowego w Warszawie. Coraz pewniej wchodzi do filmu, gra w Jugosławii, na Węgrzech, była jedna z „ozdób" ub. MFF w Cannes. Jedna z najpiękniejszych dziś aktorek filmu polskiego.

BOŻENA ADAMEK — aktorka Teatru „Bagatela" w Krakowie. Pamiętna Julia z telewizyjnego spektaklu „Romeo i Julia". Odkryta przez film, nadająca odtwarzanym postaciom rysy swojej specyficznej osobowości kobiety-dziecka.

EWA ŻUKOWSKA — aktorka Teatru Narodowego. Szkoda, że obecnie nie wykorzystywana w zawodzie na miarę swego talentu i interesującej osobowości.

HALINA ROWICKA — aktorka Teatru Narodowego. Wspaniałe warunki do grania ról z wielkiego repertuaru romantycznego. Nie wykorzystana przez film, niebawem będzie gościem w naszych domach jako bohaterka kolejnych odcinków serialu „Dom".

DOROTA KAMIŃSKA — aktorka Teatru „Studio" w Warszawie. Mogłaby wygrać konkurs „Miss Polonia" lub „Piękne dziewczęta na ekrany". Tymczasem wchodzi jako dyplomowana aktorka do nowych polskich filmów kinowych i telewizyjnych. Czekała na odkrycie cztery lata.

„Chciałabym zostać aktorką, a jeszcze bardziej gwiazdą filmową. Taką prawdziwą, co to pięknie wygląda, nosi wspaniałe kostiumy, na ręku trzyma pieska rzadkiej rasy za dolary, zarabia mnóstwo zielonych pieniędzy, zwiedza sobie cały świat i pisze się o niej i mówi bardzo dużo. Moim ideałem jest Krystyna Janda".

Beata z Inowrocławia

MÓWI KRYSTYNA JANDA:

— Malowałam obrazy i interesowałam się sztuką plastyczną. Dlatego ukończyłam Liceum Sztuk Plastycznych. Lubiłam tańczyć, dlatego uczyłam się tej sztuki w Studio Baletowym Operetki Warszawskiej. Nie mniej, a może nawet więcej lubiłam śpiewać, dlatego ukończyłam szkołę muzyczną. A w ogóle to chciałam zostać grafikiem żurnalowym, trafiłam jednak do warszawskiej PWST i... zostałam aktorką.

— Dziś myślę, że ma znaczenie jak się ten zawód wykonuje, co ma się w środku, jakie role się przyjmuje jaki ma się światopogląd, jakim jest się człowiekiem, jakich ma się przyjaciół. Ważna jest świadomość — czym jest zawód aktorki?

— Czy jestem z siebie zadowolona? To zależy pod jakim względem, jeśli chodzi o sprawy zawodowe, za granicą zawsze mówię: zagrałam to tak, jakbym zagrała w Polsce i to na razie wystarczy jako kryterium własnej oceny. Ale grać na Zachodzie jest naprawdę trudno: w innym języku, wśród innych ludzi, z innej kultury. Przy tym zachować to, co jest osobiste oraz nie starać się zmieniać, aby przypodobać się nowym widzom w nowym kraju. Albo podoba im się to jaka jest Krystyna Janda, Polka, aktorka tak a nie inaczej myśląca, o takim a nie innym języku zawodowym, albo koniec. W każdym razie nie będę się dostosowywać. I nie jest to duma ani pycha, tylko staram się bazować ciągle na tym, co rozumiem, umiem i co jest moim jedynym kapitałem.

— Czemu przypisuje swoje powodzenie? Może szczęściu, tylko, że jemu trzeba pomagać. Nigdy nie byłam rozpieszczana przez polską krytykę, która nie pozwalała mi na błędy młodości

Victoria wiedeńska

Czytaj strona 5

Pomnik Jana III Sobieskiego w Gdańsku

Prywatna prośba do ministra budownictwa

Nie muszę chyba nikogo przekonywać, że budownictwo ma ogromne znaczenie polityczne i społeczne. Polityczne, bo sposób rozwiązywania kwestii mieszkaniowej decyduje o ocenie sprawności działania władz administracyjnych. Społeczne — bo właściwe rozwiązywanie kwestii mieszkaniowej decyduje o prawidłowym rozwoju społeczeństwa. Wszyscy chyba dokładnie wiemy, że obecnie budownictwo znajduje się w głębokim kryzysie, buduje się więc znacznie mniej domów, niż to było kiedyś, a ludzi oczekujących na mieszkania przybywa. W Łodzi na przykład budowano niegdyś ok. 11 tysięcy mieszkań, a w tym roku plan zakłada wybudowanie 5.300. I osiągnięcie tych zamierzeń nie przyjdzie łatwo.

Trudności, z jakimi boryka się budownictwo też nie są dla nikogo tajemnicą. Brak materiałów budowlanych, stali, farb, kabli energetycznych, fabryki domów pracują przy wykorzystaniu około 40 proc. swych możliwości, a poza tym brakuje ludzi. Z łódzkich przedsiębiorstw budowlanych odeszło około 11 tys. osób. Ale przecież budownictwo nie jest jedyną dziedziną gospodarki, która cierpi na liczne braki z powodu panującego kryzysu. W budownictwie, jak i w innych dziedzinach gospodarki szuka się sposobów przezwyciężenia tych trudności. Czy szuka się skutecznie?

Minister Stanisław Kukuryka, występując na posiedzeniu Komitetu Łódzkiego PZPR, powiedział, że w kraju osiągnie się planowane 115 tys. mieszkań i może nawet przekroczy się tę wielkość, natomiast w Łodzi z trudem być może uda się wybudować planowane 5.300 mieszkań. W kraju, w pierwszym półroczu osiągnięto 48 proc planu budownictwa mieszkaniowego, a w Łodzi — 41 procent.

Rzecz jednak nie tylko w tym.

Tak się składa, że na ogół wszyscy są za reformą. I słusznie. Ale deklaracja na rzecz wprowadzania w życie reformy, to jedno, a praktyka — to drugie. Na wspomnianym posiedzeniu KŁ PZPR jeden z dyskutantów zwrócił się z prywatną prośbą do ministra w społecznej sprawie. Domagał się, aby minister dał jego przedsiębiorstwu ileś tam metrów kwadratowych płytek pcv. Ktoś inny dziwił się, że poszukiwana przez budownictwo stal jest w GS, a nie ma w jego przedsiębiorstwie. Jeszcze ktoś inny również dziwił się, że inwestorzy nie związani z budownictwem dysponują farbami, a nie mają farb choćby przedsiębiorstwa wykonujące remonty. Na to wszystko zdziwił się minister Stanisław Kukuryka, posądzając niektórych dyskutantów, że tęsknią do systemu nakazowo-rozdzielczego.

Skoro przedsiębiorstwa budowlane są samodzielne i samorządne, to powinny same szukać również rozwiązywania swoich trudności, a nie oczekiwać, że załatwi to za nich minister. Teraz już trudno zwalać winę na nieudolność ministerstwa. Ono powinno troszczyć się o właściwą politykę w budownictwie. Na przykład dążyć do tego, aby produkcja materiałów budowlanych wyprzedzała produkcję i montaż w przedsiębiorstwach budowlanych.

Inny przykład. Budownictwo szuka nie tylko rozwiązań w poprawie organizacji pracy i zaopatrzenia, ale też w strukturze przedsiębiorstw budowlanych. Szuka się odpowiedzi na pytanie: duże czy małe? Jedni skłaniają się do tego, aby powołać więcej małych przedsiębiorstw, a inni uważają, że posiadana liczba pracowników administracji może obsłużyć czterokrotnie większą liczbę robotników niż czyni to obecnie, a więc nie ma po co powoływać więcej małych przedsiębiorstw. Ale może być inne podejście do tej ostatniej kwestii. Skoro określona liczba pracowników administracji potrafi obsłużyć więcej robotników, a tych akurat nie ma, to może należy pomniejszyć na przykład czterokrotnie liczbę pracowników administracji? Zadecydować o tym znów muszą same przedsiębiorstwa.

Kto spodziewał się, że KŁ PZPR na swym posiedzeniu znajdzie wszelkie skuteczne recepty na kłopoty budownictwa, ten zawiódł się srodze. Ale kto uważnie przysłuchiwał się dyskusji i wyciągnął z niej wnioski, ten nie tylko poznał stan świadomości ludzi budownictwem zajmujących się, ale też zrozumiał, jakie działania, i w jakich kierunkach, należy podjąć, aby budownictwo mogło powoli wychodzić z kryzysu. A to już dużo.

LUCJAN BOGUSZ

Minął tydzień

W POLITYCE

Obradujący 9 lipca 1983 roku Komitet Wykonawczy Rady Krajowej PRON zwrócił się do najwyższych władz w państwie o zniesienie stanu wojennego.

PROTEST MATKI

„Sztandar Młodych" opublikował w piątek 8 lipca 1983 roku wywiad z Marią Hlasko — matką Marka Hlasko. Rozmowa ta jest konsekwencją opublikowania przez „SM" artykułu Grażyny Cudak pt. „Drugi powrót Hlaski", w którym to artykule G. Cudak zarzuciła autorowi „Pierwszego kroku w chmurach" współpracę z Radiem Wolna Europa oraz popełnienie samobójstwa. Maria Hlasko zaprzecza jednemu i drugiemu. Utrzymuje ona, że Marek Hlasko konsekwentnie odmawiał współpracy z RWE, że starał się o powrót do kraju i że nie popełnił samobójstwa. Na grobie syna umieściła napis: „Żył krótko. A wszyscy byli odwróceni".

Co było więc przyczyną nagłej śmierci Marka Hlasko?

— „Rozmawiałam z lekarzem — mówi Maria Hlasko. — Stwierdził, że Marek zażył środki nasenne. Czynił to zawsze i bardzo ostrożnie. Tym razem serce nie wytrzymało. Gdy był dzieckiem, już wtedy lekarze stwierdzili dysproporcje między wielkością serca a sylwetką. Serce miał zbyt małe... Pękło 14 stycznia 1969 r.".

Maria Hlasko zapewnia, że póki jej sił starczy będzie walczyła o dobre imię syna, a na pytanie: czy zna całą prawdę o synu? — odpowiedziała pytaniem, czy jej rozmówcy znają całą prawdę o swoich najbliższych?

CO SPŁYWA DO ZATOKI GDAŃSKIEJ!

Państwowa Inspekcja Ochrony Środowiska opracowała raport o stanie zanieczyszczenia Zatoki Gdańskiej. Z raportu tego wynika, że Zatoka Gdańska znajduje się już w stanie zagrożenia katastrofą ekologiczną. Do wód Zatoki Gdańskiej spływa w ciągu doby 400 metrów sześciennych ścieków z miejskoprzemysłowej aglomeracji gdańskiej. Z wodami Wisły spływa do Zatoki Gdańskiej w ciągu doby 132 tony substancji tłuszczowych i olejowych, przeszło 6 ton detergentów oraz spore ilości środków ochrony roślin i innych chemikaliów.

Taka mieszanka wody w Zatoce Gdańskiej likwiduje życie biologiczne, staje się źródłem epidemii, które będą atakowały ludzi zamieszkujących w tym pasie, niszczy wartość krajobrazową i rekreacyjną tego rejonu kraju.

Ograniczenie negatywnych przyczyn niszczenia walorów zdrowotnych, krajobrazowych i gospodarczych rejonu Zatoki Gdańskiej może spowodować tylko częściowe ograniczenie złych skutków i to w dość długim czasie. Całkowicie nie da się tego już zlikwidować, co człowiek sam przeciw sobie zrobił.

DYSKOTEKA W KURNIKU

Sprawa jest dość znana. Waldemar Kass zamiast hodować kury w specjalnie na ten cel wybudowanym kurniku, założył tam... dyskotekę. Stało się to w Chrząstowicach, 10 km od Opola. Młodzieży to się podobało. Ale mieszkańcom i władzom wsi oraz gminy — nie. Zaczął się konflikt. Część winy spadła również na... dziennikarzy, bo o tym pisali, mówili i pokazywali w telewizji i Polskiej Kronice Filmowej. Nie pomogła opieka wojewódzkich władz ZSMP w Opolu. Ostatnio „Sztandar Młodych" oraz ZW ZSMP wystąpiły z propozycją kompromisową, aby wydzierżawić od W. Kassa kurnik, W. Kassa nająć do pracy, aby nie stracić ani lokalu dobrze już przygotowanego do wszelkiego rodzaju imprez, ani człowieka, który umie to zrobić. I to wszystko 10 km od Opola — stolicy polskiej piosenki.

WOZEM DO LOS ANGELES

Dwaj znani trenerzy lekkoatletyczni Jan Mulak i Zbigniew Majewski postanowili odbyć podróż do Los Angeles wozem zaprzężonym w tarpany. Start 5 maja 1984 roku z Drzonkowa. Przybycie do Los Angeles 1 października 1984 roku. Cała trasa wozem, tylko przez Atlantyk statkiem. Obaj panowie M. nie są już młodymi ludźmi i nie boją się takich trudów podróży. A co na to młodzi?

BYŁO — MINĘŁO!

„Express Ilustrowany" ze łzą w oku wspomina czasy, kiedy to następnego dnia można było kupić w miejscowościach wczasowych nie tylko łódzkie gazety. Dziś okazuje się to być niemożliwe. Poniedziałkowe gazety docierałyby do Świnoujścia dopiero w czwartek. Kto by je wtedy kupował? Nie ma więc o czym mówić. Jest! Jeśli do każdego poczynania będziemy przykładali schemat: — to niemożliwe, to oczywiście nic nie zrobimy. A ja uważam nadal, że łódzkie gazety mogą być następnego dnia w kioskach miejscowości wczasowych. Tylko komu na tym zależy i komu chciałoby się tego dopiąć? Oto jest pytanie!

STAŁO SIĘ!

Losowanie pierwszych par europejskich pucharowych rozgrywek dało gdańskiej Lechii silnego przeciwnika — Juventus Turyn. W Gdańsku w związku z tym mówią, że jak spaść z konia to dobrego. Ale to przecież nie zmieni istoty rzeczy, nie podniesie automatycznie rangi Pucharu Polski. Ośmieszy naszą piłkę nożną w oczach Europy. No bo przecież nie da się ukryć faktu, że zdobywcą Pucharu Polski została trzecioligowa drużyna, która ledwie awansowała do drugiej ligi. Inne — nawet drugoligowe zespoły miały Puchar Polski w „głębokim poważaniu". Taką polityką w piłce nożnej daleko nie ujedziemy. Jedyna nadzieja w tym, że piłkarze Juventusu będą mieli litość nad drugoligowcami z Gdańska i pozwolą im chociaż pograć dla honoru. Oby!

A. B. SEKATOR

Jakie trudności napotykają związkowcy?

Niedawno w *Widzewskich Zakładach Przemysłu Bawełnianego 1 Maja* odbyło się spotkanie delegatów organizacji związkowych z całej Polski. Na tym spotkaniu zadecydowano o utworzeniu *Federacji Niezależnych Samorządnych Związków Zawodowych Przemysłu Lekkiego*, w której, obok zakładów przemysłu wełnianego, bawełnianego, lniarskiego, jedwabniczego, uczestniczą także zakłady odzieżowe, dziewiarskie, skórzane oraz przemysłu filcowego i tkanin technicznych.

Na 331 organizacji związkowych, zarejestrowanych dotychczas w przemyśle lekkim, akces do federacji zgłosiły 202, co stanowi 61 proc. Dla pozostałych, a także dla tych zakładów, w których związki zawodowe dopiero zaczynają się konstytuować, droga do federacji stoi otworem. Mogą do niej wstępować również zakłady przemysłu terenowego i spółdzielczości pracy o odpowiednim profilu produkcji.

Wybrano 90-osobowy komitet założycielski. W kilkugodzinnej dyskusji mówiono o sprawach nurtujących zarówno związkowców, jak i wszystkich pracowników przemysłu lekkiego. Oto niektóre z nich.

ODDELEGOWANY DO PRACY W ZWIĄZKACH ZAWODOWYCH

Problem ten poruszany jest na wszystkich spotkaniach i, jak dotąd, pozostaje bez odpowiedzi. Chodzi o oddelegowanie pracownika do pełnienia funkcji związkowych oraz o jego wynagradzanie. W wielu zakładach rozwiązano je pomyślnie, nie brak jednak i takich, gdzie działacze związkowi napotykają w tej mierze na trudności. Dochodzi do konfliktów nie tylko z dyrektorami, ale także z radami pracowniczymi.

W *ZPW w Złocieńcu* przewodniczący związku zawodowego został oddelegowany do *pełnienia tej funkcji na 1,5 godziny* dziennie, a konkretnie od 13.30 do 15. Aby właściwie spełniać swe obowiązki na obecnym etapie rozwoju organizacji potrzeba więcej czasu. Uchwalono więc na zebraniu dodatkowe godziny pracy od 15 do 19, wykonywane już społecznie.

W *województwie zielonogórskim* działacze związkowi w zakładach otrzymali delegację do 1 lipca 1983 roku. Jeśli nie zostanie ona przedłużona, niektóre organizacje być może będą musiały zawiesić działalność, ponieważ fundusze związku są zbyt małe, aby wypłacać pensje, a także pokrywać związane z nimi wysokie świadczenia podatkowe i ZUS etatowych pracowników.

Istnieje co prawda *wyjaśnienie nr 4 ministra pracy, płac i spraw socjalnych*, regulujące tę kwestię, gdzie stwierdza się m.in., że kierownik jednostki gospodarczej może (ale nie musi) oddelegować pracownika do pełnienia funkcji związkowych, mimo to nie wszyscy dyrektorzy chcą z takiej możliwości skorzystać. Tam natomiast, gdzie wynagrodzenie etatowego działacza pokrywane jest z funduszy związkowych — nie ma ze strony dyrekcji czy też innych organizacji, działających na terenie zakładu, żadnych formalnych bądź nieformalnych działań, które utrudniałyby spełnianie tej funkcji.

Pewnym wyjściem z sytuacji w tych zakładach, gdzie sprawa oddelegowań stanowi przedmiot sporu, będzie zapewne przygotowywany przepis o pożyczkach dla organizacji, znajdujących się w trudnych warunkach. Rozwiązanie wydaje się dobre, a jednak przedstawiciele niektórych związków oceniają je krytycznie, używając argumentu, że „pożyczkę trzeba będzie spłacić". Jest to oczywiste, należy jednak liczyć się z tym, że w miarę wzrostu szeregów związkowych, po ewentualnym przekazaniu im majątku byłych związków, pieniądze na zwrot długu znajdą się. Argumentem, przemawiającym za taką formą pomocy organizacjom związkowym jest natomiast to, że umożliwia ona zachowanie autentycznej niezależności. Siedzenie „na garnuszku" w dyrekcji przedsiębiorstwa spowodować może, nawet bez niczyjej złej woli, że niezależność ta zostanie poważnie ograniczona.

ILE ETATÓW!

Sprawą wymagającą uregulowania jest również liczba etatowych działaczy związkowych. W niektórych zakładach pracują w ten sposób 1—2 osoby, w innych, niekiedy o zbliżonej liczebności załogi — 5—7 osób. Rozsądnym wyjściem jest propozycja, aby w przedsiębiorstwach *do 1.000 osób* (członków załogi, choć niekoniecznie członków związku) organizacja związkowa dysponowała jednym etatem, w zakładach *powyżej 3 tysięcy* — czterema, większą liczbą jedynie w największych.

CO NA TO SAMORZĄD!

Zgodnie z ustawą o związkach zawodowych płace, ustalanie regulaminu wypłacania nagród i premii zarezerwowane zostały dla tej organizacji. W *słubickim „Comesie"* natomiast zajęła się nimi energicznie Rada Pracownicza, powołując się na własny, uchwalony w przedsiębiorstwie statut. Związkowcy zaprotestowali, powstały zadrażnienia między dwoma, tak przecież ważnymi organizacjami, co z pewnością nie przyczyniło się do poprawy atmosfery w zakładzie.

CZY CHAŁUPNIK MOŻE NALEŻEĆ DO ZWIĄZKU ZAWODOWEGO!

W myśl ustawy, zgodnie z orzeczeniem Sądu Najwyższego, stanowiącego wykładnię jej przepisów, członkami związku nie mogą być chałupnicy. Mogą nimi natomiast być renciści, nawet jeżeli przed odejściem na emeryturę pracowali w systemie nakładczym. A więc np. człowiek pracujący lat kilkanaście jako chałupnik może zostać członkiem związku dopiero, gdy pracę zakończy, a jego powiązania formalne i emocjonalne z zakładem, jak zwykle oywa w takich przypadkach, osłabną.

Jeszcze dziwniej przedstawia się ta sprawa w odniesieniu do kobiet, które z zakładu zwartego przechodzą na chałupnictwo okresowe, np. na czas wychowania małych dzieci. Z chwilą przejścia do pracy w systemie nakładczym tracą członkostwo związku, ale mogą zostać przyjęte ponownie, z chwilą, gdy dzieci podrosną i będą mogły powrócić do zakładu zwartego.

Takie ustawienie sprawy wydaje się pozbawione sensu.

DWA ZWIĄZKI W JEDNEJ FABRYCE

Kolejnym prawnym paradoksem jest sytuacja, jaka powstała w *ZPDz. „Opolanka"*. Jest to przedsiębiorstwo wielozakładowe, przy czym poszczególne zakłady są dość znacznie od siebie oddalone. Przystąpiono więc do tworzenia organizacji związkowych w każdym z nich. Kolejne wyjaśnienie z Sądu Wojewódzkiego w Opolu zaleciło postępowanie odwrotne — jeden związek w całym przedsiębiorstwie. Prace były jednak już zaawansowane. W efekcie — w czterech zakładach powstał jeden związek, w piątym — drugi. Aby ułatwić dyrekcji porozumiewanie się ze związkami, utworzono Związkową Radę Przedsiębiorstwa, a więc ogniwo, stanowiące już w pewnym sensie kolejny szczebel struktury związkowej. Sąd związki w tej formie zarejestrował.

CO ROBIĆ!

Mówiono również wiele o zadaniach i sprawach, jakimi powinny zająć się związki zawodowe. Powinny — co nie znaczy, że już się nimi zajmują w sposób odpowiedni do ich wagi, ciągle bowiem wiele czasu i energii pochłaniają nowym działaczom sprawy organizacyjne i problemy wewnętrzne. Do spraw tych zaliczyć można m.in.: *troskę o ochronę zdrowia pracowników*, w tym zapewnienie większej liczby miejsc sanatoryjnych, tak, aby przynajmniej raz na dwa lata każda robotnica mogła skorzystać z profilaktycznego wyjazdu; *poprawę warunków pracy i bhp*, zwłaszcza w starych, nie doinwestowanych zakładach; *troskę o jakość produkcji*, uświadomienie ludziom, że bubel, który oni wyprodukują, będzie użytkowany przez ich kolegę z innego zakładu — takiego samego robotnika; a także *przeciwdziałanie dążeniom* niektórych kierownictw zakładów, a bywa, że i rad pracowniczych, *do zwiększania zysku poprzez nieuzasadnione manipulacje cenami*, w efekcie odbijające się na poziomie życia wszystkich ludzi pracy.

Mówiono o konieczności podjęcia przez związki zawodowe działań zmierzających do *uporządkowania układu zbiorowego*. Obecnie jest on „obstawiony" różnego rodzaju protokołami dodatkowymi, niekiedy tworzonymi nawet na szczeblu zakładu, co stwarza dowolność interpretacyjną przepisów, może prowadzić do sytuacji konfliktowych.

Sprawą, którą jednak należałoby rozwiązać w pierwszej kolejności, są płace. W 1982 r., średnia płaca w tej branży była najniższa w kraju. Nigdy, co prawda, przemysł lekki nie znajdował się na szczycie *struktury płac, ale też nigdy, jak* dotąd, nie zajmował na tej liście ostatniego miejsca.

Bez uregulowania tej podstawowej sprawy nie uda się opanować występującego masowo zjawiska fluktuacji, odpływu robotników, często wysokokwalifikowanych, do innych przemysłów, nie uda się pozyskać nowych kadr spośród uczącej się młodzieży. Tym samym — nie będzie można osiągnąć koniecznego, z powodu ogromnych potrzeb społecznych, wzrostu wydajności pracy. Same przepracowane wolne soboty, choć przynoszą niemałe efekty produkcyjne, nie przyczynią się do radykalnej poprawy zaopatrzenia rynku w najniezbędniejsze, obok żywności, produkty.

Działacze związkowi w swoich zakładach, przygotowując się do planowanego na jesień *I Kongresu Federacji Związków Zawodowych Przemysłu Lekkiego*, będą mogli również zająć się sprawami dotyczącymi poszczególnych zakładów, ich załóg, pojedynczych ludzi. Jeśli dzięki federacji uda się załatwić, choć jedną z tych najbardziej istotnych spraw — niewątpliwie przyczyni się to do wzrostu popularności organizacji związkowych w zakładach, a tym samym do liczebnego wzrostu ich szeregów.

TERESA JERZYKOWSKA

W najbliższych numerach:

- WSPOMNIENIA WANDY WASILEWSKIEJ I MARIANA SPYCHALSKIEGO O DNIACH POPRZEDZAJĄCYCH WYZWOLENIE POLSKI
- CZY GENIALNY WYNALAZCA POTRZEBNY JEST NASZEJ GOSPODARCE!
- „CYTADELA" ZAWALIŁA SIĘ POD KURSKIEM
- JAK NARODZIŁ SIĘ SPORT BALONOWY
- O SOBIE I SPORCIE MÓWI WALDEMAR MARSZAŁEK, O „WIDZEWIE", LIDZE PIŁKARSKIEJ I SZANSACH NA ROK PRZYSZŁY — WŁADYSŁAW ŻMUDA
- FESTIWALE PIOSENKI W OPOLU I KOŁOBRZEGU
- „SREBRNA" AFERA
- MIESZCZUCH W SPALE I NAD MORZEM

NR 29 (1320) XXVI 16 LIPCA 1983 R.

Co to znaczy samorząd terytorialny?

Rozmowa z doc. dr habil. ANDRZEJEM PIEKARĄ, dyrektorem Instytutu Polityki Społecznej Uniwersytetu Warszawskiego.

Właściwa realizacja konstytucyjnej zasady socjalistycznego państwa, jaką jest ludowładztwo, już z istoty swej winna gwarantować obywatelom prawo do samorządu. Dążenia te nakreślone są również w Uchwale IX Nadzwyczajnego Zjazdu PZPR. Jednakże praktyczna realizacja samorządności ciągle napotyka na trudności. Nierzadko pojawiają się głosy — także w publicystyce — jakoby samorząd terytorialny był instytucją przeciwstawną wobec państwa.

Myślę, że takie przeciwstawienie możliwe jest jedynie wówczas, kiedy państwo ujmuje się w kategoriach rozumowania Ludwika XIV, a samorząd — jako samowolę.

Czym więc jest samorząd terytorialny?

— Samorząd terytorialny ma bogatą i ciekawą historię. Wokół tego pojęcia narosło wiele poglądów. Jedni np. twierdzą, że samorząd terytorialny jest naturalną właściwością gminy i jej naturalnym prawem. Inni zaś sądzą, że władza w państwie socjalistycznym już ze swej istoty jest samorządna. Jeszcze inni wreszcie uważają, że samorząd terytorialny jest tworem doktryny burżuazyjnej, przeto do samorządu terytorialnego, jako do reliktu formacji eksploatatorskiej, system socjalistyczny nie powinien nawiązywać. Zwolennicy tego poglądu argumentują anachroniczność tej instytucji także i tym, że zrodziła się ona z końcem XVIII wieku, a rozwinęła w XIX wieku.

— Spory dotyczące samorządu są więc zasadnicze. Czy postulaty powołania rzeczywistego samorządu terytorialnego w gminie nie są powrotem do pewnych haseł zrodzonych na fali odnowy, a stanowiących gest w kierunku myśli społecznej i mas ludowych, które domagały się zdemokratyzowania władzy lokalnej? Czy może jest to konkretna konstrukcja prawno-polityczna do zastosowania w socjalizmie? A jeżeli tak — to na czym polega jej sens?

— Idea, treść i konstrukcja samorządu terytorialnego mają swe źródła w socjalizmie naukowym. Nie jest prawdą, że koncepcja samorządu terytorialnego jest tworem zrodzonym z niecnych intencji burżuazji. Koncepcja samorządu w swych utopijnych wątkach zrodzona jest z ducha Wielkiej Rewolucji Francuskiej, a następnie rozwinięta i wyrażona została w dziełach twórców naukowego socjalizmu.

Dopiero później, w pewnych komplikujących się sytuacjach politycznych w sprawowaniu władzy, zarówno w koloniach, jak i w metropoliach, klasy panujące państw młodego kapitalizmu musiały poczynić ustępstwa na rzecz ludu, który coraz bardziej emancypował się i dążył do swego upodmiotowienia. Klasy panujące, próbując załagodzić trudną sytuację polityczną, wyciszyć napięcia społeczne — chwytały się konstrukcji samorządu terytorialnego jako pewnej formy władzy lokalnej; namiastki suwerenności ludu. Samorząd terytorialny w państwie typu kapitalistycznego był więc instytucją stwarzaną przez panującą burżuazję nie dla niej a natomiast jako ustępstwo burżuazji na rzecz mas ludowych — dla tychże mas.

Jednakże tę zdrową i piękną ideę samorządu terytorialnego, klasy eksploatatorskie państw burżuazyjnych ograniczyły czy wręcz okaleczyły. Z faktu tego nie może wynikać, że idea ta jest z gruntu rzeczy raz na zawsze zła. W praktyce kapitalizmu mieliśmy zbyt często do czynienia z daleko idącym ograniczeniem samorządu terytorialnego, unicestwianiem demokracji lokalnej lub jej pozorowaniem.

Od konstrukcji funkcjonującej w praktyce kapitalizmu, trzeba jednak odróżnić zdrową koncepcję samorządu o wyraźnie socjalistycznym rodowodzie. Także i w Polsce międzywojennej samorząd terytorialny, choć ożywiany szlachetnymi ideami, w praktyce był jednak ograniczony i borykał się z ogromnymi trudnościami. Ale i wówczas, poprzez walkę o podmiotowość społeczności lokalnej, udało się w niejednym mieście czy powiecie wiele osiągnąć. Te nieliczne samorządy okresu międzywojennego nazywano częstokroć czerwonymi samorządami, ponieważ socjaliści — niekiedy wspólnie z komunistami — potrafili nadać im właściwy ton. Przykładem tego może być Radom.

— Wróćmy może do socjalistycznej genezy samorządu. Warto więc przytoczyć tu słowa Lenina, iż „Socjalizmu nie tworzy się zarządzeniami z góry (...) żywy, twórczy socjalizm — to dzieło samych mas ludowych".

— Wypowiedź ta jest charakterystyczna. W trudnych latach po Rewolucji Październikowej, latach interwencji zewnętrznych i zrywów kontrrewolucyjnych — Lenin bardzo mocno podkreślał potrzebę konstruowania rozmaitych form i mechanizmów autentycznej demokracji zarówno w środowisku pracy, jak i w jednostkach terytorialnych; demokracji tworzonej przez organizacje ludu pracującego. Lenin wywierał nacisk na swych współpracowników, aby poważnie traktowali rozwijanie demokracji lokalnej. Twierdził on, że demokrację należy rozumieć w ten sposób, aby każdemu obywatelowi, każdemu przedstawicielowi mas, w wyborze swych przedstawicieli i wprowadzaniu ustaw państwowych w życie — tworzyć warunki gwarantujące im prawo do wybierania sobie odpowiednich kierowników, odwoływania ich oraz kontroli ich działalności.

Twórca państwa radzieckiego, wypowiadając się za samorządnym modelem władzy lokalnej w państwie socjalistycznym uważał, że samorząd terytorialny jest nieodłącznym elementem centralizmu demokratycznego. Warto może przypomnieć w tym miejscu, że F. Engels w „Krytyce Programu Erfurckiego" formułując pogląd dotyczący władzy lokalnej, stwierdził, iż: „Całkowity samorząd, w powiecie i gminie, realizowany przez urzędników wybranych na podstawie powszechnych wyborów na podstawie powszechnego prawa wyborczego i zniesienie wszystkich władz lokalnych i prowincjonalnych mianowanych przez państwo".

— Fundament, na którym opiera się socjalizm musi być chroniony za wszelką cenę. Podstawową cechą gwarantującą jego socjalistyczny charakter i jednocześnie chroniącą go przed szkodliwościami wszelkich korozji jest bez wątpienia postulat uspołecznienia władzy, czyli upodmiotowienia rozmaitych grup społecznych i samego społeczeństwa. Upodmiotowienie to spełnia się m.in. i przede wszystkim poprzez uczestniczenie obywateli w procesach decyzyjnych, zarówno w sferze życia społecznego jak i politycznego. Rezerwowanie bowiem sfery życia politycznego tylko dla pewnych kręgów i grup społecznych, oznaczałoby pozbawienie obywateli zasadniczych cech obywatelstwa. A to zawsze było i jest socjalizmowi obce.

— Socjalizm jest zjawiskiem demokratycznym i ludowym w dosłownym znaczeniu tego słowa. W socjalizmie człowiek jest wartością najwyższą i on musi decydować, gdyż on jest podmiotem. Liczyć się musi jego wola i jego pogląd. Nie może zaś za lud pracujący decydować aparat administracyjny, obojętnie czy jest to aparat organizacji politycznych, organów państwowych, czy jednostek gospodarczych. Wynika to wprost z podstawowej zasady ustrojowej naszego państwa, wyrażonej w art. 1 Konstytucji PRL.

Przed tym, by rady narodowe nie stały się instrumentem rządzenia — wprawdzie dla ludu, ale nie przez lud, lecz przez sprofesjonalizowanych działaczy — przestrzegał Lenin. Po paru zaledwie latach praktyki funkcjonowania władzy lokalnej w młodym jeszcze państwie radzieckim, dostrzegał on tę niebezpieczną tendencję biurokratyzowania się władz lokalnych i odrywania od społeczeństwa.

— Samorząd terytorialny w państwie socjalistycznym, stając się formą samodzielnego zarządzania sprawami przez społeczeństwo na podstawie norm prawnych, ale bez pośrednictwa organów państwowych — przestaje być już tylko instrumentem decentralizacji administracji państwowej.

— Oczywiste jest, że jeżeli jakaś struktura nazywa się samorządem, to z jej istoty i nazwy wynika, że jest ona niepaństwowa. Właśnie względy polityczno-ideologiczne wymagają, aby obok struktur państwowych działały także struktury samorządowe, które właściwymi sobie metodami — innymi niż to czyni aparat państwowy — załatwiać będą sprawy społeczne, w tym także publiczne. Jest pożądane politycznie, aby pewne sfery życia publicznego znalazły się w rękach społecznych.

— Z tego, co dotychczas zostało powiedziane wynika, że samorząd może się spełniać tylko bezpośrednio, a nie poprzez aparat państwowy.

— Nie może być samorządu państwowego, czy też upaństwowionego, gdyż jest to absolutne contradictio in adiecto — czyli nonsens. Poglądom i praktyce dążącym do upaństwowienia samorządu należy dawać odpór, gdyż zmierzają one przez to do deformowania władzy ludowej i istoty socjalizmu w sferze sprawowania władzy.

Tam więc, gdzie jest to w obecnych warunkach możliwe i potrzebne — dążyć trzeba do stopniowego uspołeczniania państwa i jego aparatu, który w ustroju socjalistycznym powinien być zawsze służebnym wobec społeczeństwa i w pełni podporządkowanym organom przedstawicielskim.

Obecnie sprawy te już są tak jasne i oczywiste, że nie powinno się do ich słuszności nikogo przekonywać. Utworzenie bowiem samorządu terytorialnego nie oznacza ani osłabienia państwa jako całości, ani państwa jako aparatu administracyjnego. Przeciwnie, jeśli chodzi o interes państwa w szerokim rozumieniu, to władza lokalna na stanowisku samorządu terytorialnego jest z punktu widzenia prakseologicznego władzą sprawniejszą.

Zdecentralizowany model zarządzania jest efektywniejszy, niż centralistyczno-biurokratyczny. Samorząd terytorialny stwarza warunki dla społecznej aktywności w mikrośrodowiskach, integruje je i czyni społecznościami socjologicznie silnymi. Wiadomo, że siła państwa zasadza się na sile społeczności lokalnych. Państwo jest silne siłą swych obywateli i wolne ich wolnością.

Nie trzeba udowadniać, że zdjęcie z barków centralnego aparatu spraw lokalnych, czyni ten aparat sprawniejszym w tych sprawach, w których z natury rzeczy powinien on decydować, a więc w sprawach o znaczeniu ogólnospołecznym. Odciążenie aparatu państwowego od tysięcy spraw lokalnych, to równocześnie nie tylko jego usprawnienie i wzmocnienie, ale również potanienie. Pozwala to na zmniejszenie ogromnej sieci jednostek i stanowisk administracyjnych, których zadaniem jest przekazywanie informacji, a także decyzji z góry na dół i informacji o ich wykonaniu z dołu do góry. Społeczności lokalne biorąc sprawy we własne ręce czują się za nie bardziej odpowiedzialne. Wraz ze wzrostem kompetencji, wzrasta bowiem odpowiedzialność i aktywność. W takiej sytuacji za niepowodzenia w sprawowaniu władzy w terenie, obywatele będą mieli pretensje do swych radnych lub naczelników (prezydentów), nie zaś do władz centralnych, czyli — w potocznym, waskim znaczeniu — do państwa. Państwo w szerokim rozumieniu, a w tym i aparat państwowy, zyskuje w ten sposób; stając się silne tam, gdzie silne być powinny.

— Jak się ma dzisiejszy, realnie funkcjonujący samorząd terytorialny do modelu założonego? Co — zdaniem pana — należy jeszcze udoskonalić czy zmienić, aby model funkcjonujący zbliżyć do ideału?

— Udoskonaloną formę samorządu terytorialnego mieliśmy już w dekrecie PKWN z 23 listopada 1944 r. Niestety — jest to przeszłość do której od lat pięćdziesiątych nie udało nam się już powrócić. Istniejący obecnie — niekiedy także fikcyjnie — samorząd mieszkańców jest w gruncie rzeczy instytucją impotentną. Widać to na co dzień, i to nie tylko w nowych osiedlach mieszkaniowych.

Aby ten stan zmienić, trzeba masy mieszkańców zorganizować upodmiotowić przez prawo tym samym zamienić w społeczność. Samorząd terytorialny, aby mógł spełnić oczekiwane cele społeczne, musi mieć silną pozycję prawno-ustrojową (polityczną) w sferze wykonywania lokalnej władzy i administracji. Musi mieć silną pozycję gospodarczą, polegającą na tym, że posiada on duże (o wiele większe niż dotychczas) możliwości prowadzenia właściwej gospodarki finansowej, gromadzenia i dzielenia środków oraz dysponowania nimi. Samodzielność budżetowa winna iść w parze z powrotem do kategorii własności społecznej w postaci własności samorządu terytorialnego, tj. własności komunalnej. Pełny zakres działania i kompetencji w sprawach lokalnych, ogólny zarząd własnością komunalną, samodzielność budżetowa oraz skuteczna kontrola społeczna wszystkiego, co dzieje się na danym terenie — oto podstawowe elementy efektywności politycznej i społeczno-ekonomicznej jednostki terytorialnej oraz gospodarności władz lokalnych, a także poszczególnych obywateli.

W takich warunkach można spodziewać się, że twórcza, aktywna postawa obywatelska i poczucie solidarnej odpowiedzialności za sprawy regionu, miasta, osiedla, gminy, wsi staną się faktem społecznym.

Trzeba tu powrócić do stanu sprzed 1950 r., czyli do stanu określonego ustawodawstwem KRN i dekretami PKWN. Chodzi przecież o powrót do konstrukcji socjalistycznej samorządu terytorialnego. Gdyby ten powrót miał miejsce na serio i wcześniej — nie doszłoby z pewnością do wielu wypaczeń ustrojowych, a także i do dewastacji środowiska naturalnego.

— Co — zdaniem pana — przeszkadza w usuwaniu nieprawidłowości i barier niweczących, czy hamujących naszą polską drogę ku socjalizmowi, którego ideały są bliskie naszemu społeczeństwu i to nie od 1944 r. Życie i dzieło Ludwika Waryńskiego i jego następców dają temu świadectwo jednoznaczne i niepodważalne.

— Otóż po drugiej wojnie światowej, ustawodawstwo polskie przyjęło, w zmodyfikowanej jednak postaci, samorząd terytorialny okresu międzywojennego, a z nim zasadę decentralizacji władztwa państwowego. Wyrazem tej recepcji był dekret PKWN z 23 listopada 1944 r. o organizacji i zakresie działania samorządu terytorialnego. Dekret ów zawierał w art. 3 definicję legalną samorządu terytorialnego w następującym brzmieniu: „Samorząd terytorialny reprezentowany przez terenową radę narodową stanowi korporację prawa publicznego i posiada osobowość prawną". Samorządowy model administracji lokalnej, choć z rozmaitymi ograniczeniami, dotrwał do 1950 r.

Samorządowej koncepcji władzy lokalnej, władzy demokratycznej i uspołecznionej, przeciwstawiała się w sposób zasadniczy i radykalny ustawa z 26 marca 1950 r. o terenowych organach jednolitej władzy państwowej. Ustawa ta zapoczątkowała proces stalinizacji systemu ustroju władzy i administracji lokalnej, dokonując daleko posuniętej redukcji stopnia jej uspołecznienia wraz ze skrajną statyzacją, centralizacją i biurokratyzacją. W stalinowskiej doktrynie prawa państwowego i administracyjnego, do rangi największej zalety podniesiono fakt, że ustawa marcowa z 1950 r. znosiła samorząd terytorialny i scentralizowała w terenie wszystko, co było dawniej społeczne i lokalne. Uważano bowiem, że najwyższą i najdoskonalszą miarą uspołecznienia i socjalizacji jest upaństwowienie. Spod wpływu tej „doktryny" nie wyzwoliła się następna ustawa z 25 stycznia 1958 r. o radach narodowych (zastępująca tę z 1950 r.)

Ustawa z 1958 r. — choć po wielu nowelizacjach — obowiązuje do dnia dzisiejszego. Jej podstawowym błędem, prowadzącym do mistyfikacji samorządu lokalnego jest założenie i formuła (od kolejnej zmiany ustawy w 1972 r.), że rady narodowe są i mogą być równocześnie terenowymi organami władzy państwowej i samorządu.

W kolejnej noweli z 1973 r. stwierdza się, że „Rady narodowe (...) są organami władzy państwowej i podstawowymi organami samorządu społecznego ludu pracującego miast i wsi i wyrażają jego „wolę". W tym kontekście „samorząd społeczny" jest pojęciem pustym z punktu widzenia prawa ustrojowego.

—W jakim kierunku zmierza wersja projektu ustawy o radach narodowych i samorządzie terytorialnym przedłożona Sejmowi?

— Projekt ten — o ile mi wiadomo — uległ daleko idącym zmianom. Jednakże wersja, którą przedstawiono podczas pierwszego czytania, zawierała samorząd terytorialny tylko w tytule, a nie w treści. Co prawda zastosowano tam wiele werbalnej ornamentyki, przesłaniającej istotę rzeczy, to jednak nie określono tam w sposób wyraźny decydującego wpływu organów przedstawicielskich na wybór swych organów wykonawczych. Nie wnikając jednak w kwestie szczegółowe, myślę, że przynajmniej na szczeblu gminy i małego miasta — przyszła ustawa zrealizuje socjalistyczną konstrukcję władzy ludu, a nie tylko władzy dla ludu.

Rozmawiał:
MARIAN STRZELECKI

Zanim zapadną decyzje

Samorządy mieszkańców są osamotnione. Rady narodowe swoje funkcje samorządowe ograniczają tylko do formalnego nadzoru. Z prawnego punktu widzenia samorząd mieszkańców ma szerokie uprawnienia, a co za tym idzie duże pole działania. Jest czynnikiem rozwijania demokracji. Spełnia wszelkie funkcje organizujące życie społeczno-wychowawcze, inicjujące czyny społeczne, propagujące współzawodnictwo, kontrolujące, rozjemcze i profilaktyczne. W praktyce wiele z tych funkcji zanikło lub zostało znacznie ograniczonych. Nawet dla najlepszych samorządów, które starają się spełniać swoją rolę, życie czasem bywa okrutne.

Na terenie Robotniczej Spółdzielni Mieszkaniowej „Polesie" działa 7 komitetów osiedlowych z uprawnieniami samorządu mieszkańców dzielnicy Łódź-Polesie. Pracują one w komisjach regulujących i kontrolujących najistotniejsze strony życia każdego mieszkańca (m. in. handel, służba zdrowia, kultura, gospodarka, porządek publiczny). Według opinii działaczy samorządu, w komitetach znajdzie się wszystko, co niesie ze sobą życie. Przecież są w nich ludzie, którzy mają oczy i uszy otwarte. A ludzie ci to grupa prawdziwych, społecznych zapaleńców. Wielu z nich pracuje w samorządzie po 10 i 15 lat. Pełnią przy tym inne funkcje społeczne. Skrótowo i popularnie „samorząd retkiński" (RSM „Polesie" mimo woli kojarzy się przede wszystkim z Retkinią, chociaż ma też inne osiedla) cieszy się dobrą opinią. Mówi się, że jest jednym z lepiej działających samorządów w Łodzi. Czyżby więc nie było żadnych trudności?

Jednak nie można powiedzieć, żeby działaczom „samorządu retkińskiego" powodziło się tak dobrze, że już nic więcej nie potrzeba im do szczęścia. Ich też trapią kłopoty, bo któż tych kłopotów dziś nie ma. Największą bolączką jest brak ludzi do pracy społecznej. A dlaczego? Korzyści z tego interesu żadne, a przykrości dużo. Po co stwarzać sobie kłopoty? Samorząd walczy o racje mieszkańców, ale jakże często musi tłumaczyć racje administracji (a racje te nie zawsze bywają obiektywne). Ludzie zaś bywają nieugięci i liczą tylko na szybkie załatwienie sprawy. Często dochodzi do spięć, a przyczyny ich bywają różne. Chociażby śmietnik pod oknami, nieczynna pralnia czy wyrastający blok w ramach zagęszczania terenu, który bezczelnie zasłania słońce.

Większość działaczy samorządowych to ludzie w wieku poprodukcyjnym. Poniekąd jest to zrozumiałe. Siedzą w domu i mają dużo czasu. Ale stara wiara powoli się wykrusza. Niektórzy odchodzą z przyczyn zdrowotnych, inni z przyczyn związanych z kryzysem postaw. Nowi, a zwłaszcza młodzi, przychodzą rzadko. I kiedy tak patrzy się na siwe głowy grupki zapaleńców, to mimo woli przychodzi myśl, co się stanie, kiedy ich zabraknie.

Drugą bolączką, nękającą samorząd, są postawy samych jego członków. Wielu z nich trafia do samorządu zupełnie przypadkowo. To „krzykacze", którzy dają się zauważyć na zebraniach, a potem nic nie robią. Uwidacznia się to w pracy komisji, które formalnie liczą od kilku do kilkunastu osób, a w praktyce działają jedno lub dwuosobowo. Drugą grupę stanowią ludzie, którzy nie zdobyli uznania w życiu zawodowym i właśnie w samorządzie rekompensują swoje zawiedzione ambicje. Niektórzy mówią na nich „lokalni dygnitarze", ponieważ żądają do swojej dyspozycji biurek i telefonów.

Kryzys gospodarczy stał się dla niektórych pracowników administracji wygodnym parawanem, zakrywającym ich nieudolność i biurokrację. Samorząd był wobec takich postaw bezsilny, ale zdołał wywalczyć dla siebie broń. Otóż od 1 stycznia 1983 roku przedstawiciele mieszkańców podpisują wnioski premiowe dla pracowników administracji. I jak wykazało życie, wnioski odrzucono, ponieważ administracja nie zorganizowała zebrań powołujących komitety blokowe.

Urwała się współpraca z zakładami pracy, które mają własne kłopoty w dobie wdrażania reformy gospodarczej. Umarła śmiercią naturalną współpraca samorządów mieszkańców z klubami, szkołami, przedszkolami w ramach osiedlowych rad koordynujących działalność społeczno-wychowawczą. Ta cenna inicjatywa powstała w 1973 roku i przetrwała tylko do 1979 roku.

Działacze samorządów mieszkańców RSM „Polesie" narzekają na niezbyt pomyślnie układającą się współpracę ze szkołami. Boli ich to, że niektórzy dyrektorzy tych szkół widzą w samorządzie tylko źródło gotówki, a w zamian nie oferują nic środowisku lub robią to z wielkimi oporami. Jest co najmniej zdumiewające, że w naszym języku istnieje takie pojęcie jak „szkoła środowiskowa". Czyżby niektórzy o tym zapomnieli? Wiadomo, że na Retkini szkół jest stanowczo za mało. Te, które już istnieją, pracują systemem trzyzmianowym, w większości nie posiadają sal gimnastycznych i boisk. Trudno więc wymagać od dyrekcji takich szkół, nierealnych w tych warunkach, świadczeń na rzecz wszystkich mieszkańców.

Ale bywa i tak, w starszych osiedlach, gdzie nie ma już przeładowanych klas, że szkoła jest o godzinie 16 czy 17 zamknięta na cztery spusty.

Bardzo smutny jest widok zamkniętej sali gimnastycznej i niemalże pustego boiska szkolnego, gdy tymczasem młodzież — przesiaduje w klatkach schodowych i pali papierosy — powiedział mi jeden z najstarszych działaczy samorządu mieszkańców Osiedla im. Małgorzaty Fornalskiej.

Jak z tego wynika, nawet w najlepiej działającym samorządzie nie jest tak różowo. Po prostu samorząd mieszkańców jest osamotniony, pozostawiony samemu sobie. Tymczasem problemy samorządu dojrzewają, do rozwiązania. Czy stać nas na oczekiwanie? Czas najwyższy podjąć wiążące decyzje. Nie możemy bowiem pozwolić sobie na tracenie dotychczasowego dorobku samorządu i jego autorytetu społecznego. Bo jeśli tak się stanie, to nieprędko znajdziemy nowych działaczy samorządowych, którzy w wieku 75 lat powiedzą:

— LUBIMY ŻYCIE. Na odizolowanie się od ludzi przyjdzie jeszcze czas.

EWA LACHOWSKA

IX Nadzwyczajny — lipiec 1981

I.

(...) Zawsze zjazdy partii stanowiły wydarzenie dla kraju, dla jego przyszłości. Znaczenie naszych obrad jest szczególne: określa je sytuacja wewnętrzna. Kraj znajduje się w dramatycznym punkcie swoich tysiącletnich dziejów.

(...) Dziś nikt nie powinien mieć złudzeń — toczy się ostra walka ideologiczna i polityczna walka klasowa o władzę w Polsce, o oblicze naszego kraju, o jego miejsce i orientację na arenie międzynarodowej.

Spiętrzenie zagrożeń dla socjalizmu, narastanie zjawisk kontrrewolucyjnych, kryzys ekonomiczny o rozległym charakterze, rozprzężenie dyscypliny społecznej, paraliżowanie działania instytucji państwowych, stworzyło zagrożenie dla bytu państwowego. Wszystko to stawia na porządku dnia zadanie ocalenia bytu narodowego.

Musimy niezwłocznie zmienić ten stan; oddalić zagrożenia i wprowadzić kraj na szlak pomyślnego socjalistycznego rozwoju.

Oczekuje od nas tego partia licząc, że zjazd przyniesie nośny i skuteczny program, wzbogaci jej pozycję w społeczeństwie, zwłaszcza wśród klasy robotniczej, że pomnoży siły socjalizmu.

Oczekują tego miliony Polaków w przekonaniu, że zjazd otworzy perspektywę pokonania trudności, zarówno tych politycznych, jak i tych, które dokuczliwie dają o sobie znać w każdej rodzinie, a co odczuwają szczególnie kobiety.

Oczekują tego z życzliwością nasi zagraniczni sojusznicy — w nadziei, że wyznaczymy program opanowania kryzysu własnymi siłami.

Tym oczekiwaniom wyjdźmy na spotkanie i uczyńmy wszystko, by im sprostać; jest to nasz narodowy i międzynarodowy obowiązek. Najważniejszym celem partii jest służba klasie robotniczej i wszystkim ludziom pracy, jest troska o trwałe gwarancje niepodległego bytu narodu, troska o bezpieczeństwo socjalistycznej ojczyzny.

(...) Jest bezsporną zasługą naszej partii, iż w najbardziej dramatycznych dniach kryzysu, w najostrzejszej fazie społecznego konfliktu zrozumiała jego charakter, osiągnęła zgodność w ocenie natury robotniczych wystąpień, oceniając je jako protest nie przeciw socjalizmowi, a naruszeniu jego zasad, nie przeciw władzy ludowej, a przeciw złym metodom rządzenia, nie przeciw partii, lecz przeciwko błędom w polityce jej kierownictwa...

(...) Dziś nie pora na wielkie słowa, liczą się tylko wielkie czyny i codzienny wysiłek w pracy. Zespolenie wszystkich patriotycznych sił obywatelskiej odpowiedzialności w imię odwrócenia groźnej katastrofy i mądrej kontynuacji dzieła budowy socjalizmu — oto historyczny nakaz naszych dni. O takie zespolenie zwracamy się do wszystkich sił patriotycznych i społecznych. Nie pozwólmy, aby o losie narodu rozstrzygał żywioł i demagogia, ślepy traf lub zła wola ludzi, dla których dobro Polski jest stawką w grze politycznej...

(Z referatu Komitetu Centralnego na IX Nadzwyczajny Zjazd PZPR)

II.

(...) Wielkie oczekiwania wiążemy z wdrożeniem reformy gospodarczej, która powinna w sposób trwały ograniczyć złe i okresowe karygodne funkcjonowanie gospodarki narodowej, źle zorganizowanej w ogniwach centralnych, co stawało się wielokrotnie przyczyną naszych powojennych, narodowych dramatów.

(...) Wydaje się oczywiste, że aby zakończyć prawidłowo proces odnowy całej partii, również i tu w Warszawie, na IX Zjeździe, musi się odsunąć do końca z ogniw centralnych ludzi, którzy sprawując w nieodległej przeszłości wysokie stanowiska nie byli w stanie zapobiec destruktywnemu procesowi pogrążania gospodarki. Stąd też jest dla nas oczywiste, iż ci słabi ludzie muszą odejść i być zastąpieni prężnymi i pragmatycznymi kadrami przy zachowaniu ciągłości władzy.

(...) Jednakże już w przeszłości ludzie byli zawodni. I dlatego wojewódzka organizacja partyjna w Katowicach popiera propozycję powołania Trybunału Sprawiedliwości przyjęcia zasady zachowania mandatów delegata — w celu zagwarantowania możliwości okresowego rozliczania ustalonych programów w poszczególnych ogniwach partii.

(Z wystąpienia MIROSŁAWA MAJORA, inżyniera z Kopalni „Staszic").

III.

Tak długo oczekiwany przez nas wszystkich IX Nadzwyczajny Zjazd Partii już stał się faktem. My delegaci, jak nigdy dotąd mamy świadomość odpowiedzialności za to, co zjazd uchwali, jaki przyjmie program wyprowadzenia kraju z kryzysu i jakie nada mu gwarancje. Żądaliśmy zwołania tego zjazdu wcześniej i myślę, że gdyby nas posłuchano, wiele spraw dziś trudnych i nabrzmiałych byłoby już poza nami (...) Gdyby tak się stało, w innej sytuacji politycznej i społecznej obradowałby zjazd, a partia byłaby w stanie zmobilizować się dużo wcześniej do działania. Nie straciliśmy również tylu dobrych członków partii...

(...) My robotnicy, potrafimy wszystko zrozumieć, dużo wybaczyć, jesteśmy ofiarni. Ale złej pracy, złej jej organizacji i złej woli nie wybaczymy. Przeżyliśmy po wojnie wiele kryzysów, wiele tragedii widzieliśmy w ostatnich latach. Tak naprawdę, mimo pięknych haseł na nasz temat, niewiele się dla nas zrobiło. Wykorzystywano nas jako oprawę do dostojnych wizyt. Nie może się taka sytuacja nigdy więcej powtórzyć. To jest partia nasza, robotnicza i my chcemy mieć w niej głos decydujący. Nic o nas bez nas, wtedy nie dojdzie do żadnych wypaczeń i nieprawidłowości. Socjalistyczna odnowa zaczęła się w Polsce od buntu i gniewu robotniczego i my ten proces będziemy dalej prowadzić, razem z naszymi wykształconymi w Polsce Ludowej synami i córkami. Będziemy odbudowywać autorytet partii, porządkować nasze wspólne życie tak, aby następne pokolenia Polaków rozwijające socjalizm, który właśnie nam, robotnikom dał możliwość godnego, równoprawnego i pełnego życia, już nigdy nie musiały przeżywać takich dramatów jak my.

(Z wystąpienia HENRYKI KUBIAK z Zakładów Przemysłu Odzieżowego „Zeta" w Zgierzu).

„Nawet najlepsze uchwały będą tylko początkiem drogi..."

IV.

(...) Jako I sekretarz 3-tysięcznej organizacji partyjnej Stoczni Gdańskiej im. Lenina czuję się reprezentantem załogi, która tak boleśnie przeżyła tragedię grudnia, która mając ją żywo w pamięci, pragnie z wydarzeń sierpniowych wyciągnąć wszystkie prawidłowe wnioski oraz chce posiadać wpływ na przyszły rozwój kraju i działalność partii. Zbyt wiele przeżyliśmy, zbyt wiele doświadczyliśmy, aby godzić się obecnie na niewiadomą perspektywę. W perspektywie tej istotne są dla nas gwarancje, które pozwolą nam spokojnie żyć i pracować bez obaw, podejrzliwości, nieufności, bez nie wyjaśnionych spraw i nieodpowiedzialnych słów. Dlatego wnioskuję o powołanie komisji, która zajmie się wyjaśnieniem przyczyn grudniowej tragedii. Nie w imię zemsty, nienawiści, nawet bólu, który ciągle jeszcze jest w nas, ale w imię prawdy, która nam, robotnikom potrzebna jest tak samo jak chleb. Przed zjazdem słyszeliśmy takie głosy, że nie za bardzo wiemy, albo nie potrafimy tego wypowiedzieć, czego spodziewamy się po naszym zjeździe, czego oczekujemy. Ja to powiem wprost:

Robotnicy na to czekają, żeby wszystko, co postawione zostało na głowie, postawić wreszcie na nogach i stać tymi nogami mocno na ziemi. Żeby wszystko było normalne, ludzkie, sprawiedliwe, proste i zrozumiałe. A zjazd musi odpowiedzieć na pytanie: jak to zrobić, jak do tego dojść?...

(...) Polska Zjednoczona Partia Robotnicza jest w naszą historię tak wpisana, jak życiorys każdego z nas w życie naszych rodzin. I jeśli gdzie indziej spraw tych może ktoś nie zrozumie, to w naszej partii tak być nie może. Partia musi dbać o to, aby nasz obraz był prawdziwy, rzetelny, aby go nikt nie lukrował. Patrzmy na klasę robotniczą taką, jaką ona jest faktycznie ze wszystkimi jej problemami, zaletami i wadami, z jej klasową mądrością i jej regionalnymi zawodowymi interesami. Partia jest od tego, aby te interesy godzić, aby walczyć o naszą jedność i karać tych, którzy próbują nas skłócić, napuszczać na siebie...

(Z wystąpienia JANA ŁABĘCKIEGO, I sekretarza KZ PZPR Stoczni Gdańskiej im. Lenina).

V.

(...) Niektórzy przeciwnicy reformy wysuwają przeciwko niej zastrzeżenia natury ideologicznej. W wielu publikacjach, a także niestety w niektórych biuletynach partyjnych, można się spotkać z opinią, że wrogowie socjalizmu w dziedzinie gospodarki domagają się m. in. decentralizacji zarządzania, przywrócenia mechanizmów ekonomicznych i rozszerzenia współpracy z krajami kapitalistycznymi. Ale czy rzeczywiście można zwiększać efektywność gospodarowania i wyrwać gospodarkę z kryzysu, w jakim się znalazła, w warunkach nadmiernie scentralizowanego, nakazowego systemu zarządzania? Tendencje decentralistyczne występują we wszystkich krajach socjalistycznych, dano temu wyraz w uchwałach partii naszych przyjaciół. Podobnie we wszystkich krajach socjalistycznych wzrasta ostatnio ranga instrumentów ekonomicznych i rola rachunku ekonomicznego.

Albo: czy możemy nie rozwijać współpracy z krajami kapitalistycznymi, kiedy jesteśmy im dłużni 26 mld dolarów? W jaki inny sposób możemy spłacić im ten ogromny kredyt?

(...) Broniąc zwolenników reformy gospodarczej przed oskarżeniem o rewizjonizm i wrogi stosunek do socjalizmu chciałbym powołać się na naszego wybitnego, światowej sławy ekonomistę prof. Oskara Lange, który kiedyś powiedział: „Gdyby teraz żyli Marks, Engels, Lenin, to wcale nie upieraliby się przy swoich sformułowaniach sprzed 100 lat, ale razem z nami martwiliby się, jak poprawiać naszą rzeczywistość". Ekonomia jest nauką i nie może być zbiorem wiecznie obowiązujących dogmatów, musi uwzględniać zmieniające się stale stosunki społeczno-gospodarcze, gdyż są jej przedmiotem.

Istotą marksizmu jest badanie rzeczywistości, wyciąganie z niej racjonalnych i społecznie użytecznych wniosków...

(Z wystąpienia prof. JÓZEFA KALETY, Akademia Ekonomiczna we Wrocławiu).

VI.

(...) Wszyscy składamy winę na tych, cośmy wymienili (Gierek, Jaroszewicz i inni — przyp. red.), ale czy my nie jesteśmy sami winni, że nam tak wyszło, jak tym chłopakom na ulicy? Przyszedł gość, zaprosił do gospody, stawiał im wódkę, zakąski, zagraniczne papierosy... A myśmy, jak oni pili i palili, myśmy klaskali, a on nas zostawił, a kelnerka nas z gospody nie wypuszcza, bo on rachunku nie zapłacił...

(...) dawne chłopskie przysłowie mówi: najgorzej odrabiać zjedzony chleb.

(...) dawniej kobieta polska miała troskę, dzisiaj nowa polityka zmieniła ją na lodówkę. Jeździła do Warszawy po kiełbasę, a w banku brała pożyczkę, bo ona miała gospodarstwo specjalistyczne. Siedziała na tapczanie i patrzyła co Gierek jej mówił. A on mówił, że Polska rośnie w siłę, a ludziom żyje się dostatniej...

(Z wystąpienia STEFANA LEWANDOWSKIEGO, rolnika ze wsi Duczymin, woj. ostrołęckie).

VII.

(...) Zagrożenia robotniczego charakteru partii narastały latami. Nie należy się więc dziwić, że dziś widać ten problem z całą ostrością. Ilu jest na tej sali robotników, naturalnych gospodarzy robotniczej partii? Jesteśmy tu, towarzysze, mniejszością i nie mogło być chyba inaczej, bo jesteśmy w ogóle mniejszością w partii. Chcę być dobrze zrozumianym, nieraz już to mówiłem, w partii jest miejsce dla każdego, bez względu na to czy jest dyrektorem, inżynierem, profesorem; podkreślałem to z uporem, zresztą wielokrotnie. Jeśli jednak ktoś chce być w tej partii, powinien przechodzić na pozycję klasy robotniczej, przyjmować robotniczy punkt widzenia. Bo to ona właśnie najpełniej określa i gwarantuje socjalizm...

(Z wystąpienia ALBINA SIWAKA, brygadzisty w Kombinacie Budownictwa Miejskiego „Wschód" w Warszawie).

VIII.

(...) Wśród przyczyn, które sprawiły, że nasza polityka nie spowodowała zamknięcia fazy kryzysu, na pierwsze miejsce wysunąć trzeba — moim zdaniem — ogólne nieprzygotowanie partii do stawienia czoła całkowicie nowym sytuacjom, które powstały w wyniku robotniczego protestu, zaskoczyły nas jego rozmiary oraz polityczne skutki powstania „Solidarności". Partia nie była przygotowana ani ideologicznie, ani politycznie do takiego rozwoju wydarzeń. Jest więc zrozumiałe, że miliony członków partii, którzy praktycznie rzecz biorąc nie mieli wpływu na politykę swoich przywódców miliony te przyduszone do ziemi atakami pokolenia gniewnych, którzy stanęli na czele wielu ogniw „Solidarności", a także reakcjonistów wszelkiej maści, zwróciły swój gniew przeciwko własnym przywódcom. Gniew ten zrodził wielką falę rozliczeniową i żądanie określenia w sposób wyraźny, bez niedomówień, spraw odpowiedzialności.

(...) Mówiąc o najbliższej przyszłości chciałoby się zawołać: Przestańmy się bać! Przestańmy się bać rolników którzy chcą gospodarować po swojemu. Przestańmy bać się podnieść cenę prenumeraty żeby było z czego zapłacić listonoszom za dźwiganie ciężarów. Przestańmy się bać bodźców i samodzielności. Przestańmy bać się tych, którzy nas straszą, że bez nich się zawali. Przestańmy bać się myśleć i działać na miarę tego, co się stało. Kiedy przestaniemy bać się inicjatywy i nowatorstwa, kiedy przestaniemy bać się ludzi, którzy nie czytają z naszej kartki, to nie będziemy musieli bać się przeciwników socjalizmu, gdyż pokonamy ich metodą najbardziej skuteczną, pokonamy ideologicznie i politycznie.

(...) Polska reforma, nie trzeba bać się tego słowa, ani uważać je za wyklęte, brzydkie i dwuznaczne, jest dla formacji socjalistycznej palącym problemem, jeżeli będziemy działać mądrze, to Polska, w której chciano by widzieć chorego człowieka, może stać się jednym ze źródeł nadziei socjalizmu.

(Z wystąpienia MIECZYSŁAWA RAKOWSKIEGO, wicepremiera rządu PRL).

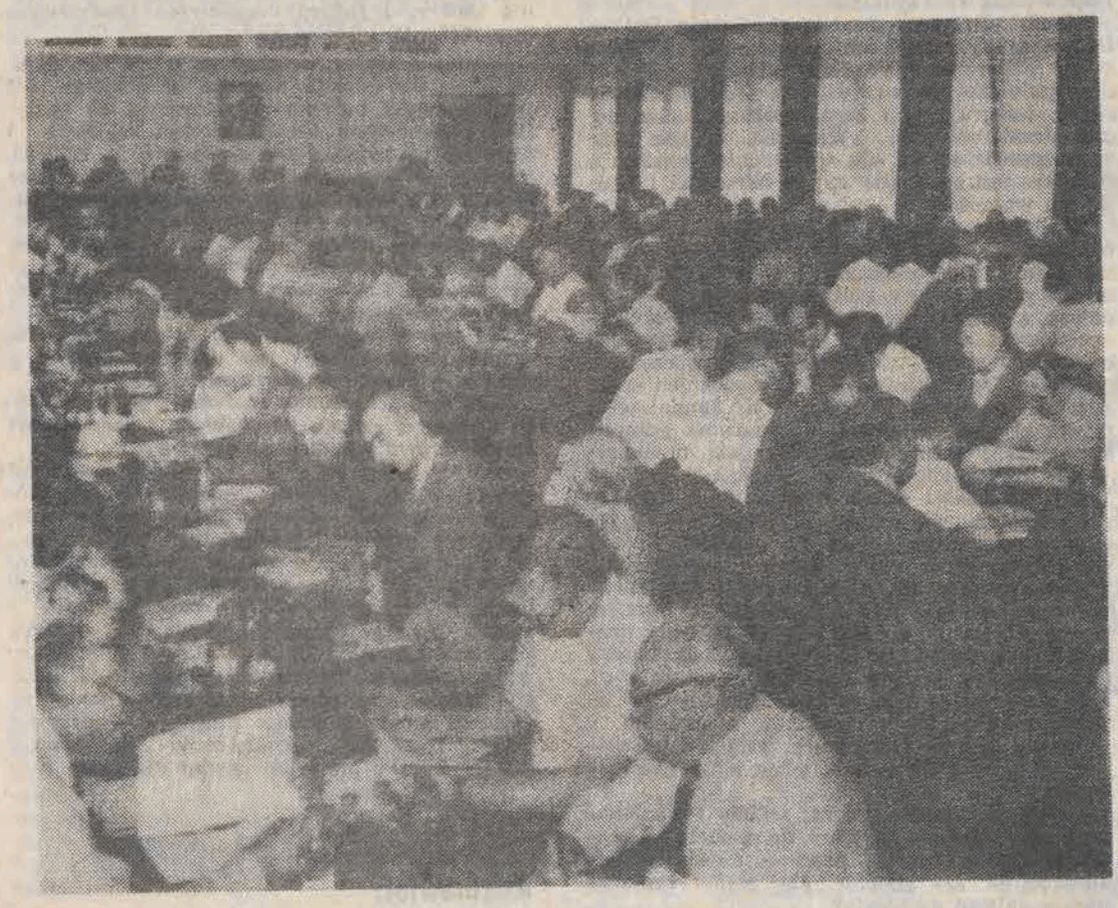

Wybrał: K. J. STRYJSKI

Portret nieznanego malarza, przedstawiający Jana III Sobieskiego. (Oryginał w Muzeum Wojska Polskiego).

Victoria wiedeńska

FRANCISZEK LEWANDOWSKI

„Jak orkanna ponieśli się burzą
Na janczarskie
niezłomne szeregi.
Dym wystrzałów, błyski
kopij schmurza —
Toć szaleństwo!
Stopnieją jak śniegi!
Jeszcze moment!...
Janczary... pokotem!
Jeszcze moment!... Cóż
pęd ich osłabi?!
Zadrżał wezyr pod
barwnym namiotem...
Są w obozie!... Bij,
zabij! Bij zabij!
Zwycięstwo! — Już we
trwodze drży wschód
muzułmański, —
Zwycięski krzyż nad
krwawym błyszczy
bojowiskiem
I w Rzymie bito w
dzwony wszystkich
świątyń Pańskich,
Słowo Polska, przez
kraje biegło sławy
błyskiem!...".

(Wiktor Przecławski: „Pancerni pod Wiedniem").

12 lipca 1683 r. mieszkańcy Wiednia z przerażeniem obserwowali palące się wokół wsie i miasteczka. W dwa dni później ujrzano pierwsze oddziały jazdy tureckiej, a za nią nadciągającą 140-tysięczną armię spod znaku półksiężyca pod dowództwem wielkiego wezyra Kara Mustafy.

Stolica Habsburgów znalazła się w niebezpieczeństwie. Cesarz Leopold I już 7 lipca 1683 r. wyjechał ze stolicy, a za jego przykładem w przeciągu dwóch dni opuściło miasto 60 tysięcy jego mieszkańców. Wprawdzie miasto chroniły potężne wały z 11 bastionami, otoczonymi głębokim rowem, lecz załoga licząca zaledwie 22 tysiące ochotników i żołnierzy, nie miała szans na dłuższą skuteczną obronę miasta.

Energiczny gubernator Wiednia Rydyger Stahremberg już wcześniej umacniał mury, zarządził ewakuację ludności przedmieść i zamknął bramy stolicy. Rozpoczęło się oblężenie miasta. Dniem i nocą Turcy zasypywali stolicę lawiną pocisków z dział i kartaczownic. Podziemnymi nasypami i minami wróg posuwał się coraz bliżej wałów ochronnych. 3 września 1683 r. dostał się w ręce Turków fort Burgravelin, a w kilka dni później padł główny wał przy Löwelbastei. Zepchnięci z wału oblężeni bronili się z naprędce przebudowanych małych fortów, położonych przed utraconymi bastionami. W mieście szerzyły się epidemie, dawał się odczuwać brak żywności i wyczerpywały się zapasy broni i amunicji. Wśród oblężonych zaczęły się pojawiać objawy zwątpienia i niepewności. Ostatkami sił broniono murów stolicy.

W tej groźnej sytuacji, w nocy z 8 na 9 września 1683 r. z wyżyn Lasu Wiedeńskiego, zabłysły ku wielkiej radości oblężonych rakiety, zwiastujące zbliżanie się odsieczy, oddziałów wojsk austriackich, niemieckich i polskich.

Na czele 27-tysięcznej armii polskiej stał sam król Jan Sobieski, z którym cesarz austriacki Leopold I już przedtem zawarł przymierze przeciwko Turkom. Wojska polskie maszerowały dwoma kolumnami pod dowództwem hetmana wielkiego Stanisława Jabłonowskiego i hetmana polnego Mikołaja Sieniawskiego przez Śląsk i Morawy. Po połączeniu pod Mikułowem na Morawach dotarły do Tulnn nad Dunajem. Tu Polacy spotkali się z 18-tysięczną armią austriacką pod dowództwem ks. Karola Lotaryńskiego. Po przeprawie przez Dunaj obie armie spotkały się z maszerującymi prawym brzegiem rzeki wojskami niemieckimi, liczącymi ponad 21 tysięcy żołnierzy. Ogółem siły sprzymierzonych wojsk polskich, austriackich i niemieckich wynosiły około 70 tysięcy i 140 dział.

Pierwsze spotkanie z Janem Sobieskim książąt wojsk austriackich i niemieckich tak opisał w „Podjeździe" Roman Bach-Żelewski:

Siedzieli niespokojni i jakby skonfundowani. Znać było z wyrazu ich twarzy, że chcieliby coś rzec, lecz boją się urazić monarchę sprzymierzonego mocarstwa. Wreszcie książę Lotaryński pogładziwszy czarną perukę, opadającą mu w pięknie ułożonych falach na ramiona, rzekł:

— Wybaczcie, najjaśniejszy panie, ale choć jako raczyliście powiedzieć, pospieszyliście bardzo, to jednak późno przybywacie, a i wojska mniej niż przyrzeczonych 40 tysięcy, jeśli moje oczy nie mylą, przywiedliście.

— Masz wasza książęca mość słuszność. I opóźniłem przybycie i wojska mniej jest ze mną, to tylko koronne w sile około 30 tysięcy szabel. Litwa bowiem, na którą oczekiwałem, nie stawiła się w naznaczonym czasie.

Oblicze królewskie przy tych słowach zachmurzyło się i przebiegł je jakby rumieniec wstydu.

— Ależ to wprost fatalne! — wykrzyknął książę. — Tu każdy pojedynczy żołnierz jest cenny; Hostes w liczbie dwustu, lub jak prawią inni, trzystu tysięcy przedniego wojska leżą już pod murami Wiednia, a my mamy tu złączonych wojsk austriackich i niemieckich zaledwie 46 tysięcy, co czyni wraz z polskimi waszej królewskiej mości wszystkiego zaledwie siedemdziesiąt kilka tysięcy, a więc wiele, wiele za mało! Tymczasem hrabia Rydyger Stahremberg ostatkiem sił przeciwstawia się potędze wielkiego wezyra, od nas jedynie wyglądając zbawienia...

— Mości książę! — rzekł chmurnie król. — Wiesz równie dobrze jak ja, że w orężnej sprawie większy walor ma duch niż liczba żołnierza. A nie wątpisz chyba, że nasze wojska z wolnych ludzi się składające, z innym animuszem pójdą do boju niż hordy niewolników.

9 września 1683 r. wojska sprzymierzone rozpoczęły marsz w kierunku oblężonego Wiednia. Po przejściu Dunaju trzeba było pokonać rozliczne trudności. Trzeba bowiem było przejść góry Lasu Wiedeńskiego, wysokie, strome, niedostępne, w których tylko służba leśna mogła się orientować. Z wielkim trudem posuwały się kolumny wojsk. Prawe ich skrzydło stanowili Polacy, idąc po drodze najdalszej i najcięższej. Krok za krokiem przedzierali się przez bezdrożne i lesiste góry, dźwigając działa na rękach. Na szczęście nie-

przyjaciel zachowywał się biernie, gdyż wciąż jeszcze nie wierzył w obecność króla polskiego i jego wojsk i nie spodziewał się od strony Lasu Wiedeńskiego większych sił odsieczy.

Wreszcie wieczorem 11 września 1683 r. wojska stanęły na górze Kahlenberg, skąd król mógł widzieć cały obóz turecki i broniący się Wiedeń. Na lewym skrzydle stały wojska cesarskie i saskie pod wodzą ks. Lotaryńskiego. Centrum stanowiły oddziały bawarskie i frankońskie pod dowództwem ks. Waldecka. Prawe skrzydło tworzyli Polacy z hetmanem wielkim koronnym Jabłonowskim na czele.

Ogólny plan bitwy król i książęta opracowali już przedtem, przed kilku dniami. Idąc za radą Jana Sobieskiego postanowiono poprowadzić główne uderzenie po linii najkrótszej, z góry Kahlenberg wzdłuż Dunaju.

Gdy król zobaczył, że od stolicy dzielą jeszcze wzgórza, lasy i wąwozy, że teren do natarcia jest tu bardzo trudny, zmienił pierwotny plan i natarcie główne przerzucił na swe prawe skrzydło. Uderzając w tym kierunku, można było odciąć Turków od ich drogi odwrotu na południe, osaczyć ich i zniszczyć.

Tymczasem na stokach Kahlenberga zawiązała się już bitwa. Prowadził ją sam król jako naczelny dowódca wojsk sprzymierzonych. Gdy stok góry został opanowany, wstrzymał dalsze natarcie, i udał się na prawe skrzydło do swoich. Tu miały się rozstrzygnąć losy bitwy. Polacy z wielkim trudem schodzili ze stromych ścieżek. Lekkie chorągwie w terenie niesłychanie trudnym, ścierały się ze spahisami i spędzały ich ze wzgórz. Piechota i artyleria nadludzkim wysiłkiem przeciągając przez góry działa, krok za krokiem zdobywała i obsadzała poszczególne wzgórza i miejscowości, odrzucając Turków z podnóża Lasu Wiedeńskiego. W ten sposób wywalczała przestrzeń, na której mogła się rozwinąć w swym ataku ciężka jazda.

12 września w godzinach popołudniowych nadeszła wreszcie chwila, gdy ruszyła husaria polska. Uderzyły trąby i kotły. Z piersi tysięcy skrzydlatych rycerzy wyrwał się okrzyk bojowy. Runęła najpierw z kopyta chorągiew Zbrożka, runęły za nią i inne. W zachodzącym już słońcu wrześniowym błyszczały pozłacane zbroje, szumiały skrzydła, cięły powietrze olbrzymie kopie zdobne w proporce. A na czele tego zwału stalowych olbrzymów cwałował sam król, wiodąc ich poprzez płoty, rowy, ruiny spalonych osiedli ku chwale zwycięstwa.

Walka nie trwała długo. Impet husarii jak nurt wezbranej rzeki ciężarem swym przytłoczył wroga, zmusił go do ucieczki. Równocześnie wraz z natarciem husarii, uderzyły na wroga oddziały wojsk sojuszniczych.

Wielki wezyr Kara Mustafa początkowo nie wierzył, aby król polski zdecydował się wystąpić przeciwko potężnej armii tureckiej. Nawet wtedy, kiedy już wiedział o wyruszeniu wojsk polskich z Warszawy sądził, iż nie tak prędko zjawią się tutaj. Nie wierzył, żeby ta garstka ludzi z Lechistanu miała odwagę stanąć oko w oko z olbrzymią armią turecką. Bardziej doświadczeni janczarowie drżeli z wściekłości i przedstawiali na próżno niebezpieczeństwo. Nawet w dniu decydującym — 12 września — kiedy bitwa już się zaczęła wielki wezyr nie zdawał sobie sprawy, że Jan Sobieski bierze udział w bitwie. Obawiał się go najbardziej jako przeciwnika i stratega o wielkich zaletach i uzdolnieniach. Gdy jazda polska przebiła się przez liczne szwadrony tureckie i doszła aż do obozu wodza, zrozumiał grozę położenia. Próbował bezskutecznie pobudzić odwagę swoich oddziałów. Strach zmroził ich serca. Jedynie oddziały spahisów próbowały się przeciwstawić wrogowi, lecz i one zostały zmuszone do odwrotu.

„Wielki wezyr pociągnął ze swoją małą świtą i świętą chorągwią do obozu — pisał kronikarz turecki, biorący udział w bitwie — *gdzie już tu i tam wdzierali się wrogowie wiary. Teraz dano rozkaz odwrotu oddziałom w okopach.*

Nieprzyjaciel urządził rzeź i zatknął na skarbcu swoją chorągiew. Wielki wezyr skoczył sam z panami do bitwy, natarł kopią i przebił się przez wielką liczbę giaurów. Poległo wielu panów i agów, przyboczny sekretarz wielkiego wezyra, a albańską gwardię ubraną w czerwone kurtki w pień wyrżnięto. W gorączce walki i nierozważnym zapale nie chciał wielki wezyr ustąpić z pola. Wolał zginąć niż przeżyć ten dzień, gotów był śmierć znaleźć w tym boju. Aż z litości nad tak wielką liczbą wiernych i z troski o świętą chorągiew, na którą przysiągł, rzekł Osman Aga do wielkiego wezyra: „Panie, zlituj się! Wszystko stracone! Wasze życie jest duszą wojska. Jeśli poświęcicie się, Wojsko Islamu w całości będzie stracone. Błagam. Uciekajmy!". Z tymi słowy chwycił świętą chorągiew i reszta świty wycofała się do Gyor (na Węgrzech)".

„Sobieski był przyjęty przez mieszkańców Wiednia — pisał ówczesny kronikarz francuski — *z uniesieniem i najwyższą wdzięcznością. Wszyscy oficerowie przyznali mu chwałę i uznanie tego wielkieko dnia i nazwali go „Obrońcą cesarstwa". Tylko ten, który mu najwięcej zawdzięczał, okazał swą niewdzięczność. Cesarz Leopold przyjął króla z zimną grzecznością. W germańskim władcy rozbudziło się uczucie podrażnionej dumy. Wobec wysunięcia się na pierwszy plan króla polskiego, poczuł zawiść do swego zwycięskiego sojusznika i z trudem tylko nie okazywał tego jawnie uszczęśliwionym tłumom. Bitwa pod Wiedniem usunęła go w cień, a w blaskach zwycięzcy kroczył ze swym wojskiem Jan Sobieski".*

Zwycięska odsiecz Wiednia przez Jana III Sobieskiego zaliczana jest przez historyków polskich i obcych do rzędu tych rzadkich zwycięstw, które decydowały nie tylko o losach jednego państwa, lecz całej Europy.

Warzelnia soli w Solcy

Jacek Jezierski — kasztelan łukowski, poseł na sejmy i senator, autor licznych pism publicystycznych, zwolennik uprzemysłowienia kraju i założyciel wielu manufaktur — związany jest swą działalnością gospodarczą z terenem Polski środkowej, a między innymi z północno-zachodnią częścią dzisiejszego województwa miejskiego łódzkiego.

Urodzony w roku 1722 na Podlasiu, pochodził on ze starej, notowanej już w XVI wieku, średnio zamożnej rodziny szlacheckiej, której członkowie nie piastowali jednak wyższych godności w Rzeczypospolitej. Wszystkie herbarze podkreślają, że jej senatorską i hrabiowską linię zapoczątkował Jacek Jezierski. O jego wczesnych latach wiemy bardzo niewiele. Podobno otrzymał staranne wychowanie. Za panowania Augusta III przez 22 lata służył w wojsku w randze kapitana regimentu artylerii konnej. Potem bierze czynny udział w życiu politycznym — jest posłem na sejmy i senatorem.

Jako komisarz dóbr prymasowskich dorobił się Jezierski wielkiego majątku. Pożyczał też pieniądze na procent i brał w zastaw lub dzierżawę dobra ziemskie. W roku 1776 nabył od magistratu Warszawy plac nad Wisłą, gdzie wybudował pałacyk zwany kasztelańskim, wystawił słynne łazienki, gospodę i winiarnię. Na uwagę potomnych zasłużyły sobie przede wszystkim głoszone przez Jacka Jezierskiego hasła uprzemysłowienia kraju i praktyczne kroki, które podejmował w tym kierunku.

Gdy po pierwszym rozbiorze odpadły od Polski kopalnie soli w Wieliczce i Bochni, poważnym trudnościom w zaopatrzeniu kraju w sól usiłowano zaradzić szukając dość powszechnie nowych źródeł jej eksploatacji. Jacek Jezierski upatrzywszy sobie odpowiednie miejsce we wsi Solca, położonej na północny zachód od Ozorkowa, „częścią do dóbr prymasowskich, częścią do kapituły kolegiaty łęczyckiej należącą", wystawił tam porządne budynki, zmontował odpowiednie urządzenia, sprowadził solarzy i rozpoczął warzenie soli w oparciu o miejscowe słone źródło. Warzelnia ta była czynna w latach 1780—1795. Z kapitułą łęczycką zawarł Jezierski kontrakt dzierżawny, w którym zastrzegał sobie korzystanie z zasobów słonej wody dla celów warzelniczych, płacąc rocznie 150 zł od 30 morgów dzierżawionej ziemi. Miejsce wybrane przez Jezierskiego okazało się pod wielu względami dobre — woda dawała sól wysokiej jakości, okolica wówczas obfitowała jeszcze w lasy, a warzelnia była usytuowana blisko rzek Bzury, Warty i jej dopływu Neru, co stwarzało możliwość spławu soli w różne strony kraju.

O opłacalności warzenia soli z wody, gdy brakło nam własnych kopalń, mówił Jacek Jezierski niejednokrotnie. Na przykład na sejmie w styczniu 1791 roku powiedział: „Wielicka sól w Łęczycy sprzedaje się garniec po zł 2, a moja warzona po gr 20. Nadto sól moja blisko w równym gradusie (stopniu) z twardą solą równa się...".

Po dwóch latach Jezierski wyprodukował w swej warzelni 16 beczek soli. Jedną z nich ofiarował Adamowi Naruszewiczowi — znakomitemu historykowi i przyjacielowi króla Stanisława Augusta — dołączając zapewne prośbę o poparcie w kontynuowaniu swych przedsięwzięć przemysłowych. Naruszewicz z kolei przesłał sól z Solcy królowi, prosząc go w liście, aby znalazł czas na rozmowę z Jezierskim o sposobach dalszej eksploatacji soli. W tymże roku 1782 Stanisław August złożył Jezierskiemu publiczne podziękowanie na sejmie.

Mimo trudności, na jakie napotykała produkcja soli (np. zbyt płytko wykonane studnie, z których czerpano gromadzącą się tam wodę, czy też trudności ze znalezieniem odpowiednich specjalistów), prowadzona przez Jacka Jezierskiego warzelnia rozbudowywała się i prosperowała lepiej od innych, przynosząc znaczne zyski. Z raportu Tadeusza Czackiego, wysłanego przez Komisję Skarbu Koronnego celem „rewizji fabryk solnych", wynika, że sól z Solcy była tańsza niż produkowana w Busku, gdzie warzelnię soli założył sprowadzony przez króla z Saksonii znany specjalista graf Beyst. O tym decydowały między innymi różnice cen drewna używanego przy produkcji soli (w okolicach Solcy sążeń drewna kosztował 2 zł, a w Busku 5 zł).

Podobno Jacek Jezierski „dla oszczędzenia kosztów" projektował, aby jako siłę napędową „zamiast ruchu machin przez powiew wiatru" spożytkować wodę doprowadzaną „wodociągiem ze źródeł w Śliwnikach i okolicach będących" oraz rozszerzenie terenu warzelni przez wydzierżawienie pobliskich dóbr. W roku 1792 postulował on, żeby Komisja Skarbowa przyłączyła do Solcy przeznaczone na licytację starostwo łęczyckie, zaś w niedatowanym liście do króla Stanisława Augusta proponuje także, by Komisja Skarbowa objęła warzelnię w administrację.

Obok warzelni soli w Solcy, Jacek Jezierski założył — nabywszy dobra w Kielecczyźnie — w Miedzieży hutę żelaza, składającą się z wielkiego pieca i dwóch fryszerek, a w Maleńcu wystawił tartak, drutarnię i zespół 8 fryszerek poruszanych siłą wody, gdzie wyrabiano stal. W Sobieniach pod Warszawą uruchomił Jezierski pierwszą w kraju większą wytwórnię kos, zaś w Grębowicach wytwórnię fajansu. Ostatnie lata swego życia spędził Jezierski w dobrach otwockich, które także próbował uprzemysłowić. Zmarł w roku 1805 w Otwocku.

Fabryki Jacka Jezierskiego rozwijały się pomyślnie i funkcjonowały stosunkowo długo, a ich produkty odznaczały się dobrą jakością. Umiejętne prowadzenie zakładów i odpowiednia reklama sprawiły, że w krótkim czasie Jezierski zajął jedno z czołowych miejsc wśród polskich przemysłowców końca XVIII wieku.

Interesującą pracę o Jacku Jezierskim napisała Krystyna Zienkowska. Praca ta, wydana drukiem w roku 1963 nosi tytuł: „Jacek Jezierski — kasztelan łukowski".

HENRYK SZUBERT

Jak straszna jest wojna

MIROSŁAW GREMPLEWSKI

W oblężonym Leningradzie

22 czerwca 1941 roku, po radiowym wystąpieniu Wiaczesława Mołotowa, informującym o rozpoczęciu wojny, fala wieców przeszła przez leningradzkie zakłady pracy. Komendy wojskowe zobowiązane były w krótkim czasie przyjąć w ramach mobilizacji 100 tysięcy ludzi, przygotować ciężkie i lekkie uzbrojenie. Mobilizacja przeszła szybko. 22—23 czerwca do komend wojskowych zgłosiło się z wezwaniem i bez nich około 100 tys. leningradczyków, żądających skierowania ich na front. W związku z masowym napływem ochotników postanowiono utworzyć armię pospolitego ruszenia. Zgłosiło się do niej około 200 tys. ludzi. Dwie trzecie przyjętych było w wieku do 35 lat i większość posiadała wojskowe przeszkolenie.

EWAKUACJA DZIECI

W pierwszych dniach wojny władze partyjne i miejskie Leningradu postawiły na porządku dziennym sprawę ewakuacji dzieci. Leningrad wprawdzie nie przeżył jeszcze masowych nalotów wroga, lecz istniała obawa przed bombardowaniem miasta. Stosunkowo niewielką ilość dzieci wraz z matkami ewakuowano do okręgów: jarosławskiego, kirowskiego, swierdłowskiego, większość zaś w wieku do 14 lat, pod opieką wychowawców i nauczycieli, skierowano do różnych miejscowości okręgu leningradzkiego. Ewakuowano także domy dziecka wraz z personelem oraz instytucje opiekujące się dziećmi upośledzonymi.

Nie przypuszczano wówczas, że miejscowości, w których rozmieszczono ewakuowanych, tak szybko staną się obszarem działań wojennych. Już w początkach lipca należało dzieci ewakuować powtórnie i to w warunkach znacznie trudniejszych. Pociąg wiozący dzieci na stację Jedrowo został trafiony bombami. Wiadomość o tym dotarła do Leningradu, wzbudzając popłoch i rozgoryczenie. Znaczna część rodziców, na własną rękę, wyjechała szukać dzieci.

Perswazje władz, by rodzice i opiekunowie wyrazili zgodę na ewakuację do okręgów: jarosławskiego i kirowskiego napotykały opór. Większość dzieci wróciła z powrotem do Leningradu, skąd kilkadziesiąt tysięcy pod opieką matek i krewnych udało się wywieźć już podczas walk na przedpolach miasta.

Do **29 sierpnia 1941 roku** opuściło miasto ogółem 480.000 stałych mieszkańców, wliczając w to dzieci. We wrześniu, po zamknięciu przez Niemców pierścienia blokady, pozostało około 2,5 miliona ludności cywilnej.

KARTKI

18 lipca 1941 roku, w Leningradzie, a także w innych dużych miastach, zgodnie z decyzją Rady Komisarzy Ludowych, wprowadzono racjonowanie żywności. W wolnej sprzedaży znajdowały się różnego rodzaju konserwy rybne, owocowe, warzywne, herbata, kawa oraz wyroby cukiernicze. Niektóre sklepy prowadziły sprzedaż artykułów żywnościowych według cen wolnorynkowych, które przewyższały obowiązujący cennik państwowy. W lipcu, a zwłaszcza w sierpniu, dowóz żywności do Leningradu zmalał.

Pod koniec września 1941 roku, artykuły żywnościowe — poza chlebem — zaczęto wydawać nieregularnie, a od listopada tylko dzieci otrzymywały cukier i wyroby cukiernicze, czasem tłuszcz, zaś inne kategorie użytkowników kartek musiały zadowalać się w zasadzie samym chlebem. Od grudnia wydawano po 400 gramów soli i 4 pudełka zapałek miesięcznie.

We wrześniu 1941 roku okazało się, że posiadane zapasy ropy i produktów naftowych mogą wystarczyć na 20—22 dni, węgla na 75—80 dni, drzewa opałowego na 18—20 dni. W pierwszej połowie października wysłano do lesistych rejonów na północ od miasta kilkadziesiąt brygad, w których przeważały dziewczęta w wieku 16—17 lat. Nie mogły one jednak przygotować dostatecznej ilości drzewa dla przezwyciężenia kryzysu paliwowego w mieście. W związku z tym, na polecenie władz miejskich, Instytut Gospodarki Cieplnej i Instytut Urządzeń Komunalnych opracowały kilka wzorców małych żelaznych piecyków, a wytypowane zakłady i spółdzielnie przystąpiły do ich produkcji. Również mieszkańcy we własnym zakresie zaczęli wyrabiać różnego rodzaju piecyki zwane „burżujkami". Niedostatecznie zabezpieczone „burżujki" stały się przyczyną wielu, nieraz groźnych, pożarów.

20 listopada 1941 roku wprowadzono najniższe w czasie całej blokady przydziały chleba. Wynosiły one 250 gramów dziennie dla robotników, a 125 gramów dla wszystkich innych kategorii mieszkańców. Robotnicy otrzymywali w zakładach rozwodnioną zupę i mogli w ograniczonej ilości zakupić surogaty żywnościowe.

WSZYSTKO, CO NADAJE SIĘ DO JEDZENIA

Rozpoczęły się poszukiwania ukrytych zapasów. Specjalne komisje i brygady przetrząsały magazyny, statki stojące przy nabrzeżach, młyny. Zbierano ostrożnie pył mączny, który od lat gromadził się na ścianach, sufitach i maszynach. Wywracano i trzepano puste worki, w których kiedyś była mąka. W browarach, po podniesieniu podłóg i w różnych zakamarkach, odkryto i zebrano sto dziesięć ton słodu. Przekazany wraz z tym, który leżał w magazynach, do młynów, zmielony i dodany do mąki, służył do wypieku chleba. W wojskowych składach odkryto 5 tys. ton owsa dla koni. Całość zużyto oczywiście dla ludzi. Do chleba użyto też ziarna wydobytego z dna Ładogi.

W porcie leningradzkim odkryto duże zapasy celulozy. Grupa specjalistów z Akademii Techniczno-Leśnej opracowała metody jej przerobu na produkt spożywczy. Pracami kierował prof. W. Szarkow. Pod koniec listopada celuloza poczęła nadchodzić do piekarń. Wypieczony z jej dodatkiem chleb był biały, miał rumianą skórkę, ale celuloza dawała mu specyficzną gorycz. W porcie odkryto makuchy bawełniane. Zwrócono się o pomoc do naukowców. Makuchy zawierają składniki toksyczne, niebezpieczne dla ludzkiego organizmu. Okazało się, że trucizny te rozkładają się w odpowiedniej temperaturze i przestają być groźne. Makuchy pomieszane z bawełnianym puchem szybko transportowano do młynów.

Codziennie do smarowania form piekarniczych zużywa się dwie tony niezwykle cennych tłuszczów roślinnych. Zastosowano emulsję złożoną z niewielkiej ilości oleju słonecznikowego oraz z pewnego związku chemicznego.

Z celulozy robiono drożdże i mleko drożdżowe. W magazynach garbarni odkryto skóry młodych cieląt. Gotowano z nich galarety, które wydawano zamiast mięsa. Podobne produkty robiono z kiszek baranich, których duże ilości znaleziono w porcie. Zamiast kasz ludzie otrzymywali szaroczarny, chropowaty makaron z żytniej mąki i lnianych makuchów. Tłuszcze uzyskiwano przerabiając farby olejne i mydła techniczne. Z soi otrzymywano „mleko" przeznaczone dla dzieci, rannych, karmiących matek.

Rada Miejska poleciła spółdzielni „Lenryba" maksymalnie zwiększyć połowy pod lodem i w przeręblach. Do połowów wykorzystano 5-kilometrowy odcinek Zatoki Fińskiej oraz jeziora i stawy na Przesmyku Karelskim. Dzienne połowy ustalono na 10—12 ton, w rzeczywistości jednak nie osiągnęły one przeciętnie więcej niż 4—5 ton.

Ludność we własnym zakresie usiłowała zdobyć choćby minimalne ilości środków żywnościowych. W kilku punktach miasta, zwłaszcza na Siennym Placu działały targi, gdzie można było kupić nieco chleba, marchwi, czasem rybę, kawałek mięsa niewiadomego pochodzenia, a nawet jakąś konserwę. Przeważał handel odzieżą lub handel wymienny. Na żywność wymieniano kosztowności, dzieła sztuki, przedmioty ze srebra. Zimą za kilogram chleba żądano 500—600 rubli, za szklankę tytoniu lub machorki 100—200 rubli. Na Kuźniecznym sprzedawano badajewską ziemię. Kiedy badajewskie magazyny paliły się, mnóstwo roztopionego cukru wsiąkło w ziemię.

Milicja i drużyny ochotnicze prowadziły bezwzględną walkę z handlem żywnością niewiadomego pochodzenia. W okresie od września 1941 roku do lipca 1943 roku skonfiskowano około 1000 ton różnych artykułów żywnościowych i nieco ponad 50.000 metrów towarów włókienniczych. Sprawy spekulantów i złodziei rozpatrywały trybunały wojenne. Wyrokiem przeważnie była kara śmierci.

Od października do grudnia 1941 roku wyłapano i zjedzono wszystkie psy i koty. W instytutach i zakładach doświadczalnych zjedzono króliki, morskie świnki, białe myszy, a także szczury. Kiedy natężenie walk wokół Leningradu nieco osłabło, tłumy głodującej ludności wyruszały na pola, aż pod samą linię frontu, by wynajdywać ziemniaki i warzywa. Niemcy, gdy tylko zauważyli postacie grzebiące w ziemi, otwierali ogień. Perswazje i nawoływania radzieckich oficerów i żołnierzy nie odnosiły skutku. Pochody cywilów udawały się także do lasów podmiejskich na północ od Leningradu, by wynajdywać zmarznięte jagody i rośliny uznawane za jadalne.

Rozpoczęto kontrolę wydawania kartek. We wrześniu 1941 roku biura wydały 70 tys. różnych talonów, w znacznej części mieszkańcom już je posiadającym. Niemało kartek wydano dla dzieci, które były ewakuowane z Leningradu. Kartki miały być wydawane tylko za okazaniem dokumentów. Do kontroli włączono ponad 3 tysiące aktywistów partyjnych i robotników. W październiku wydano już o 97 tys. kartek mniej niż w poprzednim miesiącu. Pojawiły się jednak kartki podrobione. W listopadzie 1941 roku milicja zatrzymała kobietę, która wynosiła z zakładów ponad 100 kartek żywnościowych. W październiku wydano zastępczo, z powodu utraconych, 4.800 nowych kartek, w listopadzie — 13 tysięcy, w grudniu 24 tysiące. Najczęściej tłumaczono się tym, że kartki zostały w domu, a dom został zniszczony przez bombardowanie lub ostrzał. Zaczęto te informacje sprawdzać. Ilość zgubionych kartek zmniejszyła się.

BEZ WODY I OPAŁU

Wydano zarządzenia, aby rozebrać stare, drewniane budynki znajdujące się w pobliżu linii frontu. Ludność usiłowała zdobyć nieco drewna we własnym zakresie. Palono płoty, komórki, altanki, meble, książki, drewniane przedmioty domowego użytku. W związku z brakiem wody i opału zawiesiły działalność pralnie, łaźnie i zakłady fryzjerskie. Nie działały zimą 1941/42 wodociągi. Mieszkańcy zaczęli odczuwać brak wody. Zorganizowano punkty na Newie, gdzie można było brać wodę. Przy brzegach zanieczyszczonych rzek i kanałów ustawiano tablice ostrzegawcze i warty.

W pierwszej kolejności udzielano pomocy nie chorym, a osłabłym z głodu. Zaczęły bowiem napływać sygnały, że ludzie padają na śnieg i zamarzają. Patrole drużyn sanitarnych wyszły więc na ulice. W krótkim czasie szpitale zapełniły się. Ludzie byli tak osłabieni, że umierali w punktach pierwszej pomocy, jak i zaraz po przewiezieniu do szpitali. Przeglądano również mieszkania w poszukiwaniu osłabionych. Znaleziono 5 tysięcy dzieci pozostawionych bez nadzoru.

Od listopada 1941 do czerwca 1942 zmarło ponad 600.000 ludzi. W tym czasie zdołano ewakuować około pół miliona osób.

Kiedy stanęła komunikacja miejska, część robotników zamieszkała w bursach na terenie zakładów. Tylko od czasu do czasu udawali się do rodzin. Taki wypad trwał około dwóch dni. Pogorszyły się warunki higieniczne, brakowało ciepłej wody do mycia, niedostateczne było oświetlenie hal produkcyjnych. Zimno dokuczało tak dalece, że w ciągu godziny pracy pracownik 2—3 razy podchodził do piecyka, by ogrzać ręce. W styczniu 1942 roku zakłady pracy zaczęły organizować półsanatoria. Skierowany tam robotnik lub robotnica w ciągu 10—14 dni otrzymywali według norm opracowanych przez Instytut Żywienia Zbiorowego specjalną dietę, zastrzyki wzmacniające, witaminy. Stosunkowo szybko nabierali sił. W ciągu pierwszych sześciu miesięcy 1942 roku w półsanatoriach poprawiło stan swego zdrowia około 64 tysiące leningradczyków.

MIASTO JEDNAK ŻYŁO

W oblężonym mieście funkcjonowały teatry, odbywały się koncerty. Funkcjonowały biblioteki i muzea z Ermitażem na czele. Biblioteka publiczna obsłużyła ponad 41 tysięcy czytelników, wydając 1.500 tys. książek. W Domu Kultury im. M. Gorkiego z jego biblioteki skorzystało ponad 25 tys. czytelników.

Wiosną 1942 roku miastu groziło nowe niebezpieczeństwo — epidemia. Ulice pokryte były śniegiem, śmieciami, nieczystościami. Pod śniegiem znajdowały się trupy mieszkańców. Postanowiono w pierwszych dniach wiosny usunąć to zagrożenie. Trzeba było przygotować nie tylko transport, narzędzia, ale trzeba było przygotować samych mieszkańców do tego zadania. Od **25 marca 1942 roku** przeprowadzono mobilizację mieszkańców do tego zadania: mężczyzn od 15 do 60 roku życia, kobiet — od 15 do 55 lat. Od 27 marca do 15 kwietnia leningradczycy oczyścili 12 tys. podwórzy, 3 mln metrów kwadratowych ulic. Z początkiem maja jedna trzecia miasta otrzymała wodę. Od 15 kwietnia uruchomiono komunikację tramwajową.

Instytut Botaniki i pracownicy Ogrodu Botanicznego opracowali informator o roślinach spotykanych w Leningradzie i okolicach. Zorganizowano szereg odczytów i pokazów roślin nadających się do spożycia.

Przystąpiono do tworzenia ogrodów w mieście, na podwórzach, skwerach. Można było wykorzystać około 2,5 tys. ha. Zorganizowano 650 podstawowych gospodarstw i 276 tys. mieszkańców miasta, indywidualnie lub kolektywnie, przystąpiło do ogrodnictwa. Z kraju przysłano 5 tys. ton ziemniaków. Sowchozy obsiały 2.220 ha, wspomagające gospodarstwa — 5.186 ha i indywidualni ogrodnicy — 1.784 ha. Zebrano 55 tys. ton warzyw i ziemniaków.

W czerwcu 1942 roku rozpoczęto przygotowania do akcji pomocy w racjonalnym żywieniu mieszkańców. Otworzono 110 stołówek i bufetów, które wydawały obiady do domu.

Nie starczało węgla, mazutu, torfu, drewna. Zapasy, które posiadano, nie zaspokajały potrzeb. Jedynym rozwiązaniem sytuacji była rozbiórka domów drewnianych. Wkrótce okazało się, że rozbieranie domów nie zabezpieczy potrzeb miasta i jego mieszkańców. Brakowało miliona metrów opału. Żeby to osiągnąć, trzeba było rozebrać 1000 domów i przesiedlić do domów murowanych około 80 tys. ludzi. Do 1 października 1942 roku planu rozbiórki nie udało się wykonać. Kampanię przedłużono o 20 dni. Od początku wojny do 1 stycznia 1943 roku w Leningradzie rozebrano 3.162 drewniane domy o powierzchni ponad 1 milion metrów kwadratowych.

18 stycznia 1943 roku miasto doczekało się przerwania blokady, a 14 stycznia 1944 ofensywy, która odrzuciła Niemców od bram miasta.

Polska wystawa i jej konteksty (2)

Centre Georges Pompidou czyli pole chwały

(Korespondencja własna z Paryża)

— *Zburzyć muzea, biblioteki i akademie wszystkich rodzajów* — nawoływał u początku wieku futurysta Marinetti — bo już wówczas te szacowne instytucje zadowolonego z siebie mieszczaństwa uznano za bastiony tradycjonalizmu i artystycznej konserwy, za cmentarzyska sztuki, która przestała kogokolwiek obchodzić. Od tamtego czasu minęło kilkadziesiąt lat, ale problem pozostał nadal aktualny, bo oto w maju 1968 roku, właśnie w Paryżu, młodzi buntownicy próbowali hasła Marinettiego zamienić na czyny. Znów muzeum potraktowano jako symbol fałszywych uroszczeń i pozornego prestiżu sytej burżuazji.

Tym bardziej, że wszystkie te Luwry i Ermitaże, pałace minionej świetności, z solidnymi murami i kolumnadami, kłóciły się w jaskrawy sposób z dwudziestowiecznymi formami sztuki, jej demokratyzacyjnymi ambicjami, z jej rozmachem i nieposkramialną żywotnością. Muzeum z lśniącymi posadzkami, z bamboszami, z atmosferą rodzinnego grobowca, gdzie rozmawia się bogobojnym szeptem, z tabliczkami „nie dotykać", „nie siadać", z balustradkami, z drylem utrzymywanym przez służby porządkowe, to ubezwłasnowolnienie sztuki. Jej nowe formuły, nowe potrzeby i związane z nimi oczekiwania odbiorców zmusiły muzeologów do poszukiwań i eksperymentów. Taką była przyczyna pierwsza, która zmaterializowała projekt i budowę paryskiego Centre National d'Art et de la Culture.

Była i przyczyna druga. Wzięła się ona z potwierdzanej coraz przez fakty, obserwacji, że Paryż, niegdysiejsza stolica kulturalna świata, stopniowo traci swoje znaczenie, że kulturowe i artystyczne centra przesuwają się gdzie indziej: rozprzestrzeniają się za oceanem, odbierając to, czym była i czym zawsze być chciała. Tak więc Georges Pompidou, jeden z najświatlejszych mężów stanu swojego czasu, zostawszy prezydentem postanowił przywrócić Paryżowi rolę prowadzącą na scenie kultury światowej. „*Moje racje?* — argumentował — *Kocham sztukę, Paryż i Francję*".

Nie popadnę w zbytnią przesadę, jeśli powiem, że od czasów budowy Notre Dame, Paryżanie zdążyli przywyknąć do zaskakujących pomysłów architektoniczno-urbanistycznych. Choć niektóre z nich w rewolucyjnym zapamiętaniu burzyli — wspomnijmy Bastylię — to przecież przyjęli w końcu śmiały projekt Hausmanna, który zrównał z ziemią tysiące domów i stworzył Wielkie Bulwary; zapomnieli o „brzydocie" Tour d'Eiffel, nader awangardowym spadku po Wystawie Światowej; nie pamiętają o symbolice przestylizowanej bazyliki Sacré-Coeur, a ocalałe wiatraki na Montmartrze oglądają z pietystycznym podziwem, równym temu jaki towarzyszy zwiedzaniu Sainte-Chapelle. Zaakceptowali także, jakże bulwersującą w swoim czasie, decyzję o zburzeniu Hal, gargantuicznej krainy kulinarnej z legendarną zupą cebulową. A drapacz chmur w sercu Montparnassu? A istny, architektoniczny „szok przyszłości", jakim jest La Défense? Wszystko to stoi, jest, nie budzi sensacji ani protestów i całkiem dobrze komponuje się w panoramie tego miasta.

Czyż więc można było jeszcze czymkolwiek Paryżan, a i globtroterów z całego świata, zadziwić, wprowadzić w stan osłupienia, zmusić do otwarcia ust i zakrzyknięcia, po mickiewiczowsku (jak w sonetach krymskich): Aaa! Okazuje się, że tak.

Po pierwsze dlatego, że to coś postanowiono wybudować w samym sercu Paryża, tuż obok La Cité, w nieodległej przestrzeni od najstarszych monumentów stolicy, między pozostałą po kościele z czasów Franciszka I, gotycką Tour Saint-Jacques a kamieniczkami i pałacami (hotels) Marais, jednej z najstarszych dzielnic Paryża. Jeśli ktoś sądzi, że projektanci przyszłego Centre Georges Pompidou rozpatrywali kształt architektoniczny swojej budowli, biorąc pod uwagę to historycznie spatynowane otoczenie głęboko się myli. Ideodawcą, Jontus Hulten i inżynierowie-architekci (Renzo Piano i Richard Rogers), których projekt w wyniku konkursu ostatecznie wybrano, zachowali się jak barbarzyńcy. Pochłonięci swoją wizją wymazali z planu miasta cały kwartał. Zamknęli oczy na wszystko co wokół, co mogłoby przeszkadzać, napierać swoimi tradycyjnymi formami, ograniczać. I tak powstała ta ogromna budowla? konstrukcja? obiekt? pochłaniając prawie miliard franków, która 31 grudnia 1977 roku otwierał już po śmierci Georgesa Pompidou, nowy prezydent Valery Giscard d'Estaing.

Jak „to" wygląda? Wprawdzie opisywano u nas Centrum po wielekroć, a łódzkie Muzeum Sztuki prezentowało nawet projekt na specjalnej wystawie, jednak nie mogę w swej relacji nie napisać o Beaubourgu choć trzech zdań.

Jeśli powiem, że jest to imponujący prostopadłościan ze szkła i stali, obstawiony rusztowaniami, to czytelnik wzruszy ramionami: mało to napatrzył się na polskie niedbalstwo? Gdy dodam, że te rusztowania, zewnętrzne windy i rury pomalowane są na wiele ostrych kolorów, a jeden z frontonów (właśnie ten skierowany na Marais) tworzy istną, wielobarwną gmatwaninę rur o różnym przekroju pnących się ku górze, to ci, którzy zwiedzali płocką rafinerię też gotowi wzruszyć ramionami (chciałbym zobaczyć ich miny, gdyby zobaczyli ją na Rynku Głównym w Krakowie zamiast Sukiennic!). Powiem więc jeszcze, że na frontonie głównym, na całej jego przestrzeni, przywieszono, tarasowato wznoszący się, szklany tunel z ruchomymi schodami, które dowożą dziesiątki ludzi na wszystkie poziomy tej budowli, że po bokach placu wokół Centrum wystające z ziemi pokaźne, zakrzywione tuby (klimatyzacja?) sprawiają wrażenie jakby ta cała zadziwiająca konstrukcja umieszczona została na pokładzie ogromnego statku, który żegluje z dumnym wyzwaniem pośród zabytków starego Paryża. A pokład ten wypełniony jest tłumem podróżnych, którzy uczestniczą w nieprzerwanym festynie, jaki tam się odbywa. Rozbrzmiewają instrumenty z różnych kontynentów, produkują się mimowie i tancerze, szarlatani i połykacze ognia, uliczni żartownisie i całe ansambl clownów. Z boku, na tle gotyckich łuków i witraży pobliskiego kościoła, prostokątny basen z fontannami i mobilami o krzykliwych barwach i kiczowatych formach, które tak lubi obnosić z ekshibicjonistyczną ostentacją współczesna sztuka.

Stoi przed tym wszystkim człek, na co dzień oglądający blokowisko Widzewa—Wschód, krzyczy „Aaaa!" i bez wahania zanurza się bez reszty w ów Hultenland. Ale przecież nie ta konstrukcja w końcu — realizacja utopijnych, jak się niegdyś wydawało, marzeń minionych awangard — decyduje, że Centrum im. Pompidou stało się Ośrodkiem Kultury i Sztuki na miarę aspiracji człowieka schyłku XX wieku.

Fabryka kultury? Wielki nowoczesny kombinat sztuki? Tak, jeśli pracujemy z potrzeby serca, a nie po to, by zarabiać na chleb. Tak, jeśli nie musimy wstawać o świcie, albo wzdragać się na myśl o trzeciej zmianie. Tak, jeśli przy warsztacie nie spoglądamy na zegarek, a praca jest niekłamaną radością. W tym sensie jest to wspaniała fabryka, miejsce tworzenia i uczestnictwa w tworzeniu, miejsce inspirujących doświadczeń i poznawczych odkryć. Fabryka, w której codziennie jest pełno ludzi, i która tętni życiem.

Bogatą i wszechstronną działalność Centrum prowadzą jego cztery oddziały główne: Musée National de l'Art Moderne (MNAM), Bibliothèque Publique d'Information (BPI), Centre de Création Industrielle (CCI) oraz Institut de Recherche et Coordination Acoustique (Musique — IRCAM). Poziom pierwszy, parterowy, gmachu zajmują: dział informacji i obsługi zwiedzających, księgarnia, kafejka i inne pomieszczenia usługowe. Na poziomie drugim — wcale pokaźna (kilkaset tysięcy tomów) i prawdziwie nowoczesna czytelnia — biblioteka gromadząca nowości z całego świata. Tamże znakomity sprzęt do reprodukowania, kopiowania i powielania wybranych materiałów.

Poziom trzeci i czwarty — to pomieszczenia wystawowe Muzeum Sztuki Nowoczesnej: przestrzeń tych dwóch kondygnacji dzieli się według potrzeb ruchomymi ścianami i stelażami. Ekspozycja, prezentująca wybrane przykłady sztuki od przełomu wieków po dzień dzisiejszy, ma charakter stały.

Wreszcie poziom piąty to przede wszystkim tzw. Grande Galerii, gdzie odbywają się zazwyczaj wielkie, prestiżowe wystawy czasowe. Tam także otwierano naszą „PRESENCES POLONAISES".

Ten rzut oka na wewnętrzne przestrzenie Centrum nie obejmuje przecież wszystkiego. Jest tam także miejsce dla muzyki i jej najnowocześniejszych sposobów odtwarzania i reprodukowania, dla kina i technik audiowizualnych, są sale do różnego rodzaju manifestacji artystycznych i salki na odczyty, nie licząc już innych pomieszczeń dla ekspozycji mniejszych, wystaw o charakterze okazjonalnym.

W czasie mojego pobytu mogłem oglądać w Centrum m.in.: wystawę fotografii pn. „Brazylia Brazylijczyków"; pendant do wielkiej wystawy w Grand Palais (pisałem o niej w ubiegłym tygodniu) pt. „Bonjour Monsieur Manet" (artysta odbierany przez 15 współczesnych mu malarzy); fotografikę Czechów oraz „exposition-animation", „Czas przestrzeni", poświęconą badaniom kosmicznym i kosmicznej telekomunikacji. Wystawom towarzyszą różnego rodzaju „debats" i „recontres", czyli dyskusje, spotkania „okrągłego stołu" i odczyty. Także projekcje filmowe i koncerty. Regułą w Centrum jest, aby upowszechniać poszczególne dziedziny sztuki XX wieku w całym jej kulturowym i interdyscyplinarnym uwikłaniu. Zresztą nie tylko w Paryżu i nie tylko we Francji (Ośrodek współpracuje z placówkami kulturalnymi na terenie całego kraju; jak się oblicza, w roku 1982 odbyło się 743 takich partnerskich akcji w różnych departamentach i miastach). „CNAC MAGAZINE", wydawany przez Centrum dwumiesięcznik, informuje o wielu imprezach, wystawach i ekspozycjach, organizowanych poza Francją — od Brazylii po Maroko — z dziełami (aktualnie) Arpa, Brancusiego, Duchampa i Matisse'a.

Jeśli już wspomniałem ów dwumiesięcznik: Centrum im. Pompidou wydaje oprócz niego „Cahiers du Musée" oraz inny magazyn „Traverses", książki, albumy, katalogi, plakaty, płyty, diapozytywy i kasety video.

Przy Ośrodku istnieje także instytucja tzw. adherents, skupiająca — jakbyśmy to z polska nazwali — stowarzyszenie miłośników Centrum, dla których organizuje się imprezy specjalne (przedpremierowe) i którzy korzystają tam z różnych praw wyjątkowych, zniżek i abonamentów (wstęp na wystawy i imprezy jest płatny).

Prawda, że można dostać zawrotu głowy? Że całe to Centrum to pomysł iście szatański? Zaczerpnij więc czytelniku łyk powietrza, powstrzymaj ślepą zazdrość, bo oczami wyobraźni musisz zobaczyć jeszcze to, co w działalności Centre National d'Art et de la Culture jest jego międzynarodową wizytówką, ideą główną, dla realizacji której Ośrodek przykłada wagę najwyższą: prezentować, organizować i upowszechniać wielkie, wielodyscyplinarne wystawy, ukazujące najważniejsze, światowe centrum wymiany, krzyżowania się i kształtowania idei artystycznych XX wieku.

I tak po wystawach „Paris—Berlin" („Związki i kontrasty francusko-niemieckie, 1900—1933", po imponujących ekspozycjach, zatytułowanych „Paris—New York", „Paris—Paris", w roku 1979 zorganizowano wielką manifestację, ilustrującą międzynarodowe związki awangardy rosyjskiej i radzieckiej („Paris—Moscou") z kontekstem europejskim w latach 1900—1930.

Zatrzymuję się na dłużej akurat przy tej wystawie, ponieważ zebrałem na jej temat pełniejsze informacje, a także dlatego, aby zobaczyć naszą „PRESENCES POLONAISES" w jakimś układzie odniesień. Trzeba ją bowiem oceniać w zestawieniu z wystawami poprzednimi: jest przecież jednym z ogniw owego cyklicznego założenia. Choć — przyznajmy to z góry — niejednakowa to ranga, zarówno jeśli chodzi o artystyczne dokonania, jak i o ich światowy rezonans.

Awangarda rosyjska i radziecka lat 1900—1930, to bodaj najświetniejszy okres w ewolucji sztuki naszego stulecia. Tamta wystawa poświadcza powyższą ocenę w całej rozciągłości. Organizowano ją przy współpracy dziesiątków muzeów i galerii z całego świata, nie licząc zbiorów i kolekcji prywatnych. Była najwszechstronniejszą i najpełniejszą panoramą dokonań Rosjan, jaką kiedykolwiek zorganizowano: od sztuk plastycznych, poprzez sztukę stosowaną, architekturę, agitprop, plakat, literaturę, teatr, balet, muzykę, do kina i fotografii kreacyjnej. Jednocześnie ilustrowała wszelkie europejskie kontakty i wielodyscyplinarne związki tamtej awangardy. „*Wielość i bogactwo dyscyplin artystycznych, które współtworzyły życie kulturalne w Związku Radzieckim i we Francji w latach 1900—1930* — pisał Pontus Hulten, komisarz generalny wystawy — *zostały po raz pierwszy uchwycone i pokazane w tak rozległej syntezie*".

Polska wystawa ma założenia skromniejsze, bo i skromniejsza była nasza obecność na mapie awangardowych poczynań pierwszych dziesięcioleci XX wieku. Albo właściwiej: dopiero po latach, właśnie obecnie klaruje się, odpowiadająca rzeczywistym wartościom, hierarchia udziału polskiej sztuki w nowatorskich przygodach awangardy. „PRESENCES POLONAISES" to potwierdza.

Po wtóre — co już pisałem poprzednio, a teraz świadomie podkreślam — punktem wyjścia, ideą prymarną, jaka przyświecała organizatorom polskiej wystawy, było uwydatnienie roli łódzkiego Muzeum Sztuki, jego wielokierunkowej i wszechstronnej działalności na rzecz dialogu sztuki nowoczesnej z odbiorcą, działalności, którą to muzeum prowadzi od dziesiątków lat. Dialogu i kontaktów o międzynarodowym zasięgu.

„Mały" katalog — informator o wystawie na samym początku przypomina mapę konturową Polski na tle Europy. Na mapce tej czerwonymi literkami wyróżniono miejsce Łodzi. Towarzyszy temu geograficznemu znakowi podpis: „*Wystawa OBECNOŚĆ POLSKA — SZTUKA ŻYWA WOKÓŁ MUZEUM W ŁODZI przedstawia dziełami przybyłymi z Łodzi i innych muzeów Polski, realizacje artystyczne najbardziej znaczące dla sztuki polskiej XX wieku i nie pretenduje w żaden sposób do przedstawienia jej kompletnej panoramy historycznej*".

Zatytułowałem ten odcinek paryskich korespondencji „Centre Georges Pompidou, czyli pole chwały". Choć zdaję sobie sprawę z dwuznaczności semantycznej zwrotu „pole chwały" (najczęściej pojawia się on przecież w idiomie „*polec na polu chwały*") jednak będę się przy nim upierał. Jest bowiem paryskie Centrum „*polem chwały*" dla sztuki nowoczesnej, dla jej prawdziwych i rzeczywistych ambicji. Można tam ją zrozumieć, poznać i polubić. Nowoczesność traci tam swoją kuriozalność i ekstrawagancję, zyskuje człowieczeństwo. A obecnie Centre Georges Pompidou jest polem chwały dla naszej sztuki, która walczy o swoją obecność już na stałe.

Na Picassa! Jaka jest — wreszcie ta wystawa? — słyszę krzyk zniecierpliwionych czytelników. Jakie dzieła prezentuje? Czy cieszy się zainteresowaniem? Co pisze „Le Monde"? O tym za tydzień.

GRZEGORZ GAZDA

P.S. (do tekstu w poprzednim numerze): Prostuję „ujednolicona" pisownie dwóch nazwisk. W Grand Palais odbywa się wystawa Edouarda MANETA, a w Centrum du Marais wystawa Claude MONETA.

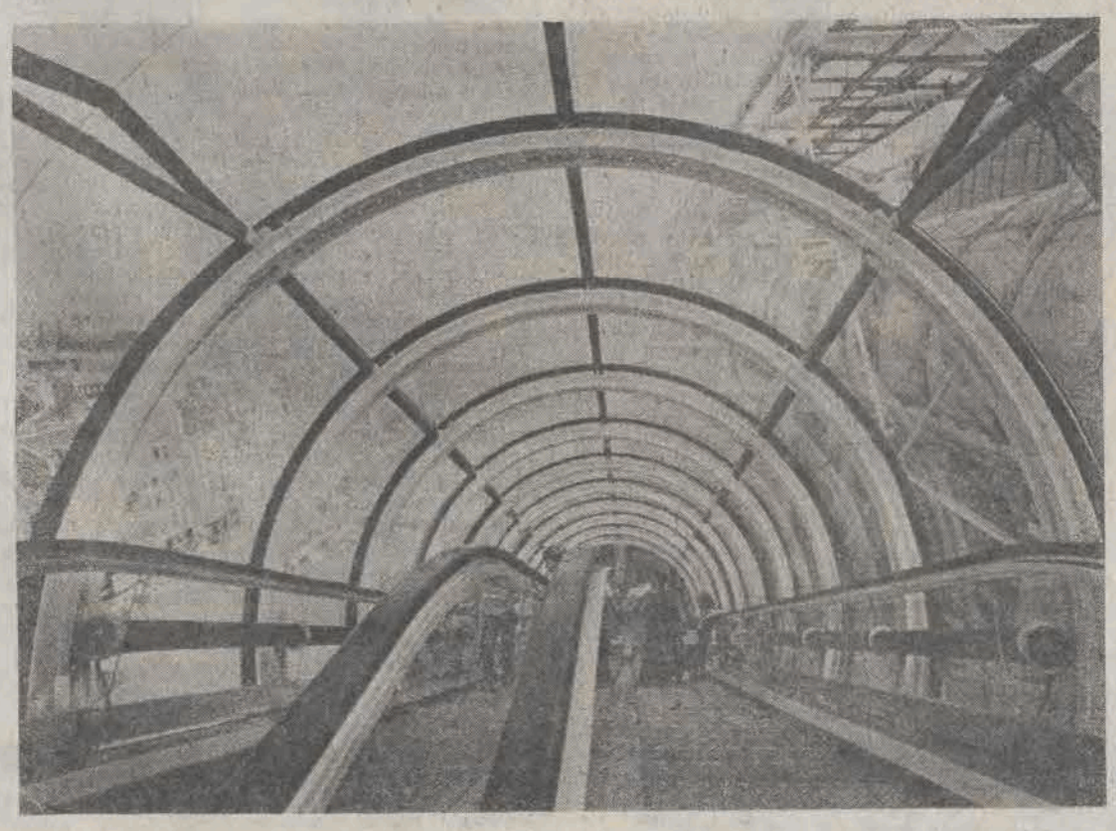

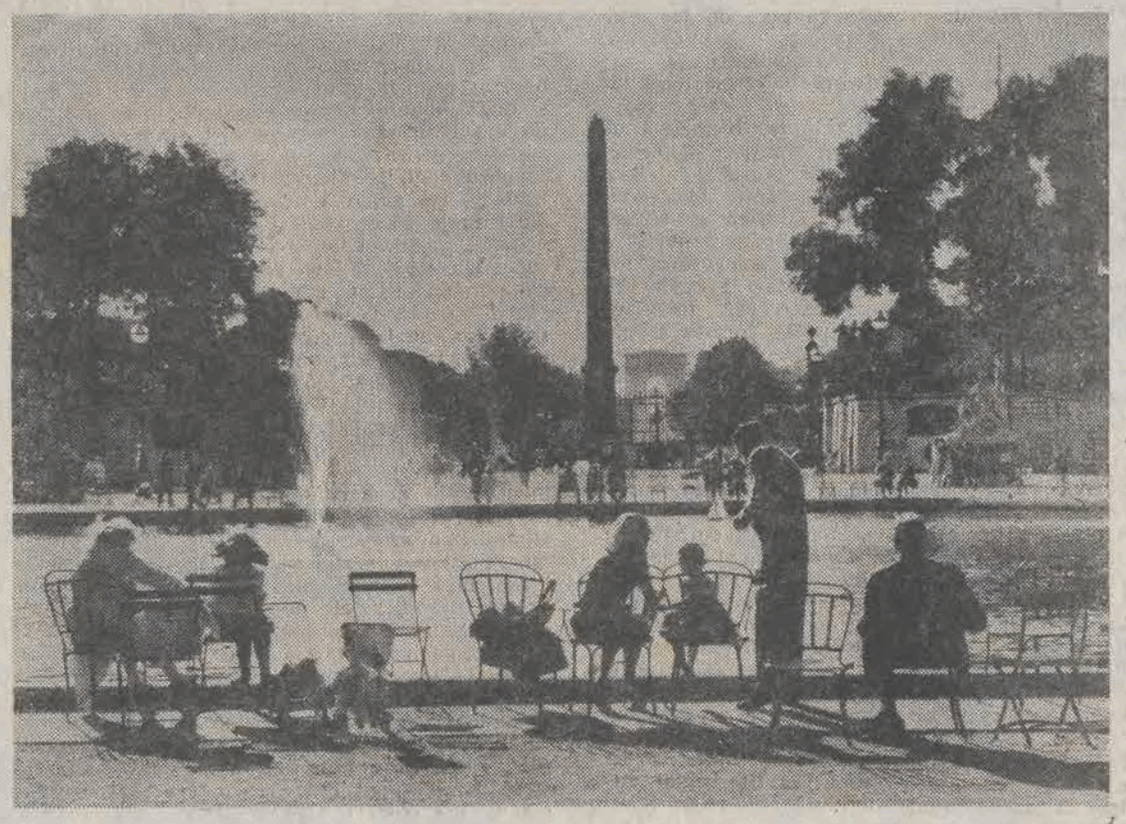

MAREK ADAM JAWORSKI

Czterdziesty piąty
(Opowiadanie nie wymyślone)

Na imię miała Zygfryda. — Dlaczego tak brzydko cię nazwano? — pytałem kilkakrotnie. Uśmiechała się tajemniczo Ten uśmiech wcale nie pasował do jej imienia. Zawsze, nie wiem dlaczego, przypominał mi pszeniczne kłosy. Dziwne skojarzenie. Ale wtedy właśnie — w scenerii dojrzewającego zboża, pod niebem koloru bławatków, w dniu nabrzmiałym zmęczeniem uśmiechnęła się tak pierwszy raz.

Niebo było puste. Nie mogłem się przyzwyczaić do tego spokoju. Wydawało mi się, że lada moment zza horyzontu wyłonią się bombowce i dudniący warkot przerwie ciszę. To głupie uczucie pozostało jeszcze dzisiaj — w świecie rakiet z głowicami nuklearnymi.

Spotykaliśmy się zwykle po lekcjach. Niosła w ręku wypchaną teczkę i nigdy nie chciała, abym jej pomagał. Chwilami zaczynałem już podejrzewać, że w tej teczce nosi materiały dywersyjne. Ale wieczorem, gdy widziałem ją znowu, gdy siadaliśmy na miedzy — liczyła się tylko ona.

Później były wakacje. Pierwsze po wojnie. Rok czterdziesty piąty. Skapitulowała Japonia. Gazety i radio przyniosły wiadomość o tajemniczej bombie. Oślepiające błyski nad Hiroszimą i Nagasaki. Spopielone miasta, spopieleni ludzie.

Japonia kojarzyła mi się dotychczas ze sprzedawcą-domokrążcą o skośnych oczach, który namówił kiedyś ojca na kupno krawatu z wymalowaną pagodą. Krawat męczył oczy jaskrawością i ojciec tylko raz jeden przyozdobił nim koszulę. Wodziłem palcem po atlasie, odmierzając odległość od Kraju Kwitnącej Wiśni. Jeśli pociąg jedzie z przeciętną szybkością 70 kilometrów na godzinę, dotrze do Władywostoku... Nie, dziś już nie pamiętam wyników tych obliczeń, zresztą i szybkość stała się rzeczą względną. Zmądrzałem, A może mi się tylko tak wydaje?

Wiem jednak, że w sierpniu czterdziestego piątego dopiero odkrywałem nieznane lądy. Chwilami, ciągle jeszcze machinalnie, chciałem przed zapaleniem światła spuścić na okno czarną roletę. Zamiast rolety szyby zasłaniała tylko śnieżnobiała firanka.

Mogłem już czytać do woli. Matka nie mówiła, jak przed dwoma miesiącami: — Znowu późno wracasz do domu. Kiedy odrobisz lekcje? — A w głosie jej było więcej niepokoju niż irytacji.

— Mamo, dopiero dziesiąta — odpowiadałem. — Na jutro muszę się tylko nauczyć historii, a to pójdzie bardzo szybko.

Podręcznik pochodził z czasów przedwojennych. Program szkolny nie nadążał za życiem. Młoda władza ludowa miała zbyt wiele problemów, istniała hierarchia potrzeb. Na nowe podręczniki czas przyszedł później. Na razie musiałem wkuwać daty potyczek Legionów Piłsudskiego, a w głowie powstawał swoisty zamęt. Traciłem czas i nerwy.

— Panie profesorze — spytałem kiedyś z trudno ukrywaną irytacją — a kiedy dojdziemy do drugiej wojny światowej.

Nauczyciel spojrzał na mnie jak na przybysza z obcej planety. Wykrzywił usta, przez chwilę wydawał się bezradny jak dziecko. Nic nie powiedział, tylko po lekcji wziął mnie na stronę i wyszeptał. Tak jest, wyszeptał:

— Wichniak, słuchaj Wichniak, przecież najpierw sam muszę się tego nauczyć. Rozumiesz — n a u c z y ć. Obawiam się, że będziesz zdany na własne siły. I to chyba już po maturze, na studiach. A jaki ty masz zamiar wybrać kierunek?

Ba! Zastanawiałem się nad tym wielokrotnie. W dzieciństwie przepadałem za jazdą koleją. — Zostanę konduktorem! — mówiłem. Z czasem aspiracje urosły. — Będę ministrem komunikacji. Podczas wojny, gdy już wydłużyły się spodnie, marzyłem o tym, by zostać oficerem i bić hitlerowców. Ale hitlerowcy zostali pobici bez mego udziału. W wyobraźni jawił się świat bez wojen, bez armii. Dziś śmieję się z tej naiwności, ale w czterdziestym piątym przeżywaliśmy euforię. Biało-czerwone flagi, transparenty, hasła: Pokój po wsze czasy. Tak jakby klęska hitleryzmu była klęską imperializmu...

— Nie wiem — odpowiedziałem szczerze. — Wybór jest tak duż[illegible] szczególnie interesuje. Słyszałem od polonistki, że nieźle piszesz. Może więc wybrałbyś się na dziennikarstwo?

Owszem, myślałem i o tym. Ojciec miał wiele egzemplarzy przedwojennej prasy, wszystko szczęśliwie przetrwało wojenną zawieruchę. Chętnie przeglądałem pożółkłe kartki.

— Może... Nie wiem, czy byłby ze mnie dobry dziennikarz. To bardzo odpowiedzialna praca.

— Każda praca jest odpowiedzialna. Najlepiej, gdy się ją lubi. Wtedy i efekty są większe.

Rozmowa skończyła się właściwie na niczym. Nauczyciel, jakby wstydził się później sam siebie, gdyż nigdy nie wyrywał mnie do odpowiedzi. Na każdy okres stawiał mi czwórkę, co mnie tylko denerwowało i podrażniało ambicję. Przy końcu roku zwróciłem się więc do niego z prośbą, aby przepytał mnie indywidualnie, bo chcę poprawić ocenę. Zgodził się i któregoś dnia zaprosił do pokoju nauczycielskiego.

Byliśmy sami. Usiadłem przy długim stole konferencyjnym, lekko stremowany. Dopiero byłoby głupio, gdybym się zblamował!

Nauczyciel spoglądał gdzieś w przestrzeń, przez moment wydało mi się, że on też nie czuje się najlepiej.

— No to co, Wichniak — powiedział wreszcie — chcesz mieć bardzo dobrą ocenę? A czy nikt ci nie mówił, że na piątkę zasługuje tylko Pan Bóg?

— Panie profesorze, mam zdawać z historii, a nie z religii — zareplikowałem i zaraz potem przestraszyłem się tych słów. Przecież to była bezczelność, mógł mnie z miejsca wyrzucić za drzwi.

— Ale ty jesteś w gorącej wodzie kąpany. To wina wojny. Wy, młodzi, postarzeliście się przedwcześnie. Lata wojny liczą się podwójnie... O co cię zapytać? Podręcznik chyba znasz na pamięć?

— Uczyłem się...

— Niepotrzebnie przeciążałeś umysł datami. Daty i tak ulatują z pamięci. I historia ludzkości nie jest tylko historią wojen, choć są tacy, którzy tak sądzą.

Tu zrobił przerwę. Przyglądałem mu się z bliska, chyba pierwszy raz z tak bliska, i spostrzegłem szereg zmarszczek na twarzy. Ile on ma lat. Pięćdziesiąt?, Sześćdziesiąt?

— Wiesz, Wichniak, zadam ci tylko jedno pytanie. Nie będzie to zapewne takie, jakiego oczekujesz — pedagog cedził słowa...

Poczułem lekkie odprężenie. Napięcie zastąpiła ciekawość. Nauczyciel jakby wyczuł mój nastrój i chciał ów stan przedłużyć.

— Wyobraź sobie taką sytuację: masz dzisiaj dwadzieścia lat. Nie przerywaj, wiem, że nie masz, ale wyobraź sobie. Przez osiemnaście miesięcy byłeś na robotach w Niemczech. Potem wyzwolili cię Amerykanie. Doszedłeś do siebie. Czy teraz wróciłbyś do Polski?

— Panie profesorze...

— Wróciłbyś?

Do czego on zmierzał? Już nie chodziło mi o stopień. Spostrzegłem, że mego profesora dręczy jakaś troska, że chce, abym mu w czymś pomógł. Bo ja wiem, może i pocieszył?

— Panie profesorze, a dlaczego miałbym nie wracać? Przecież nawet ptak wraca do gniazda...

Wyczułem, że wypadło to sztucznie, głupio. Ręce stały się mokre od potu..

— Ale ptak może sobie zbudować nowe gniazdo... Widzisz, mój syn jest teraz w Anglii. Ma dwadzieścia lat. Pisał, że wróci, ale dopiero po wojnie.

— Przecież wojna już się skończyła. Na Dalekim Wschodzie chyba też wkrótce będzie spokój.

— Tak sądzisz? I ja bym tego pragnął. Historyk różnie jednak myśli. No, idź już...

Ukłoniłem się niezręcznie. Na korytarzu stała Zygfryda. Nie przypuszczałem, że przyjdzie i jej widok zaskoczył mnie nieco.

— Co? Gratulować? Minę masz niewyraźną!

— Potem ci wszystko opowiem. Na razie chodź, kupimy lody.

Nie było kawiarni, gdzie można by posiedzieć. Lody w waflowych tubkach szybko topniały na słońcu. Ująłem Zygfrydę wpół i pociągnąłem na ławkę.

— Słuchaj — pierwszy przerwałem milczenie. — Chciałem ci zadać jedno pytanie. Wyobraź sobie, że jesteś chłopcem.

— Jak to chłopcem?

— Nie przerywaj. Masz dwadzieścia lat. Półtora roku byłaś na robotach w Niemczech. Wyzwolili cię Amerykanie, podkarmili i teraz mieszkasz w Anglii. W Polsce masz ojca, matkę. Wróciłabyś?

— Nie.

— Co nie?

— Nie wróciłabym.

— Zwariowałaś? Dlaczego nie?

— No bo nie... — I po chwili: — Bo nie chcę, aby moja córka przeżywała to, co ja, co moja matka. Zrywałeś się w nocy, kiedy na podwórzu zadudniły kroki? Zmuszano cię do oglądania publicznej egzekucji?

Mówiła z pasją. Nigdy jej jeszcze takiej nie widziałem. Teraz imię zupełnie pasowało do tej irytacji. Czy to zresztą była irytacja?

— Ale przecież to przeszłość, przeszłość. Rozumiesz, Zygfryda? Słuchaj...

— Cicho, popatrz...

Ulicą szedł kondukt pogrzebowy. Grupa żołnierzy, kilkunastu cywilów. Na ciężarówce trumna. Jakiś oficer zbliżył się do nas.

— Moglibyście wstać, szczeniaki. Ludzie giną, żebyście się mogli łajdaczyć.

Podnieśliśmy się z ławek. Czułem się tak, jakby mi ktoś wymierzył siarczysty policzek. Oficer zmieszał się.

— Przepraszam, tak mi się wyrwało. Przedwczoraj pojechaliśmy na akcję. Banda urządziła zasadzkę. I zabili takiego chłopa! Ludzie! Przeszedł od Lenino do Berlina. I dopiero tutaj, tutaj go zabili. Swoi. Niby swoi. Skurwy... — spojrzał na Zygfrydę i szybko dodał — skurczybyki.

Zasalutował i dołączył do konduktu. Przez moment staliśmy niezdecydowani. Zygfryda ujęła mnie za rękę.

— Pójdziemy na cmentarz — powiedziała.

Kiedy nad trumną zagrzmiały pierwsze salwy i grabarz rzucił na nią pierwszy szpadel ziemi, pociągnęła mnie w głąb cienistej alei. Pod samym murem znajdowała się mogiła pokryta kwiatami.

— Tu leży mój ojciec. Zamęczyli go hitlerowcy. Zwłoki odesłali w zaplombowanej trumnie. Za trumnę wystawili rachunek. Matka zapłaciła. Ciągle jednak nie wierzyła, że w tej trumnie są zwłoki ojca. Ojciec był bardzo wysoki, a trumna mała.

— Może więc...

— Później dowiedzieliśmy się prawdy. Stolarz nie miał innej trumny. Hitlerowcy obcięli ojcu nogi. Teraz wiesz już wszystko...

Tej nocy spałem bardzo niespokojnie. Śnił mi się Londyn, ale nie taki zimny z pocztówek. Wokół roztaczała się mgła. Ludzie bez nóg czołgali się po chodnikach. Ja, na własnych nogach, wyglądałem wśród nich jak wielkolud. Im dalej szedłem, tej mgły było coraz więcej i więcej. W końcu już nie wiedziałem, czy to mgła czy gaz. Coś ciężkiego zwaliło mi się na piersi.

Rozwarłem szeroko oczy. Na kołdrze rozłożył się kot. Głośno mrucząc, dawał wyraz swemu zadowoleniu. Pogłaskałem jego puszystą sierść.

Przez okno wdzierało się do pokoju słońce.

Powieść o niespokojnym sumieniu albo ucieczka z Jasnej Polany

Władysław Terlecki jest autorem konsekwentnym. Jego pisarstwo, szukające pożywek i pretekstów w historii między innymi po to, aby ukazać całą złożoność motywów wyboru wartości, aby pokazać swoistą ponadczasowość prawd moralnych, cieszy się zasłużoną poczytnością. Terlecki, z całym poszanowaniem historycznego konkretu, tak potrafi pokierować pracą wyobraźni rekonstruującej przeszłość, żeby czytelnik odniósł wrażenie, iż znajduje się w samym sednie rozgrywających się spraw. Przez dłuższy czas Władysława Terleckiego pasjonowały okolice roku 1863, nieco później zainteresował się politycznymi, obyczajowymi i kulturalnymi zjawiskami z przełomu wieku XIX i XX. Niejednokrotnie podczas lektury jego powieści można było przyłapać się na myśli, iż jak najdalszy od relatywizmu moralnego autor demaskuje relatywizm historii czy polityki. Po prostu wszystko zależało od tego, po której kto stronie się znalazł. Nie były to wszakże sytuacje wyłącznie zastane, czy raz na zawsze dane. W utworach Terleckiego toczył się przeważnie gwałtowny spór racji: jego bohaterowie, aby zrozumieć historię i umotywować własne w niej miejsce, wspierali argumentami intelektualnymi wyssane niejako z mlekiem matki emocje narodowe bądź klasowe. Ów spór racji autor „Dwóch głów ptaka" przedstawiał na ogół z chłodnym obiektywizmem, nikogo nie starał się faworyzować — o wartości poszczególnych postaw i kryjących się za nimi poglądów rozstrzygać miał we własnym zakresie przede wszystkim czytelnik.

Tym razem Władysław Terlecki odstępuje od wspomnianej zasady, którą realizował dotychczas bardzo konsekwentnie. Najwidoczniej zależy mu na zupełnej jednoznaczności. W słowie skierowanym do czytelnika powiada, iż „literatura stawia pytania, na które trudno odpowiedzieć jednoznacznie, i że owa niejednoznaczność wskazuje na bogactwo wyborów. Ale oczywiście istnieją również pytania, do których często się wraca, a które wcale owej wieloznaczności nie zakładają. Przeciwnie zmuszają do jej odrzucenia jako niegodnego moralnego kompromisu. Być może, niewiele jest takich pytań, ale to tylko zwiększa ich znaczenie. Pragnąłem to przypomnieć... „Zastanawiające, dlaczego Terleckiemu tak bardzo zależy na jednoznaczności, że komunikuje o tym bezpośrednio. Czyż nie wystarczyłby tu tytuł powieści, najbardziej chyba wymowny i jednoznaczny w dotychczasowej praktyce literackiej autora „Czarnego romansu"?.

Odpowiedź, jaka się nasuwa, jest stosunkowo prosta. Otóż zależy mu na całkowitej kompromitacji bohatera (jeśli wolno w tym kontekście użyć tego tradycyjnego określenia) powieści, współczesnego pisarza, dobrze usytuowanego w życiu i w obowiązującej hierarchii literackiej. Nie wytrzymuje on bowiem najmniejszego porównania z Lwem Tołstojem, rzeczywistym bohaterem powieści „Cień karła, cień olbrzyma". Tu rodzi się jednak pewna dalsza doza wątpliwości: kto ze współczesnych wytrzymałby takie porównanie?

Akcja najnowszej powieści Władysława Terleckiego rozgrywa się co najmniej w dwu płaszczyznach. Współczesny pisarz (ściślej mówiąc: dramaturg) usiłuje realizować swój stary (jeszcze sprzed wojny) pomysł sztuki scenicznej, opartej na zakończonej śmiercią na dworcu kolejowym w Astapowie słynnej ucieczce Lwa Tołstoja. Część więc powieści dzieje się w okolicach roku 1910, część zaś siedemdziesiąt lat później. Niemalże jedynym utworem Tołstoja przywoływanym co i rusz, pełniącym rolę jakiegoś zapewne symbolu, jest słynna „Sonata Kreutzerowska". Sięgam więc po nią i znajduję wypowiedziane przez Pozdnyszewa słowa: „A po co żyć? Jeżeli nie ma żadnego celu, jeżeli życie jest nam dane dla życia — nie ma po co żyć. A jeżeli tak jest — mają rację różni Schopenhauerowie i Hartmannowie, a nawet buddyści. Jeżeli natomiast życie ma jakiś cel, wówczas jest jasne, że życie powinno ustać, gdy cel ten zostanie osiągnięty" (przekład Marii Leśniewskiej). Cel, jaki stawiał sobie i współczesnym Lew Nikołajewicz Tołstoj, o którym powiadano, że jest sercem Rosji, nie był jednak łatwy do osiągnięcia. Naczelną jego przesłanką stawał się coraz mocniej z upływem lat eksponowany moralizm, polegający najogólniej mówiąc na niesprzeciwianiu się złu przy pomocy siły oraz na permanentnym doskonaleniu etycznym jednostki, co stanowić miało punkt wyjścia do leczenia amoralnego społeczeństwa. Tołstojowską utopię poddaje w wątpliwość w powieści Terleckiego fakt następujący — oto zafascynowany życiem i twórczością autora „Wojny i pokoju" pisarz, który ciągle układa dramat osnuty na wydarzeniach z ostatnich dni Tołstoja, podzielający — zdawać by się mogło — jego przekonania, okazuje się człowiekiem małym, wygodnym, leniwym i złośliwym, co wzmaga jeszcze raz po raz uwidaczniająca się mania wielkości. Bliskie kontakty z ludźmi znajdującymi się u steru państwowej nawy służą tylko jemu samemu; nie potrafi albo nie chce, skorzystać z nich, by uratować rodzinną wieś przed zatopieniem wodami z nowo powstałego zalewu. Nie chce wystawiać na szwank swego pisarskiego autorytetu, żeby wydobyć z opresji studenta, który padł ofiarą misternej insynuacji. Po prostu literatura i przekonania sobie — a życie sobie. Jakże często przecież zdarza się, że najbardziej bujnemu i dramatycznemu życiu wewnętrznemu towarzyszą zupełnie obojętne reakcje na świat i zdawkowe odruchy. Inspirowany poglądami Tołstoja współczesny nam dramatopisarz rozmyśla nad „kapitalnym dla współczesnego świata tematem przemocy, z którą ludzkość nie może się uporać. Bez należytego zrozumienia tej kwestii nie sposób mówić w ogóle o jakichkolwiek mechanizmach organizujących bieg współczesnej historii. Uznając konieczność stosowania przemocy, odrzucamy zarazem nakazy miłości, przekreślamy samą jej istotę. Dzieje chrześcijaństwa, w którym owa zasada określona została najdobitniej, wskazują wyraziście na tragiczną dwoistość. Oto bowiem uznaje się za nadrzędne prawo przykazania miłości, a zarazem ustala się granice, poza którymi ona obowiązywać nie powinna, sankcjonując przemoc. Jest to rozdarcie bardzo głębokie (...). Anarchizm, socjalizm, komunizm, Armia Zbawienia, bezrobocie, wielki zbytek bogatych i bieda ubogich, targanie się na swoje życie — oto niektóre rezultaty takiej szarpaniny. Jeśli spojrzy się dziś na świat współczesny, przyszłość nie musi się wcale rysować w radosnych barwach, to prawda. Gdzież więc szukać nadziei?" Trudne, raczej retoryczne pytanie. Nawet ci myśliciele, którzy przekonani są, iż wszelkie mroki historii można rozświetlić przy pomocy wiedzy i rozumu, nie potrafią na nie odpowiedzieć. W pisanym w „Cieniu karła, cieniu olbrzyma" liście do Mohandasa Gandhiego Lew Tołstoj pokładał całą nadzieję w ufności, iż pojawiać się będzie coraz więcej sprawiedliwych... Piszący o nim książkę wiary tej zdaje się nie podzielać. Po prostu nie sili się na jakąkolwiek odpowiedź. Zastępuje mu ją uporczywe trzymanie się „Sonaty Kreutzerowskiej". Być może z racji takiego oto oświadczenia Pozdnyszewa: „Grali **Sonatę Kreutzerowską** Beethovena (...). O, co za straszna rzecz ta sonata! (...) Podobno muzyka działa uszlachetniająco na duszę — to bzdury, nieprawda! Działa, strasznie działa, mówię o sobie, lecz wcale nie uszlachetniająco (...) Muzyka zmusza mnie do zapomnienia o sobie, o swoim istotnym położeniu, przenosi mnie w jakieś inne, nie moje położenie: pod wpływem muzyki wydaje mi się, że czuję to, czego właśnie nie czuję, że rozumiem to, czego nie rozumiem, że mogę to, czego nie mogę..." W zdaniach tych zawarta została chyba cała filozofia Tołstojowskiego opowiadania sprzed stu lat: alternatywą kultu moralności może być tylko nihilizm. Współczesny zaś pisarz sens swojej literackiej pracy dostrzega w uprzytomnieniu czytelnikowi czy widzowi niezmiennej aktualności pytań, jakie stawiał sobie i innym człowiek w popłochu uciekający z Jasnej Polany, uznawany za sumienie świata. A głosił on między innymi, że wzajemny stosunek moralności i kultury polega na tym, iż obie te dziedziny powinny rozwijać się jednocześnie, z tą małą poprawką, że kultura pozostawałaby nieco w tyle za postępem moralnym. W przeciwnym bowiem razie zdarzyć się może nieszczęście. Jak to jednak osiągnąć w praktyce — zastanawia się twórca dramatu o Lwie Nikołajewiczu — przecież „coraz trudniej wstrząsnąć sumieniami czytelników" *Rola i znaczenie literatury maleje.* Przystępując do dzieła ambitnego, po którym wiele sobie obiecujemy, możemy odnieść tylko częściowe zwycięstwo lub ponieść całkowitą klęskę. W poczuciu klęski opuszczamy pośpiesznie i potajemnie Jasną Polanę. Czeka nas klęska jeszcze większa — ileż takich nie ujawnionych bądź zapomnianych ucieczek zna historia literatury! Jest na nią również skazany bohater powieści Władysława Terleckiego.

Literaci, cóż dopiero literaci, którzy stają się bohaterami powieści, skłonni są do nader chętnego wykorzystywania metafory. Dzieje się tak i tym razem — dla dramatopisarza w zdarzeniu na stacji Astapowo skupiają się, jak w soczewce, symptomy agonii, na które umierał świat Tołstoja. Konkretne wydarzenie obrasta w dalekosiężne znaczenia, symbolizuje zbliżający się koniec pewnej epoki kulturowej. Otwiera niejako pewien proces, którego symbolicznym również zakończeniem ma okazać się znów śmierć pisarza, samobójcza śmierć Witkacego (nie wymienionego tu zresztą ni razu z imienia). Pisarska umiejętność autora „Cienia karła, cienia olbrzyma" polega w dużym stopniu na zręcznym operowaniu aluzjami wobec faktów, ludzi i książek, a także wobec tego, o czym już kiedyś pisał (w tym przypadku chodzi o „Gwiazdę i Piołun"). Czy jednak opis śmierci jednego człowieka — genialnego nawet — rzeczywiście może wykroczyć poza symptomy jednostkowości? — „Świat, u licha, nie umiera tak szybko" — nie bez racji wtrąca oponent naszego dramatopisarza. Czyżby więc proces odchodzenia w przeszłość kolejnych epok był znacznie wolniejszy niż się na ogół przypuszcza? Twórczość Władysława Terleckiego zdawałaby się takie przypuszczenie w znacznej mierze potwierdzać.

Najnowsza jego powieść mniej jest spójna, niżli wcześniejsze książki. Nie wynika to jednak z uchybienia sztuce, to efekt zamierzony. Po prostu bohater powieści „W cieniu karła, w cieniu olbrzyma", pracujący od lat nad swym dziełem literat, nie jest w stanie wykroczyć poza mozaikę fragmentów, nie może uporać się ani z prawdą szczegółów, ani z konkretnym końcowym przesłaniem tworzonego w wielkim mozole i w pocie czoła utworu. Myśli o czystej, zamkniętej i przejrzystej konstrukcji, ale fabuła wymyka się, rozsypuje na niewielkie, niemal odrębne całostki. Pracuje w najwyższym napięciu niewiele jednak z tego wynika. Wyobraźnia doznaje uszczerbku, rytm pracy załamuje się. Świadomość własnej znikomości dokucza coraz bardziej. Nie jest łatwo być karzełkiem, który na koturnach udawać chce olbrzyma. Kiedyś musi to wyjść na jaw.

„Cień karła, cień olbrzyma" można chyba określić jako powieść o niespokojnym sumieniu teraźniejszego pisarza. Wszystko wskazuje na to, że powinien podjąć on próbę ucieczki ze swoje Jasnej Polany. Nie może się jednak zdecydować — ciągle na coś czeka. Na co on czeka?

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

Władysław Terlecki: „Cień karła, cień olbrzyma", Książka i Wiedza, Warszawa 1983, s. 237, nakład 29.650 + 350 egz., cena zł 75.—

Gram dla przyjemności

Rozmowa z ERIKIEM BERCHOT, pianistą, uczestnikiem Konkursu Chopinowskiego w 1980 roku.

— Z czym kojarzy się panu Łódź?

— Przypuszczam, że chodzi o Artura Rubinsteina, który się tutaj urodził. Znam jego muzykę, pamiętniki, poznałem go także osobiście.

— Rozmawiając z panem, trudno nie wspomnieć o Konkursie Chopinowskim. Jak pan ocenia jego znaczenie, czy pomógł panu w karierze?

— Tak. Moje życie dzieli się na to, co było przed Warszawą i na to, co jest po Warszawie. Konkurs ten otwiera drzwi większości sal koncertowych na świecie. Jest to największy i najwyżej ceniony konkurs.

— Słyszałem, że bardzo wysoko ceniona jest pierwsza nagroda, pozostałe mają niewielkie znaczenie.

— Nie. Konkurs Chopinowski już przez sam skład jury sprawia, iż tutaj odniesiony sukces rozchodzi się po świecie. Przykładem może być Ivo Pogorelić, który nie zdobył żadnej nagrody w Warszawie, a dziś jeździ po całej Europie.

— Tak, ale Ivo Pogorelić wygrał wcześniej...

— ...ale nikt go po Montrealu nie znał, nikt go nie zapraszał, dopiero po Warszawie zdobył nazwisko. Poza tym trzeba odróżniać dwie rzeczy: sam konkurs i to, co dzieje się wokół niego. Zarówno jedno jak i drugie wpływa na dalsze powodzenie pianisty. Jeśli uda się te dwie rzeczy połączyć, wtedy jest wspaniale.

— Czy sukces w konkursie, i to co nastąpiło później, nie zaskoczyło pana?

— Trzeba mieć wewnętrzne przekonanie, że dojrzało się do publicznego występowania.

— Pana ulubieni kompozytorzy?

— Bardzo lubię romantyków: Chopina — może dlatego, że jestem do niego trochę podobny. Poza tym Schumann, Liszt, Schubert. Także impresjoniści francuscy: Ravel, Debussy...

— A wykonawcy?

— Nie mam wzoru, który pragnąłbym naśladować. Każdy z nas jest inny i ja także muszę grać swoją muzykę. Ulubionymi wykonawcami, takimi, których bardzo lubię słuchać, są Braundel, i — oczywiście — był Rubinstein.

— Czy nie żal panu, że gra pan tylko na fortepianie?

— Lepiej grać na jednym instrumencie, a dobrze. Nie można na tym samym, dobrym poziomie grać na różnych instrumentach. A zazdrość...? Lubię grać muzykę kameralną, ona daje mi „dostęp" do innych instrumentów. Bardzo lubię też najwspanialszy instrument — ludzki głos, dlatego dużo i chętnie akompaniuję.

— Jak pan ocenia przygotowanie młodych muzyków do samodzielnej pracy? J. Stalanowski, polski skrzypek, będący koncertmistrzem w Lille, powiedział kiedyś, że na Zachodzie bardzo wysoko ceni się muzyków ze Wschodu, u nas zaś dopiero kogoś, kto zdobył pozycję na Zachodzie.

— No cóż, nikt nie jest prorokiem między swymi. Widocznie spełnia się to także w muzyce.

— Czy dużo pan ćwiczy?

— Nie ma dla mnie problemu techniki, jest muzyka. Jeżeli chce się wykonać jakiś utwór, trzeba się weń wczytać, zrozumieć jego ideę. Samo wykonanie jest już później tylko techniką, lecz wtedy wszystko jest techniką, bo przecież kompozycja musi być wykonana tak, jak ją napisano. Kocham muzykę i gram dla przyjemności. Trudniejsze fragmenty przegrywam tak długo, aż jestem zadowolony z wykonania.

— Co robił pan ostatnio, co będzie robił pan wkrótce?

— Grałem w Lublinie, Krakowie, Katowicach, Wrocławiu, Gdańsku, Białymstoku, Warszawie i w Łodzi. Wcześniej odbyłem długą podróż po Azji — od Filipin po Egipt. Zabrakłoby kartki, by spisać wszystkie miejsca, w których grałem. Teraz we Francji będę grał na festiwalach, które tu się odbywają.

Rozmawiał:
KRZYSZTOF PASIKOWSKI

P.S. Eric Berchot urodził się w 1958 roku. Od 1978 roku jest solistą Radia Francuskiego. Jego matka jest z pochodzenia Polką, jej ojciec — dziadek Erika, pochodził spod Białegostoku.

Pavel Roućka

Obok interesujących wystaw barwnych akwafort Helmtrud Nyström (Dania) i czarno-białych akwafort José Hernándeza (Hiszpania), międzynarodowej imprezie „Małe Formy Grafiki Polska — Łódź 83" towarzyszy trzecia jeszcze ekspozycja — Pavela Roućki z Czechosłowacji w Galerii „Chimera", przy ul. Wólczańskiej.

Twórca ten nie związany wyraźnie z żadną orientacją artystyczną, skutecznie zdobywa się na wysiłek odrębnych, własnych poszukiwań. Urodzony w 1942 roku, w Pradze, sztuką zajął się dość późno, a wystawiać swoje prace zaczął dopiero mając lat trzydzieści. Zaczął od malarstwa. Potem zainteresował się rysunkiem i grafiką. Po pierwszych pokazach jego prac krytycy zgodni byli, że oto pojawiła się ciekawa indywidualność artystyczna o nieszablonowym sposobie obrazowania i niebanalnej wyobraźni. Opinie te potwierdzały się w miarę krystalizowania się osobowości artystycznej i talentu Pavla Roućki.

Jest to osobowość złożona z dwóch przeciwstawnych sobie elementów połączonych w harmonijnej, efektywnej koegzystencji, a raczej w symbiozie. Ze spontaniczności i zdyscyplinowania. Z jednej strony mamy do czynienia z postawą emocjonalną, na wskroś intuicyjną, z drugiej zaś z racjonalistyczną, co ujawnia się niekiedy bardzo wyraźnie w sposobie komponowania. Ta dwoistość nie zaskakuje, gdy się wie, że Roućka wyszedł od malarstwa geometrycznego. Obecnie wydaje się, że punkt ciężkości zaczyna wyraźnie przemieszczać się w stronę intuicji i emocji.

Grafiki Pavla Roućki, które mamy okazję oglądać, charakteryzuje specyficzny, metaforyczno-aluzyjny i poetycko-nonszalancki klimat niecodzienności. Artysta sięga chętnie w poszukiwaniu inspiracji po dzieła literackie i ujawnia ten fakt z całą otwartością w tytułach swoich prac. Mamy więc cykle grafik inspirowanych Dostojewskim, Kafką, Gogolem, „Pieśnią nad pieśniami", poezją V. Nezvala i innych poetów, tematami biblijnymi. Nie są to jednak ilustracje. Grafiki Roućki daleko odbiegają od literackich pierwowzorów. Buduje on swoje kompozycje przede wszystkim na dowolnym sposobie interpretacji literackiego „tematu". Na klimacie aluzji, paraleli, metaforze. Czasem na bardzo odległej przenośni. Jednocześnie potrafi być bardzo konkretny i opisowy.

Drugą sferą zainteresowań Roućki jest teatr. Ten ułudny świat kłamliwych proporcji wydaje się pociągać go swoistą magią „zuchomego święta". Ulega zwłaszcza podniecającym i zmiennym urokom pantomimy dziejącej się na pograniczu realności i fikcji, rzeczywistości i poetyckiej ułudy. Frapuje go świat masek, kostiumów, gestów, malowanych twarzy i twarzy nagich po starciu charakteryzacji i zdjęciu maski. Nie pierwszy to artysta ulegający takim magiom i zauroczeniom. Roućka jednak wypełnia swoje grafiki i rysunki ogromną porcją wewnętrznego ładunku dramatycznego, stanowiącego o emocjonalnej temperaturze jego prac. Tworząc spontanicznie, tworzy artysta kompozycje emanujące łagodną ekspresją i nieuchwytnym nastrojem osobistego zaangażowania.

Roućka jest otwarty na różne zjawiska w sztuce. Można u niego znaleźć ślady nowej figuracji, różnych odmian realizmu, pop-artu i innych kierunków. Są to ślady bardzo ulotne, niemal nieuchwytne. Podskórne. Ujawniające się raczej jakimś drobiazgiem, szczegółem w wielości innych. Stąd niektóre jego kompozycje zbudowane są na zasadach wewnętrznych sprzeczności, co potęguje emocjonalne napięcie. Kolor, którego używa, jest raz wysmakowany, subtelny. Raz stanowi tylko tło lub dekorację. Innym razem bywa agresywny i pulsujący. Żywy, jakby rozpalony od środka.

Roućka jest właściwie figuratywny. Ale deformuje zawsze postać ludzką, tak jak deformuje przestrzeń i czas. Deformacja jego postaci ma bardzo szeroką skalę: od niemal karykaturalnej, groteskowej, do pełnej wyrazistego dramatu. Od ciepłej, lirycznej po wręcz brutalną. Od rozbudowanej po syntetyczną, jak ma to miejsce w bardzo lapidarnej kompozycji „Drukarz".

Erotyzm u Roućki jest bądź podskórną żyłą tętniącą namiętnością i pragnieniem, albo leniwie płynącym strumieniem zaspokojenia. Nie przydaje mu twórca specjalnych znaczeń. Nie jest on ani obsesyjny ani nachalny. Ani sztuczny. Jest jako coś naturalnego i oczywistego w swych naturalnych i oczywistych formach i przejawach. Roućka skłania się raczej w stronę jego poetyzacji.

Na wystawie w Galerii „Chimera" Roućka pokazuje rysunki, collage i litografie barwne zrobione z dużą sprawnością techniczną. Łączy te techniki ze sobą w sposób równie swobodny co interesujący. Jest to niewątpliwie jedna z ciekawszych indywidualności, biorących udział w imprezie „Małe Formy Grafiki". Roućka został zresztą nagrodzony honorowym medalem na poprzedniej imprezie, w 1981 roku.

ANDRZEJ GRUN

Nowość sprzed lat

Przywykliśmy do tego, że często tłumaczenia dzieł literatury obcojęzycznej wydawane są z kilkudziesięcioletnim opóźnieniem, ba... w wypadku niektórych pozycji klasyki światowej z opóźnieniem setek lat. Ewenementem natomiast jest wprowadzenie do normalnego rozpowszechniania w kinach filmu wyprodukowanego przed kilkunastu laty. Przypadek taki świadczy o praktycznym uznaniu faktu, że film może nieść z sobą wartości równie trwałe jak wartości, które niosą z sobą dzieła innych sztuk...

Jakże często było mi żal filmów (oczywiście nie wszystkich), których normalne kinowe rozpowszechnianie — niczym młodość — trwa zazwyczaj tak krótko... Nie sądzę, co prawda, aby decyzja polskiego dystrybutora zakupienia licencji amerykańskiego filmu sprzed kilkunastu lat podyktowana była sentymentem bądź względami estetycznymi (motywy te były raczej finansowe), niemniej jednak dobrze się stało, że film „Butch Cassidy i Sundance Kid" trafił na nasze ekrany.

Jest to film, który zaskakująco dobrze zniósł próbę czasu — nie odbiera się go wcale jako staroć, co więcej obejrzenie go w czternaście lat od daty produkcji daje dodatkową, interesującą możliwość spojrzenia nań w szerszej perspektywie ewolucji gatunku filmowego, jaki reprezentuje. Można bowiem zaryzykować twierdzenie, że „Butch Cassidy i Sundance Kid" jest jednym z filmów stojących w szeregu ewolucyjnym amerykańskiego westernu na pograniczu starej tradycji klasycznego westernu i okresu głębokich przemian gatunku westernowego w latach siedemdziesiątych — okresu, w którym w swoisty sposób pozostając w ramach gatunku przenicowano wiele jego wyznaczników, łącznie — a może przede wszystkim — z mitologią Dzikiego Zachodu.

Opowieść o losach Butcha Cassidy'ego i Sundance'a Kida utrzymana jest w tonacji swoistego romantyzmu, tak charakterystycznego dla klasycznego westernu. Lekka nostalgia za odchodzącym w przeszłość światem, jakkolwiek bliska jest romantycznej tonacji westernu, staje się nowi poniekąd — przez podważenie wiary w niezmienność świata Dzikiego Zachodu — pierwszy krok do zanegowania jego mitologicznego, a więc wiecznotrwałego charakteru.

Szczególnie interesującym zjawiskiem w filmie „Butch Cassidy i Sundance Kid" jest zastąpienie tradycyjnej westernowej opozycji: dobry bohater — zły bohater opozycją: dwójka bohaterów (po których stronie zdecydowanie stoją sympatie widza) — contra ich prześladowcy (ukazani jako pewna w gruncie rzeczy bezosobowa siła... organizacja... instytucja...).

Uczynienie z trudniących się rozbojem rewolwerowców — Butcha i Sundance'a bohaterów na dobrą sprawę pozytywnych jest aktem afirmacji ludzi żywych, o wyraźnie zarysowanych indywidualnościach, pełnych fantazji i polotu, działających w pozainstytucjonalnych ramach, ludzi naprawdę wolnych — stanowi, jak sądzę, najistotniejszy element wydźwięku filmu. Tak silnie zaakcentowana afirmacja wolności indywiduum ludzkiego, jednostki ludzkiej zdaje się być swoistym, symbolicznym antidotum na życie zbyt zuniformizowane w nadmiernie zinstytucjonalizowanym społeczeństwie. I w tym właśnie zasadniczym punkcie film „Butch Cassidy i Sundance Kid" jest niezwykle wierny tradycji westernu, stawia na pierwszym planie to, co stanowiło od dziesiątków lat największą siłę gatunku westernowego — ukazanie widzowi mitologicznego świata, w którym liczy się pojedynczy człowiek, w którym jest on motorem wydarzeń, dzięki czemu z kolei możliwe jest coś tak egzotycznego dla współczesnego mieszczucha jak wielka przygoda... Ostateczna przegrana Butcha i Sundance'a w zakończeniu filmu, przegrana w pewnej mierze przypadkowa, nie jest w stanie przekreślić takiego właśnie wydźwięku filmu... nawet jeśli uznalibyśmy ten przypadek za konieczność.

O ile w sferze przesłania mitologii film Hilla jest wierny temu, co najistotniejsze w tradycji westernowej, to w sferze konwencji, w jakiej opowiada się widzowi wydarzenia, film znacznie różni się od klasycznego westernu — jest gatunkowym przekładańcem w pewnym sensie. Sprawiają to liczne elementy komiczne, sekwencje o wyraźnie frywolno-erotycznym charakterze, wreszcie partie filmu, w których dominującą rolę spełniają muzyka i piosenka.

Warto również wspomnieć o sekwencji, w której nie pada z ekranu ani jedno słowo, a obrazowi towarzyszy jedynie muzyka. Ta ostatnia sekwencja stanowi jakby przypomnienie, że samym obrazem, bez odwoływania się do słowa, można opowiedzieć bardzo wiele. Jest to jakby swoiste nawiązanie do wyrazowej oszczędności filmu niemego, jeszcze jeden przykład, że reżyser filmu wprowadzając do gatunku westernowego pewne nowości jest jednocześnie silnie związany z tradycją kina.

Ważnym atutem filmu jest też precyzja konstrukcji dramaturgicznej — tak poszczególnych scen, jak i całości. Sceny w filmie posiadają dobrze zarysowaną ekspozycję, punkt kulminacyjny, zakończenie, często zwieńczone są zaskakującą, zmieniającą sens całej sceny, pointą.

Wreszcie... interesującą w filmie jest możliwość zobaczenia duetu aktorskiego: Paul Newman i Robert Redford — pary aktorów kreujących też główne role w niezapomnianym „Żądle", również w reżyserii G. R. Hilla. „Żądło" mieliśmy okazję oglądać w Polsce już kilka lat temu, mimo że powstało ono w cztery lata później niż „Butch Cassidy i Sundance Kid". Podobnie jak w późniejszym „Żądle" Paul Newman i Robert Redford są znakomici, choć reprezentują dość tradycyjny sposób gry aktorskiej. Przy całej wiarygodności psychologicznej, jest w ich grze wiele z tego, co określa się mianem gwiazdorstwa. Butch Cassidy i Sundance Kid kreowani przez Newmana i Redforda zdają się być trochę zbyt elokwentni, zbyt — jak to się po angielsku mówi — sophisticated, jak na prostych, niewykształconych rewolwerowców. Wrażenie takie może bierze się stąd, że fala tzw. antygwiazd zdążyła nas trochę od gwiazdorstwa odzwyczaić, mimo że i ono ma po dziś dzień wielu entuzjastów, którzy chodzą do kina w dużej mierze po to, aby zobaczyć na ekranie ulubionych aktorów.

Wyróżniony w 1970 roku trzema Oscarami (dla scenarzysty, operatora i kompozytora) film „Butch Cassidy i Sundance Kid" okazał się dziełem, które będąc już pozycją w historii filmu amerykańskiego, jest jednocześnie wciąż żywe.

ADAM BART

„BUTCH CASSIDY I SUNDANCE KID" — reżyseria: George Roy Hill, produkcja: USA 1969 (!).

Z półki recenzenta

OPERACJA „ŻAGIEW"

Julian Siemionow, specjalizujący się w tematyce sensacyjno-politycznej (dla przypomnienia: jego powieść „Siedemnaście mgnień wiosny" była realizowana przez radziecką tv i emitowana także w naszym programie), ponownie pojawił się na naszym rynku księgarskim. Pamiętamy jego poprzednie powieści: „Ostatni lot", „Trzech z Wydziału Śledczego", „Major Wicher" czy „Bomba dla przewodniczącego".

Tym razem sprawa dotyczy akcji wywiadów wokół przygotowywanego zamachu stanu w fikcyjnym państwie afrykańskim. Pełno tu pościgów, ucieczek, prowokacji, morderstw itp. Słowem sporo atrybutów składających się na powieść sensacyjną.

Przekład: Tadeusza Butkiewicza.

Julian Siemionow: Operacja „Żagiew". Czytelnik 1982. Str. 358. Cena 90 zł.

PANNY SZYMANOWSKIE

Kolejny tom z serii portretów sławnych ludzi. Jak i poprzednie nie będzie zalegać na półkach księgarskich, bowiem tym razem i temat ciekawy i postacie znane z literatury, a do tego owiane romantyczną legendą. Przecież panny Szymanowskie, to córki słynnej pianistki Marii: Helena, późniejsza Franciszkowa Malewska i Celina — Adamowa Mickiewiczowa, oraz trzecia ich siostra przyrodnia Zofia, żona Teofila Lenartowicza.

Książka licząca czterysta stronic została bogato zilustrowana reprodukcjami obrazów, dagerotypami i fotografiami, co jeszcze bardziej uatrakcyjnia jej lekturę.

Zbigniew Sudolski: **Panny Szymanowskie**. LSW 1983 r. Str. 408. Cena 220 zł.

W ZŁĄ GODZINĘ

Krzysztofa Kąkolewskiego znamy przede wszystkim jako zawziętego reportażystę tropiącego anomalie współczesności. I w tej roli jest znakomity. Gorzej natomiast prezentuje się jako powieściopisarz. Ostatnia jego powieść „W złą godzinę" jest opowieścią o pierwszych latach powojennych w małym miasteczku, gdzie w szkole prowadzonej przez księży spotykają się przerośnięci młodzieńcy, których losy okupacji jakże często postawiły po różnej stronie barykady. Jedni przybyli z wiejskich domów, inni z miasteczek, jeszcze inni wprost z lasów. Niestety, konflikty zostały zarysowane dość blado, w przeciwieństwie do barwnych opisów inicjacji, jakim został poddany główny bohater powieści.

Krzysztof Kąkolewski: **W złą godzinę**. Wyd. LM. 1983 r. Str. 426. Cena 140 zł.

PIERWSZA POLKA

Na wstępie niezbędne wyjaśnienie: autor omawianej przez nas książki urodził się przed wojną w Gliwicach i tam spędził dzieciństwo i młodość. Obecnie mieszka w RFN. „Pierwsza polka" jest pierwszą częścią trylogii o Gliwicach i opowiada o tragedii rodzinnego miasta autora. Akcja rozgrywa się w ciągu jednej doby: 31 sierpnia 1939 r. Nazajutrz rozpętała się jedna z najstraszniejszych wojen.

Dla nas, Polaków, ta książka jest tym bardziej interesująca, gdyż została napisana przez kogoś, kto patrzy na dzieje narodów polskiego i niemieckiego „z tamtej strony", strony przecież dla nas nieprzychylnej, czasami wręcz wrogiej.

Przekład: Maria Przybyłowska.

Horst Bienek: **Pierwsza polka**. Czytelnik 1983. Str. 336. Cena 120 zł.

LUDZIE O CZTERECH PALCACH

Miodrag Bulatowić w swojej nowej powieści ukazuje okrutny i beznadziejny świat gastarbeiterów egzystujących w zachodniej Europie, zaś przede wszystkim w Republice Federalnej Niemiec. Uwikłani w rozgrywki i interesy świata przestępczego lub organizacji terrorystycznych są oni skazani na całkowity upadek moralny bez możliwości ratunku, na zagładę, a w najlepszym razie na kalectwo. Terror, zbrodnia, przemoc — oto podstawowe atrybuty ludzi służących osławionemu dr Ante Pavelićowi. W sumie jest to książka dla ludzi o silnych nerwach, bo często zawarte w niej opisy są z pogranicza naturalistycznego okrucieństwa.

Przekład: Danuty Cirlić-Straszyńskiej.

Miodrag Bulatowić: **Ludzie o czterech palcach**. PIW 1983. Str. 336. Cena 120 zł.

JERZY ŻUKOWSKI

Tam, gdzie dachy słomą kryte

(9)

XVI. GŁOWIEŃSCY ŻANDARMI

Minęło kilka dni od przygody Juki i oddział zatrzymał się ponownie w tej samej okolicy u dość zamożnego gospodarza pod wsią Borki. Dom i zabudowania gospodarcze stały na uboczu i otoczone były dosyć wysokim parkanem ze szczelnie przylegających do siebie desek, dając całkowitą zasłonę podwórza przed ciekawskimi.

Około drugiej po południu zaobserwowano człowieka, który od strony drogi szybkim krokiem szedł ku kwaterze. Gdy wszedł na podwórko, kazał się zaprowadzić do dowódcy. Okazało się, że jest to jeden z członków miejscowej organizacji AK, biorący udział w dodatkowym ubezpieczaniu oddziału podczas prowadzenia prac polowych. Przybysz poinformował, że zobaczył jadących na rowerach, najprawdopodobniej w odwiedziny do gospodarza kwatery, dwóch znienawidzonych za swe bestialstwo, ubranych po cywilnemu żandarmów Serbiana i Rahna, którzy często przyjeżdżali do tej wsi i do tego gospodarza na wódkę i po prywatnie ściąganą daninę od ludności. Wirek podziękował informatorowi i ten zaraz opuścił kwaterę furtką od strony pola.

Zarządzono alarm i przygotowano się na przyjęcie ewentualnych gości. W kilka minut później na drodze ukazało się dwóch jadących wolno cyklistów, którzy rzeczywiście skręcili w kierunku kwatery. Idący przodem podszedł do uchylonej furtki, pchnął ją rowerem i wszedł na podwórze, a za nim — jego kompan, który ze zdziwieniem zauważył, że furtka się zamknęła. Gdy się obejrzał, zobaczył trzech żandarmów z wycelowaną w siebie bronią i usłyszał: „Hände hoch". Byli to: Koszka w mundurze wachmeistra oraz Leser i Sokół-policjant w mundurach oberfreitrów niemieckiej żandarmerii.

Zaskoczeni takim przyjęciem cykliści wyjaśnili Koszce po niemiecku, że są żandarmami, lecz gdy ponownie usłyszeli „Hände hoch!" posłusznie podnieśli ręce do góry. Stali tak przez chwilę, nie rozumiejąc co się dzieje, gdy nagle Serbian opuścił ręce i sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki, gdzie miał pistolet, ale Sokół-policjant był szybszy. Zza rogu domu wyskoczyło kilku chłopców, którzy odebrali im broń, związali i odprowadzili do małego spichrza pod klucz.

W ten oto sposób dwaj najbardziej znienawidzeni i okrutni głowieńscy żandarmi, po latach zbrodniczej działalności trafili w ręce polskich partyzantów. Znani byli dobrze, gdyż zamordowali wielu ludzi, a Żydów rozstrzeliwali w biały dzień na ulicy.

Wirek przesłuchał jeńców, którzy odpowiadali rzeczowo. Dowiedziano się od nich, że głowieńska żandarmeria i gestapo od dawna skrupulatnie zbierają informacje na temat oddziału Sama i wspomagających go ludzi. Ponieważ jednak był to oddział lotny, ustalenie miejsca jego pobytu w danym dniu było prawie niemożliwe. Bliskość frontu chwilowo utrudniała przedsięwzięcie poważniejszej akcji przeciw oddziałowi, ale w momencie zdobycia dokładniejszych informacji przeprowadzić miano likwidację partyzantów. Na pytanie, skąd Niemcy mają czasem tak dokładne informacje o Polakach, Serbian odpowiedział, że od samych Polaków, którzy z zawiści i dla załatwienia osobistych porachunków piszą na innych donosy. Prawdomówność Serbiana potwierdziły trzy znalezione przy nim listy, w których „uniżenie i uprzejmie" informowano o pędzeniu bimbru, zabiciu prosiaka itd.

Zeznania żandarmów wywarły bardzo przykre wrażenie na chłopcach i zwarzyły satysfakcję z ich złapania. Wieczorem, przed opuszczeniem kwatery zapowiedziano gospodarzowi, że jeśli mu życie miłe, niech zapomni o bytności oddziału i wszystkim, co się stało. W drodze na następną kwaterę, w pobliżu Bobrowskich Lasów od oddziału odłączyło się kilku ludzi, prowadząc ze sobą obu żandarmów. Kiedy wrócili, nie było już z nimi rycerzy Führera.

XVII. BITWA POD STRYKOWEM

Oddział w dalszym ciągu wyprawiał się do „Szwajcarii", mając na celu nie tylko zdobycie środków materialnych na przezimowanie, ale również sianie niepokoju wśród ludności niemieckiej. 10 listopada na kwaterę pod Głownem przybyła łączniczka Krzywda (Rzewuska?), prowadząc ze sobą oficerów z Komendy Okręgu: majora Gaja (Adam Trybus) i kapitana Rymszę. Przedstawili oni ogólną sytuację wojskową, zapowiadając, iż przy pogorszeniu się warunków atmosferycznych oddział zostanie rozproszony i rozlokowany na odpowiednich kwaterach, biorąc udział w akcjach dywersyjnych. O ile front nie przesunie się do wiosny na zachód, oddział wznowi działalność. Były też awanse dla kilku chłopców.

Po odjeździe Gaja, Rymszy i Krzywdy na kwaterze zjawił się nowy gość, który przedstawił się Wirkowi jako Kukułka (Jerzy Jedynak). Z polecenia Miecza służyć miał oddziałowi tej nocy jako przewodnik, a to oznaczało, że oddział pójdzie dziś w jakieś nieznane strony. W kilka godzin po zachodzie słońca Kukułka poprowadził chłopców mało uczęszczanymi drogami, czasem na przełaj przez zaorane pola, czasem miedzami, omijając osiedla ludzkie, w kierunku granicy z Reichem. Mijając po lewej ręce Głowno, oddział przekroczył linię kolejową Łódź — Łowicz i znalazł się nad Mrogą. Po trzech kwadransach od przeprawy przez Mrogę — po kładce, z której znów dwóch chłopców wpadło do płytkiej na szczęście wody — dotarto do lasu przy folwarku Domaradzyn, gdzie zarządzono krótki odpoczynek. Droga była jednak jeszcze długa. Przed granicą oddział zatrzymał się, a Kukułka wraz z dwoma innymi poszedł naprzód, by zbadać sytuację na granicy. Kukułka miał w tym dużą wprawę, gdyż często chodził nielegalnie do Reichu, zajmując się przemytem. Po półgodzinie jeden z towarzyszących Kukułce wrócił, stwierdzając, że granica czysta, śmiało można iść dalej i wkrótce oddział miał już granicę poza sobą.

Po przeszło dwudziestokilometrowym marszu, jeszcze przed północą Kukułka doprowadził oddział do zamożnie wyglądającego domu w miejscowości Swedówek. Gospodarstwo stało na uboczu pomiędzy wsią Anielin a rzeczką Moszczenicą, tuż za którą był duży las iglasty. Po obudzeniu gospodarzy, będących Niemcami, oddział rozlokował się w jednej z dwu dużych izb i kuchni, a domowników wpędzono do pomieszczenia sąsiadującego z kuchnią i zamknięto. Upewniwszy się, że wszystko w porządku, Kukułka pożegnał się i obiecał zjawić się następnego dnia wieczorem.

Rano po ogólnej pobudce na śniadanie przystąpiono do rewizji domu i rekwirowania potrzebnej oddziałowi odzieży, nadających się do spieniężenia przedmiotów oraz żywności. Największą frajdę mieli kucharze, którzy znaleźli w spiżarni prawie całego wieprzka przerobionego na wędliny. Taki prowiant znacznie ułatwiał im wyżywienie oddziału. W pewnym momencie ktoś powiadomił Kapra, iż Wirek wzywa go do siebie. Kiedy Kaper wszedł do kuchni, gdzie było już kilku chłopców, towarzystwo zaczęło nucić jedną zwrotkę z oddziałowych kupletów:

Kaper mat wciąż chodzi smutny,
że w pokera nie chcą grać.
Dla żony nie ma na buty,
Jak tu nie kląć, psia ich mać!

A gdy przebrzmiały nucone cicho słowa zwrotki, dowódca wyciągnął zza pleców parę nowiutkich butów damskich z cholewami, tak zwanych oficerek i wręczając je Kaprowi, powiedział:

— Panie Kaper, nareszcie trafiły się nam damskie buty, które w imieniu całego oddziału przydzielam panu jako łup wojenny i mam nadzieję, że przestanie pan grać w pokera, bo buty pan już ma.

Kaper cholernie ucieszył się z prezentu, bo nadchodziła zima, a dla jego narzeczonej takie buty bardzo by się przydały. Po pewnym czasie kapral Grom zaczął usilnie namawiać Kapra, by odstąpił mu buty, które to on, jako zastępca dowódcy, powinien był dostać. Twierdził, że oddział nie po to chodzi do „Szwajcarii", by ubierać czyjeś narzeczone. Kaper odmówił, mówiąc, że buty dostał od dowódcy, poza tym są one damskie i na nogi Groma na pewno za małe. Wtedy Grom poprosił choć o ich przymierzenie, a kiedy z trudem wcisnął je na nogi, zaproponował, że ponosi je tylko do wieczora. Kaper wyraził zgodę, biorąc na świadków Jukę, Osę, Leliwę i innych chłopców. Zadowolony z siebie Grom paradował więc po kwaterze w nowych, przyciasnych butach, nie zważając na docinki kolegów.

Po tym zabawnym zdarzeniu życie w oddziale potoczyło się normalnie, z tą tylko różnicą, że kucharze przygotować mieli specjalny obiad w związku z przypadającym na ten dzień, 11 listopada, świętem narodowym. Około dziesiątej podczas zmiany wart, wartownik, który stał na posterunku przy bramie w krzakach bzu, zameldował Kaprowi, że pół godziny temu od strony wsi Anielin podeszła do bramy kwatery dziewczynka lat około dwunastu, a zauważywszy go, stała przez chwilę niezdecydowana, po czym zaczęła uciekać. Wtedy on wyskoczył z ukrycia i mierząc z karabinu, krzyknął: „Halt! Stój!", ale ona uciekała co sił w nogach. Od razu złapać jej nie mógł, gdyż dzielił ich płot, a strzelać do dziecka nie miał sumienia.

Kaper zameldował o tym Wirkowi, który natychmiast zarządził ostre pogotowie, polecił zaprząc do wozu parę koni, załadować na wóz wszystko, co zostało zarekwirowane i czekać na dalszy rozwój wypadków, natężywszy obserwację okolicy.

Nadeszło południe. Kaper z Juką przekazali służbę kapralowi Nero i podchorążemu Melanii. Przed domem stała już para koni zaprzężonych do płaskiej bryczki, załadowanej łupem. Po ogłoszeniu alarmu wszyscy poruszali się na kwaterze w pełnym rynsztunku. Podniecenie rosło, gdyż do zachodu słońca były jeszcze cztery długie godziny a oddział znajdował się w obcym terenie, bez jakiejkolwiek łączności, zdany tylko na własną, ograniczoną obserwację terenu i zdany na własne tylko siły. Dziewczynka była pierwszą osobą, która nie trafiła do „kotła" i nie było wiadomo, czy opowiedziała komuś o tym, co zobaczyła. Nie wiedziano nawet, czy była z polskiej, czy niemieckiej rodziny. Nie wypadało więc nic innego jak tylko czekać do zmroku i mieć nadzieję, że nic złego z tego nie wyniknie. Próba opuszczenia kwatery za dnia i wycofania się do GG mogłaby pogorszyć jedynie sytuację.

Czekając na obiad, towarzystwo wylegiwało się w izbie na słomie. Dla zabicia czasu i zamaskowania rosnącego podniecenia żartowano i opowiadano kawały. Nagle ktoś krzyknął: „Niemcy na dworze", a okrzyk na chwilę sparaliżował wszystkich. Nikt po prostu nie mógł uwierzyć, aby Niemcy niepostrzeżenie podeszli pod dom i ot tak zajrzeli sobie przez okno do izby, w której znajdowali się partyzanci. Tymczasem dwie postacie, które rzeczywiście pokazały się za oknem, znikły, a na zewnątrz rozległy się strzały. To Nero i Melania strzelali zza płotu do Niemców, których przypadkiem zauważyli, podchodzących przez sad do budynku. Zauważyli ich jednak zbyt późno, by powiadomić oddział o niebezpieczeństwie.

Jak się okazało, był to około dziesięcioosobowy patrol Grenzschutzu, który pod osłoną drzew, krzewów i wysokich kup gnoju w sadzie podszedł od strony lasu tak blisko, że dwaj żołnierze zajrzeli nawet przez okno. Swą ciekawość przypłacili życiem, ale reszta Niemców, idących w pewnej odległości za nimi, ostrzelała natychmiast Nera i Melanię, obu ciężko raniąc.

Znajdujący się w tym czasie na podwórzu Wit, Sokół-policjant, Mitręga i Masław doskoczyli od razu do drugiego rogu domu i ostrzelali kryjących się za kupami gnoju, Niemców. Kilku odpowiedziało im ogniem, pozostali zaś ostrzelali dom, który w nocy wydawał się murowany, a w rzeczywistości był z drewna z oszalowaniem i otynkowaniem.

Na odgłos strzałów na dwór wybiegli chłopcy z kuchni. Widząc leżących pod płotem i wijących się z bólu Melanię i Nera, szybko przenieśli ich przed ganek, gdzie zajął się nimi doktor Wiesław.

Zorientowawszy się, iż oddział został zaskoczony przez drużynę szperaczy, za którą może posuwać się większy oddział wojska z zamiarem otoczenia kwatery, Wirek wydał rozkaz umieszczenia rannych na wozie i wycofywania się patrolami z kwatery w kierunku na lasy Domaradzyna, aby uprzedzić zamiar Niemców otoczenia oddziału.

Niestety, nie wszyscy usłyszeli rozkaz Wirka i wypełnienie go napotkało na poważne trudności. Około piętnastu ludzi znajdowało się nadal w izbie, która była pod ostrzałem wroga, mierzącego przez drewniane ściany na wyczucie tuż nad podłogą. Zaskoczeni tym chłopcy padli na podłogę. Na szczęście grad kul, jaki przez ścianę posypał się ku nim od strony sadu, nie sięgnął nikogo. Po chwilowym oszołomieniu Kaper przypomniał sobie partyzancką dewizę: „Nie dać się stłoczyć na kwaterze, nie przyjmując walki. W razie otoczenia przebijać się" i krzyknął głośno: „Chłopaki, wiać na podwórze!" Nikt na to jednak nie zareagował, gdyż przelatujące raz po raz nad głowami kule przykuwały wszystkich do podłogi. Wtedy Kaper, którego patrol powinien wycofywać się zawsze jako ostatni, krzyknął znowu: „Czwarty patrol za mną na dwór!", poderwał się szybko i wybiegł z izby, a za nim jego patrol i pozostali chłopcy.

Po wyjściu na zewnątrz okazało się, że przed domem nikogo już nie ma, i że część oddziału wraz z rannymi na wozie opuściła kwaterę. Ci, co zostali wybiegli więc za stodołę, na drogę którą mógł się wycofywać oddział, ale dobiegające z sadu strzały oznaczały, że ktoś prowadzi tam jeszcze walkę z Niemcami. Kres i Kaper zdecydowali szybko, że pierwszy z nich ze swym patrolem pójdzie za znikającym już przy wsi Anielin oddziałem, zaś patrol Kapra osłoni odwrót tych, którzy zza rogu domu strzelają jeszcze do Niemców w sadzie.

Po chwili patrol Kapra zajął stanowiska przy stodole, dające możliwość ostrzału podwórza. Zaczęto nawoływać niewidocznych, lecz ciągle zaangażowanych w walkę chłopców, by jak najszybciej wycofali się, bo oddział jest już daleko. Po paru minutach strzały ucichły, a gdy na wołanie Kapra ciągle nikt nie odpowiadał, postanowił on razem z Osą zobaczyć, co się stało, polecając Juce i Świerkowi ubezpieczanie ich ogniem erkaemu. Kiedy weszli na podwórze, zobaczyli Wita, Masława, Sokoła-policjanta i Mitręgę, którzy obładowani byli bronią zabraną zabitym Niemcom. Wit powiedział, że widząc trzech uciekających z sadu żołnierzy, postanowili zabrać pozostałym, którzy zginęli, broń i dlatego trochę zamarudzili. Do tej pory nie wiedzieli, że ich zwycięstwo okupione zostało dwoma ciężko rannymi kolegami, których szybka akcja uratowała oddział od poważniejszych strat, gdyż Niemcy mogli obrzucić dom granatami, a wtedy byłyby już jatki.

Wszyscy ruszyli biegiem za oddziałem, który ze względu na wiezionych wozem rannych, posuwał się w tempie normalnego marszu, dość szybko więc zaczęli się do niego zbliżać i dołączyli zanim minięto pierwsze zabudowania kolonii Osse. Odtąd oddział szedł już w zorganizowanym szyku. Przodem — Koszka i Nurek, do których dołączył Sokół-policjant — wszyscy uzbrojeni w pistolety maszynowe. Za nimi w odległości stu metrów szły, zachowując bezpieczne odstępy, cztery patrole z wozem z rannymi. Wóz jechał między drugim i trzecim patrolem, które przenosiły go przez rowy melioracyjne, aby ranni uniknęli wstrząsów.

Przy mijaniu ostatnich zabudowań kolonii Osse zauważono, że na lewym skrzydle zza zabudowań wybiegło kilkudziesięciu ludzi i dopadłszy do rosnących brzezin, skryło się za nimi. Z powodu dużej odległości trudno było rozpoznać, kim są. Wkrótce jednak okazało się, że to Niemcy, gdyż skrywszy się za drzewami i krzewami, zaczęli intensywnie ostrzeliwać z karabinów maszerujący otwartym polem oddział. Na odgłos strzałów i świstu przelatujących kul, prawie wszyscy przyklęknęli w świeżo zaoranych bruzdach. Od czoła dał się słyszeć rozkaz Wirka: „Kryć się i strzelać do tych s...synów!". Po bryzgach ziemi było widać, że Niemcy powoli zaczynają się wstrzeliwać w cel, tymczasem oddział nie odpowiedział jeszcze ani jednym strzałem. Niemców nie było widać i chłopcy oszczędzali amunicję. Ich niezdecydowanie zostało jednak przerwane i po chwili w kierunku brzezin poszły krótkie serie, oddane prawie równocześnie z czterech erkaemów i ponad dwudziestu „samozariadek".

Siła ognia takiej ilości broni maszynowej zaskoczyła Niemców, którzy mieli tylko zwykłe karabiny, toteż po pierwszej salwie umilkli, a po drugiej zauważono kilka postaci umykających chyłkiem w stronę zabudowań. Pierwsza próba przygwożdżenia i oskrzydlenia oddziału w otwartym polu została odparta.

Oddział ruszył z miejsca i nadal szedł, tyle że już szerokim rojem, środkiem pól. Starano się trzymać jak najdalej od zabudowań, które nacierający ciągle Niemcy wykorzystywali jako osłonę. Posuwali się krok w krok za oddziałem, stale nękając go ogniem z obu stron, ale z dość dużej odległości, okazując tym respekt dla uzbrojenia wycofujących się partyzantów.

Po pewnym czasie posuwający się prawym skrzydłem Niemcy, wykorzystując zabudowania Krucicy jako osłonę, zajęli dobrą pozycję w kępie krzaków na lekkim wzniesieniu i skoncentrowali swój ogień na wozie, na którym leżeli ranni, a doktor Wiesław dawał im uśmierzające ból zastrzyki. Jeden z koni padł i wóz zatrzymał się. Widząc to, Niemcy jeszcze intensywniej strzelali w jego kierunku. Na szczęście nikogo nie trafili, ale póki oddział stał, łatwiej było celować, należało zatem szybko ruszyć dalej. Jak tu jednak ruszyć, skoro dwukonny wóz nie mógł być ciągniony przez jednego tylko konia?

Zauważono, że niedaleko, na folwarcznym polu stoi para koni zaprzężonych do pługa, a oracz skrył się przed kulami w rowie. Zdecydowano więc zabrać te konie. Trwało to jednak dosyć długo. W czasie, gdy jedni zdejmowali uprząż z zabitego konia, a inni poszli po dwa nowe, pozostali chłopcy na rozkaz Wirka wzmogli ogień na prawe skrzydło, co ostudziło nieco zapał bojowy Niemców. Nie na długo jednak. Po doładowaniu magazynków znów trzeba było obłożyć seriami krzaki. Nieprzyjaciel ciągle był niewidoczny, ale chłopcy walili na wyczucie, czyli tam, gdzie Niemcy zdradzali swe pozycje błyskami ognia. Po paru minutach strzelanina zaczęła trochę cichnąć, a kiedy partyzanci przerwali ogień spostrzegli, iż kilku Niemców opuściło krzaki i pobiegło w stronę najbliższego gospodarstwa, by tam się ukryć. Za Niemcami poszły znów kule i jeden z biegnących upadł, ale pozostali nadal ostrzeliwali oddział — na szczęście nieskutecznie.

Tymczasem zaprzężono już nowe konie do wozu, zostawiając jednego jako luzaka, a doktor Wiesław skończył zmieniać opatrunki rannym. Można było ruszyć dalej.

C.D.N.

Opracował i do druku podał:
PAWEŁ TOMASZEWSKI

Filharmonia contra Wydział Kultury UMŁ

W poniedziałek, 27 czerwca 1983 r. łódzki program telewizyjny „WIADOMOŚCI", pokazał telewidzom bałagan panujący w przybytku — jak by nie było — kulturalnym, bo w muszli koncertowej usytuowanej w parku im. Poniatowskiego.

W sobotę, 25 czerwca zapowiedziany był koncert plenerowy Państwowej Filharmonii w Łodzi. Właśnie w rzeczonej muszli. Koncert został odwołany z motywacją, że w takim bałaganie w żadnym wypadku koncertować nie można.

Powstał mały raban wokół sprawy, obrażeni czują się wszyscy zainteresowani. No, może nie wszyscy, a już na pewno nie ci, którym zawdzięczamy ów wdzięczny widoczek muszli koncertowej, czyli gospodarze terenu.

JOLANTA WROŃSKA

Rufą do orkiestry

Było tak: Filharmonia w Łodzi zwróciła się do Wydziału Kultury, Oświaty i Wychowania Urzędu Dzielnicowego Łódź-Śródmieście z propozycją, by — jak co roku — zorganizować dla mieszkańców miasta koncert orkiestry Filharmonii na świeżym powietrzu. Wydział miał przygotować infrastrukturę, zaś orkiestra — dobrze się nastroić. Nie wyszło. A raczej wyszedł wielki skandal, zaś obie strony zawierające umowę mają do powiedzenia co następuje:

Jolanta Kwaśniak — dyrektor Wydziału Oświaty, Wychowania i Kultury Urzędu Dzielnicowego Łódź-Śródmieście:

— Kiedy około miesiąc temu Filharmonia zwróciła się do nas z propozycją „sprzedaży" koncertu w muszli parku Poniatowskiego, lojalnie uprzedziliśmy, że muszla jest w opłakanym stanie i doprowadzenie jej do porządku jest prawie niemożliwe. Remont robimy tylko przed „wielkim dzwonem" tzn. przed 1 Maja, czy przed 22 Lipca...

— *Jeśli 1 Maja był porządek, to powinien być i teraz. To raptem dwa miesiące...*

— Na 1 Maja porządek był, ale potem nikt nie jest w stanie upilnować tego terenu. W przeddzień koncertu w parku była pani inspektor z naszego wydziału i stwierdziła, że zaplecze muszli (garderoby) wygląda tragicznie. Drzwi wyważone, zamki wyłamane, szyby wybite, a w środku panuje niesamowity brud. Natomiast estrada przedstawiała się dużo lepiej, była w stanie zadowalającym. Teren wokół muszli nie wyglądał tak źle, choć ławki nie stały w równych rzędach, dwie były przewrócone, śmieci nie było niemal wcale. Słowem nie można powiedzieć, że nie było warunków dla odbycia koncertu. Reasumując — stwierdzono, że ani teren, ani estrada nie stanowią przeszkody w wypełnieniu przez Filharmonię jej zobowiązania. Podkreślam jeszcze raz, iż dyr. Mikołajczak został uprzedzony, że nie możemy gwarantować warunków luksusowych. Zresztą już w roku ubiegłym, dyr. Szostak także nie był zachwycony warunkami panującymi w muszli. Formalnie sprawa wygląda tak, że to nie wydział jest gospodarzem terenu i nie ma obowiązku remontowania tego obiektu — poza — jak mówiłam — najważniejszymi imprezami. Muszla i dbanie o nią należy do obowiązków Łódzkiego Przedsiębiorstwa Ogrodniczego, które opiekuje się całym parkiem. My zaś jedynie wynajmujemy obiekt na organizację naszych imprez. ŁPO jak widać zupełnie nie przejmuje się swymi obowiązkami, skoro muszla koncertowa, jak i cały park są systematycznie dewastowane, pozbawione jakiegokolwiek nadzoru i opieki. Właściwie przed każdą imprezą należałoby obiekt remontować gruntownie, wkładając w to ok. 200 tys. zł. Nikt nie chce się podjąć stałego sprzątania, a my musieliśmy za 4 tys. zł wynająć dwie panie, które zdecydowały się posprzątać teren wokół muszli przed 1 Maja.

W dniu koncertu, byłam w muszli na godzinę przed koncertem, stwierdzając, że na estradzie wszystko jest już przygotowane, krzesła i pulpity rozłożone, natomiast muzycy orkiestry komentowali stan terenu okalającego muszlę, wnosili też pewne uwagi dotyczące dwóch, przewróconych do góry nogami koszy na śmieci z wysypaną zawartością oraz kilku przewróconych ławek. I to było wszystko!

Nasza interpretacja sprawy wygląda tak: Uważam, że warunki techniczne dla występu orkiestry były spełnione. Uważam, że członkom orkiestry zabrakło po prostu dobrej woli. Zachowanie kierownictwa Filharmonii — w tym wypadku — pana Mikołajczaka, było tendencyjne, bo Filharmonia dysponowała własną ekipą techniczną i mogła bez wielkiej fatygi raz dwa posprzątać bałagan, zresztą wcale nie tak tragiczny, jak to stwierdził w wywiadzie telewizyjnym pan Mikołajczak. Ponieważ jednak był akurat obecny gościnnie dyrygujący orkiestrą łódzkiej Filharmonii pan Goncarzewicz z Kielc, więc podejrzewam, że to ze względu na gościa, orkiestra tak ostentacyjnie zareagowała na warunki panujące w muszli koncertowej. Pan Mikołajczak stwierdził — o czym mówię z oburzeniem — że orkiestra tej marki musi się szanować. Nie pomyślał tylko o szacunku dla publiczności, oczekującej bezskutecznie na rozpoczęcie występu. Wykorzystana została obecność ekipy Tv, mającej nagrywać koncert, żeby zademonstrować, jak to rzuca się kłody pod nogi sławnej orkiestrze. Naszym zdaniem źle się stało, że Filharmonia odmówiła występu, zwłaszcza, że była uprzedzona, że warunki nie będą wiele lepsze niż w zeszłym roku. Problem jednak tkwi w zupełnie czym innym. My jesteśmy świadomi, że być może poniesiemy konsekwencje tego przykrego zajścia, być może nasi przełożeni uznają nas za winnych tego incydentu. Rzecz jednak w tym, że niszczeje cenny obiekt mający służyć inicjatywom kulturalnym organizowanym dla mieszkańców Łodzi. Wydział podejmował wiele działań mających powstrzymać stałą dewastację obiektu. Jeszcze w październiku ubiegłego roku wysyłaliśmy pisma do Łódzkiego Przedsiębiorstwa Ogrodniczego z prośbą o okratowanie okien na zapleczu muszli, zabezpieczenie drzwi, wykonanie niezbędnych prac remontowych oraz stały nadzór nad tym terenem. MO prosiliśmy o wzmożenie działalności patrolowej na terenie parku, gdyż wandale urządzają sobie w muszli melinę pijacką. Zainteresowaliśmy też sprawą naszych radnych z dzielnicy. Wszystko bez rezultatu. Żadnej reakcji, żadnego zaangażowania. A na początku maja otrzymaliśmy z ŁPO — Oddział Polesie, w którego gestii leży opieka nad parkiem i muszlą koncertową, że niniejszym nam właśnie przekazują troskę o ten obiekt, sami biorąc na siebie tylko dbanie o park. Tu dodać trzeba, że dyrektor centrali tego przedsiębiorstwa w ogóle nie znał decyzji podjętej przez podległy sobie oddział poleski. Aczkolwiek chylimy czoła przed Filharmonią i mimo dotychczas dobrej współpracy, jesteśmy zdziwieni postawą jej kierownictwa. Zdajemy sobie sprawę ze stanu faktycznego, ale jesteśmy — jako wydział — zupełnie bezradni. Urząd nie dysponuje personelem, któremu mógłby powierzyć stałą opiekę nad muszlą koncertową i okalającym ją terenem.

Dyrektor administracyjny Filharmonii Łódzkiej — *Kazimierz Mikołajczak:*

— Uważam, że to nie niemożność dogadania się z Wydziałem Kultury Urzędu Miasta, ani z Urzędem Dzielnicowym jest przyczyną tego, co zaszło, lecz stan ogólnonarodowego tumiwisizmu. Ludzie biorą od państwa pensje i starają się za nie świadczyć jak najmniej pracy. Jeśli ktoś uważa, że za swą pracę otrzymuje zbyt małą pensję, powinien zrezygnować. Po podpisaniu umowy o pracę trzeba wykonywać swe obowiązki należycie. W tej sprawie także nie ma się co specjalnie dogadywać, każdy ma jasno określony zakres swych obowiązków i wystarczy, by o tym pamiętał. Jeśli ustalamy datę koncertu i warunki, jakie musi mieć zespół w czasie występu, to wystarczyłoby pójść do parku przed koncertem i zrobić tam porządek. Dwie osoby w dwie godziny mogłyby całość wypucować na glanc, nawet gdy nie da się utrzymać tam czystości na stałe, co też samo w sobie jest już skandalem. To jest w końcu miejsce publiczne, mające służyć ludziom i nie można propagować kultury w otoczeniu przypominającym miejski szalet. A swoją drogą, gdzie jest powiedziane, że szalet publiczny musi się kojarzyć z brudem i smrodem? Tylko spełnienie minimum warunków realnym czyni sam cel, takiej działalności, jak wyprowadzanie muzyki z sal koncertowych do ludzi, na powietrze.

A w Łodzi tradycja koncertów w plenerze jest bardzo stara. Kiedy w 1975 roku obchodziliśmy 60-lecie naszej instytucji, znaleźliśmy piękną tradycję odbywanych latem koncertów, zwanych w Łodzi — ogródkowymi. Postanowiliśmy więc przywrócić tę ideę do życia i każdego roku, na początek nowego sezonu artystycznego, dawać publiczny koncert na otwartych estradach w miejskich parkach. Przez te osiem już lat jakoś to wszystko — lepiej lub gorzej — funkcjonowało. Ale w zeszłym roku w parku Poniatowskiego było już bardzo źle. Była ruina i brud, ale wtedy nie chcieliśmy sprawiać zawodu publiczności, więc nasza ekipa techniczna i muzycy, zakasali rękawy, by choć z grubsza uprzątnąć estradę przed koncertem. Tylko, że to do nas nie należy i nie możemy przed występem wręczać muzykom miotel, by przygotowali sobie miejsce pracy. Wtedy też obiecałem sobie, że po raz ostatni narażam swych podopiecznych na coś takiego. Jeśli ojcom miasta sprawiamy sobą i swymi wymaganiami kłopot, jeśli nas nie chcą, to najlepiej tę budę w parku rozebrać, z koncertów ogródkowych zrezygnować i będzie spokój. Tyle, że będzie to ze szkodą dla mieszkańców miasta, nie mówiąc już o samej idei upowszechniania kultury muzycznej.

W tym roku, pomny doświadczeń zeszłorocznych, pojechałem do parku w poniedziałek, na pięć dni przed datą koncertu. Zastałem straszliwą dewastację i brud. Zadzwoniłem więc do urzędu śródmiejskiego z prośbą, by teren uporządkować.

I tak nasza praca była już poważnie utrudniona, bo musieliśmy zrezygnować z właściwego nagłośnienia terenu wokół muszli, ze względu na brak dopływu prądu. Kable elektryczne do muszli zostały zerwane ze dwa lata temu i jak dotąd nie ma komu tego naprawić, choć do najbliższej latarni jest zaledwie 50 metrów. Trzeba by na ten jeden koncert wlec ze sobą specjalne agregaty, mikrofony, a to jest bez sensu, choć granie bez nagłośnienia oznacza, że jedynie słuchacze z pierwszych ławek będą cokolwiek słyszeć. Mimo to chcieliśmy grać, zaprosiliśmy gościnnie dyrygenta z Kielc, zespół ćwiczył przez cztery dni do tego występu. Jednak w żadnym wypadku nie myślimy rezygnować z absolutnie niezbędnego minimum ludzkich warunków pracy. Nie będziemy grać na wysypisku śmieci. Kiedy w sobotę, tuż przed koncertem pojechałem ponownie do parku sprawdzić czy zadośćuczyniono naszej prośbie i zastałem stan identyczny, jak w poniedziałek, zdecydowałem więc, mimo żalu i świadom zawodu sprawionego oczekującej publiczności, odwołać koncert. My nie traktujemy tych występów jak chałtury i życzymy sobie, by osoby i instytucje odpowiedzialne za zapewnienie nam odpowiednich warunków także nie traktowały swych obowiązków jak chałtury. Poza tym — co uważam za konieczne podkreślić — orkiestra z takim dorobkiem mająca za sobą występy w największych salach koncertowych Europy — musi się szanować, by zmusić do należnego szacunku tych, co nominalnie odpowiedzialni są za kulturę w mieście. Kiedy przyjechała ekipa Tv, zaproponowałem, by wykorzystać tę okazję i w gronie osób zainteresowanych — były obecne panie z Wydziału Kultury Urzędu Dzielnicowego Śródmieście — podyskutować nad sprawą odpowiedzialności za to, co się dzieje. Obie panie zrezygnowały z przedstawienia swych racji przed kamerami, a szkoda, bo może ich przełożeni wzięliby sobie bardziej do serca swe obowiązki. Kimś wreszcie trzeba potrząsnąć! Tak dalej być nie może, bo niedługo pozostanie nam jedynie zasiać trawę na miejscu dawnych obiektów kulturalnych.

Było kiedyś w mieście kilka takich parkowych estrad, niektóre mają bardziej dbałych gospodarzy, inne — jak ta w parku Poniatowskiego, czy estrada na zapleczu budynku dawnego ZMS przy ul. Piotrkowskiej 162 — rozpadają się w proch i pył przy walnym udziale okolicznych wandali i zupełnym tumiwisizmie władz za to odpowiedzialnych.

U nas wszyscy doskonale znają się na medycynie i na polityce. Na kulturze też. I wszyscy potrafią dawać znakomite rady... tylko nie ma tych, którzy by tak zwyczajnie wzięli się i zrobili. Boję się, że nie zanosi się na szybkie zmiany...

3.

Być może i moja rada będzie z gatunku tych „znakomitych", ale radziłabym po prostu przestać sobie zawracać głowę jakąś tam kulturą. Tylko zmartwienia z tym i kłopotów co niemiara, a ze wszystkich stron można jeszcze oberwać od wiecznie niezadowolonych. Zasiejmy trawę, orkiestrę rozpuśćmy do domu i będzie spokój. Święty spokój, w którym nareszcie będzie można bez przeszkód urzędować, wymyślać plany i koncepcje, jak należy nieść ten parzący w ręce oświaty kaganek.

Naczelnik dzielnicy Śródmieście nosi się z zamiarem zorganizowania narady z udziałem wszystkich winnych. Ma być kierownictwo Filharmonii, Łódzkiego Przedsiębiorstwa Ogrodniczego, czynniki polityczne. Narada ma przynieść pomysł na zaradzenie postępującej rozsypce kultury. Pozostając z całym szacunkiem dla inicjatyw władzy administracyjnej i jej troski o nasze potrzeby duchowe, pozwalam sobie powątpiewać w skutek. Małoż to było już takich narad, sesji, deklaracji i uzgodnień? Może więc większy sens miałby apel do łódzkiej ferajny urządzającej sobie popijawy w muszlach koncertowych, by zechciała — na złość głoszonym o niej opiniom — odstąpić od swych dotychczasowych praktyk i wykazać więcej szacunku dla obiektów kultury niż porażeni niemocą ludzie za to odpowiedzialni.

■

Niedługo wyjeżdżamy na obóz. Poradźcie nam, gdzie zdobyć teksty piosenek, które śpiewa Franek Kimono. Przydałyby się nam na obóz.

OLA KRANITZ
i JOLA GLAPSKA

OD REDAKCJI: Spełniamy Waszą prośbę. Przedrukowujemy za „Radarem" teksty obu piosenek.

BRUCE-LEE — KARATE-MISTRZ

słowa: **Andrzej Spol**
muzyka: **Andrzej Korzyński**
śpiewa: **Franek Kimono**

Nie rycz mała — nie ryczx
Ja znam te wasze numery
Twoje łzy lecą mi na koszulę
Z napisem: King-Bruce-Lee-karate-mistrz!
King-Bruce-Lee-karate-mistrz!

Ja w klubie Disco mogę robić wszystko
Wyciągam damy spod opieki mamy
i małolaty spod opieki taty
Na bramce stoję nikogo się nie boję
Ja jestem King-Bruce-Lee-karate-mistrx

Gdy trzeba będzie ja ciebie obronię
Znam parę chwytów — ciałem zasłonię
Ciosy karate ćwiczyłem z bratem
Ja jestem King-Bruce-Lee-karate-mistrx

Już ci mówiłem mała nie ryczx
Mam w sobie dzikość żółtej pantery
W tej dyskotece nie ma frajera
Co by podskoczył lub ze mną zadzierał
Ja jestem King-Bruce-Lee-karate-mistrz
King-Bruce-Lee-karate-mistrz

Gdy ja dołożę wtedy nie daj Boże
Reanimacja nawet nie pomoże
Po dobrej wódzie —, lepszy jestem w dżudzie
Ja jestem King-Bruce-Lee-karate-mistrz
King-Bruce-Lee-karate-mistrz

Nie rycz mała — nie ryczx
Ja znam te wasze numery
Twoje łzy lecą mi na koszulę
Z napisem King-Bruce-Lee-karate-mistrz!
King-Bruce-Lee-karate-mistrz

Twoje łzy lecą mi na koszulę
z napisem King-Bruce-Lee-karate-mistrz

DYSK-DŻOKEJ

słowa: **Andrzej Spol**
muzyka: **Andrzej Korzyński**
śpiewa: **Franek Kimono**

Ciężko pracuję w dyskotece
Jestem dżokejem — szmule gram
Przyjdźcie popatrzcie jak tu tańczą
Obłędna sprawa — mówię wam
Jestem dżokejem — lansuję bity
Lecz skąd je brać powiedzcie mi
Czasem na giełdzie coś mi podejdzie
Lecz w gruncie rzeczy sprzedaję kit.

Więc gaz do dechy i wypuszczam czad
Z aparatury co ma 1000 wat
Pulsują światła — pulsuje krew
A ja po prostu robię głębszy wdech
i gaz do dechy i wypuszczam czad
Z aparatury co ma 1000 wat

Mam narzeczoną małolatę
Fajny agregat mówię wam
Ma dosyć zdartej płyty starych
Woli więc słuchać, gdy ja gram
Kiedy kolumny dostaną dreszczy
A na parkiecie amok i szał
Ona nie tańczy, ona na lúzie
Pali Peweksy i robi szpan.

Więc gaz do dechy...

Dziś znowu przyszły Ola i Jola (Ola i Jola, Ola i Jo[illegible]
Mikrofon w ręku moim lśni
One tak tańczą rock-and-rolla
Że ze wzruszenia głos mój drży
Śpiewam z Perfectem — robię wrażenie
Prawdziwa sztuka — to jest to!
Nic nie zastąpi dobrego rocka
Ani też nikt nie zastąpi mnie

Więc gaz do dechy...

■

Rację miał psycholog dr Wojciech Wójtowicz kończący nasze poprzednie spotkanie (patrz „Odgłosy" nr 27 z dn. 2.VII.1983 r.), że artykułem „Uciekinierzy" wywołam refleksje, niektórych zmuszę do myślenia, innych do podzielenia się uwagami nad swoją sytuacją rodzinną. Listy i telefony potwierdziły, że wbrew pozorom, sprawy losu dzieci, nawet nie swoich, nie są ludziom obojętne.

Ze szczególnym odzewem spotkała się historia 12-letniej uciekinierki, Agnieszki, której matka brzydzi się. Ważniejszy jest „narzeczony-przyjaciel" niż los dziecka.

„— *Uciekłam z domu ponieważ krzyczeli na mnie rodzice i mama mówiła, że odda mnie do domu dziecka lub do babci, albo gdziekolwiek, bo nie chce mnie widzieć na oczy. Wtedy pomyślałam sobie, że jak odejdę z domu to się ucieszy...*".

(...) — *Powiedziała, że chce być tylko z panią* (to reporter Sławek Rodacki).

— *Ale ja z nią nie chcę być. I taka jest moja decyzja. Ja się jej brzydzę. Nie powinnam tego mówić, ale tak jest...*

Znów dziecko.

— *Ja chcę być tylko z mamą, tak jak wtedy było...* (Wtedy, to znaczy przed przyjściem do domu narzeczonego — informacja reportera).

*

Przede mną dziesiątki listów i taśmy z nagraniami rozmów telefonicznych, po ukazaniu się artykułu. Zanim je państwu zaprezentuję informacja — od kilku tygodni Agnieszka przebywa w Pogotowiu Opiekuńczym (matka wyrokiem Sądu Rodzinnego w Łodzi ma ograniczoną władzę rodzicielską). Sięgam też po taśmę z reportażem Wojsława Rodackiego, którego stenogram we fragmentach posłużył mi za kanwę opowieści o ucieczkach Agnieszki. Oto nie publikowana jeszcze rozmowa babki dziewczynki z matką:

— *Do czego to podobne żeby dziecka nie było w domu, żeby włóczyło się gdzieś poza domem, ty jesteś matka? Wstyd! Pytałam cię, gdzie jest Agnieszka, to powiedziałaś „przestałam się nią interesować, ona jest nie moja". Wychowałaś przez 11 lat, a już się nie interesujesz dzieckiem? Bo to właśnie poza nim nic nie widzisz. Póki żeś jego nie znała, toś dbała o dziecko, o dom, o wszystko! Jak to wygląda, żeby ona się włóczyła, żebym się dowiadywała, że śpi gdzieś po klatkach schodowych, czy gdzieś po komórkach! Do czego to podobne, czy ty spałaś gdzieś po komórkach, dziecko?!*

— *Jej się wydaje, że może ja ją mniej kocham. Ale ja jej nigdy uczuć nie okazywałam, proszę mi wierzyć, nigdy (to do reportera). Ja nie potrafiłam, zresztą ją mam taki charakter, że ja nie potrafię, choćbym chciała, nie potrafię wziąć jej na kolana i przytulić. Nie umiem, ja ją kocham na swój sposób...*"

Dziwna to miłość, która narzeczonemu pozwala bić dziecko... Nie, przepraszam, nie będę tej sprawy komentował. Uczynili to Państwo w listach. Oto kilka z dziesiątków, które otrzymałem w sprawie Agnieszki.

OPINIE, RÓŻNE ZDANIA...

„Wydaje mi się, że poprzez wchodzenie z butami w cudze życie szuka pan popularności. Chce pan zdobyć miano trybuna sprawiedliwości, broniąc jednej istoty, niszczy drugą, której życie się pogmatwało. Wątpliwa to sprawiedliwość. Czy chociaż przez chwilę zastanowił się pan, jakie to pociągnie skutki w życiu tej kobiety, gdy jej mężczyzna zmęczony ingerencją osób postronnych i intrygantów odejdzie? Co wybierze: wódkę, ulicę, narkotyki czy samobójstwo? Dlaczego ta kobieta ma być ofiarą córki egoistki, czy 12 lat poświęcenia to za mało? Za 5—6 lat ta mała znajdzie sobie towarzysza życia, a matka co najwyżej może zostać ich służącą.

Obowiązkiem córki jest dostosować się do sytuacji, a jeśli nie, to niech idzie do domu dziecka. Nie pierwsza i nie ostatnia...

Sama żałuję, że 28 lat wstecz nie ułożyłam sobie życia, a wszystko poświęciłam dziecku, bo nie mogłam wyobrazić sobie, by ktoś obcy mógł uderzyć moje dziecko. Ale kiedy mój syn skończył 17 lat, to ja dostawałam lanie, bo on uważał, że jest młody, to wszystko się mu należy.

Byłam skrajnie wyczerpana, od samobójstwa uratowała mnie starsza, mądra kobieta, mająca za sobą podobne przeżycia. Chwała jej!

Gdyby pan przyszedł do mnie na wywiad, to by z trzaskiem wyleciał za drzwi. Ale ta kobieta jest tak zaszczuta, że nawet nie umie się bronić. Wara od niej, póki nie jest za późno...!

DOŚWIADCZONA

„Mając 30 lat przez kilka lat byłam sama z 3-letnim dzieckiem. Aby nie przekreślić swojego życia, kiedy dziecko podrosło wyszłam za mąż za człowieka od siebie dużo starszego. Córka zareagowała wrogo — „ja go w nocy zabiję" (miała wówczas 13 lat). W pamiętniku pisała „ja sobie odbiorę życie". Obserwowałam jej oziębłość do mnie. Mąż traktował ją dobrze i grzecznie. Dziś, mając 22 lata i swojego męża, zrozumiała dlaczego tak postąpiłam i męża traktuje jak ojca i do mnie nie ma już żalu.

Moim zdaniem ta mała uciekinierka nigdy nie znajdzie szczęścia w swoim domu. To dziś jeszcze wielka egoistka..."

MARIA

„...Agnieszkę uważam za straszną szantażystkę i egoistkę. Ona chciałaby, aby matka tylko ją kochała i nie pragnie jej szczęścia. Jestem przekonana, że za 5—6 lat sama wyjdzie za mąż, a jeśli nawet nie to będzie dokuczać matce, że jest samotna, że nikt jej nie chce, bo należy do tych wstrętnych egoistek, które myślą tylko o sobie.

Mam córkę, 21-letnią i męża, niedobrego pijaka. Tylko z jej powodu nie rozeszłam się z nim, a przecież dla niej też jest zły. Bałam się wytykania, głupiego wytykania palcami, że ona nie ma ojca. Bardzo źle zrobiłam. Też szantażowała mnie, że ucieknie. Musiałam poniżać się materialnie — wszystko jej oddać, nawet złoto, i kupować to, na co mnie nie było stać, aby tylko była w domu. Sama chodziłam jak dziad, bo ona nawet je nie to co my, bo ona „zna co dobre". Powinna być sroga kara za ucieczki z domu..."

STANISŁAWA W.

„...Czytając ogarnęła mnie złość — jak można być tak bezczelnym i okrutne słowa wypowiadać. To człowiek wyzbyty serca. Sama pochodzę z rozbitego małżeństwa. Także miałam ojczyma i poczucie krzywdy w życiu, ale postawa matki potrafiła pogodzić jedno z drugim. Często stawała w obronie swoich dzieci (było nas dwoje) i jak kocica walczyła o nasz spokój. Ta kobieta w ogóle nie myśli o tym, że męża czy kochanka można sobie zmienić, ale dziecka nigdy. Ciekawa jestem jak potoczy się los tej dziewczynki. Mówcie i piszcie o takich wyrodnych matkach i o takich dzieciach..."

B. KAPUSTA

„Jestem ojcem dwóch małych dziewczynek (5 i 6 lat) które bardzo kocham. Ponieważ mimo młodego wieku (31 lat) jestem już na rencie inwalidzkiej, a żona pracuje zawodowo, ja zajmuję się domem i wychowaniem naszych pociech. Słuchając audycji, a potem czytając ten reportaż w „Odgłosach", doznałem wstrząsu, jak można brzydzić się dziecka i kontakty z jakimś tam panem przedkładać nad jego spokój i szczęśliwe dzieciństwo? Trudno mi to zrozumieć..."

MACIEJ KOZŁOWSKI

„Jestem wstrząśnięta wypowiedzią matki, która brzydzi się własnej córki. Ja również znajduję się w podobnej sytuacji — mam dwoje dzieci, 14-letniego syna i 11-letnią córkę oraz drugiego męża, lecz dzieci nigdy nie odczuły żadnej krzywdy z jego strony. Nie mogę zrozumieć, jak matka może pozwolić, by kochanek znęcał się nad jej własną córką, do tego stopnia, by dziecko bało się wracać do domu..."

BARBARA OCHMON

„...To jest oburzające, że są matki, które potrafią powiedzieć, iż brzydzą się dziecka, a to tylko dlatego, że ma przyjaciela, który ma być jej przyszłym mężem. Czyj to pomysł, aby za złe stopnie bić, zamiast z dzieckiem porozmawiać, wytłumaczyć, pomóc w nauce? Ja również jestem matką — mam dwóch synów (9 i 13 lat) i sporo kłopotów, ale staram się tłumaczyć, rozmawiać z nimi, a oni ze mną..."

MARIA ĆWIELĄG Z LUTONIA

„...psy bronią swe szczenięta przed niebezpieczeństwem, a ona nawet nie umiała temu zapobiec. Piszę ten list, gdyż sama mam dwie córki, mieszkamy z przyjacielem i wprost w głowie mi się nie mieści, żeby dzieci kiedykolwiek o czymś podobnym pomyślały. Dziś są szczęśliwe i uczynię wszystko, by tak było zawsze..."

(BRAK PODPISU)

„Mam 22 lata i odbywam zasadniczą służbę wojskową. Wzruszyła mnie ta historia 12-letniej dziewczynki i jej matki, która się jej brzydzi. Mimo że jestem mężczyzną i to w ostatnich dniach służby wojskowej, kiedy to czytałem miałem oczy pełne łez. Jestem oburzony postawą matki, która kosztem losu własnego dziecka zażywa przyjemności z innym mężczyzną..."

IRENEUSZ JANICKI

„Chociaż jesteśmy młode, bo mamy zaledwie po 19 lat, to nie możemy wyobrazić sobie matki, która brzydzi się własnego dziecka. Wychowywała je przez 12 lat, a dziś kiedy poznała mężczyznę, który nie chce być ojcem tego dziecka, wprost wyrzeka się go i kosztem dziecięcego szczęścia chce budować swoje. Dziwimy się mężczyźnie, który rozbija dwie słabe istoty, do tej pory szczęśliwe. Ciekawi nas też jak długo ta matka będzie z nim szczęśliwa? Niedługo...!"

KRYSTYNA ŁEWANDOWSKA
HALINA KROSNA

„Nazywam się Norbert Wasiak, mam 12 lat i chodzę do klasy piątej. Jestem wzburzony do trzeciej potęgi tym postępowaniem matki, która bardziej kocha swojego narzeczonego niż córkę, nawet brzydzi się nią! Podajcie dalszy rozwój sprawy..."

NORBERT

„Pochodzę z rodziny robotniczej. Matka została wdową z dwojgiem dzieci, mając 22 lata. Ja, jako 3-letnie dziecko, znalazłam się w domu dziecka, po roku wróciłam do domu. W wieku 8 lat, kiedy matka ponownie wyszła za mąż, za kawalera, znowu trafiliśmy z bratem do domu dziecka. Bardzo przeżywaliśmy to rozstanie. Interesowała się nami babcia — kochana kobieta, pamiętała co miesiąc, że trzeba coś słodkiego wysłać i odpisać na

Agnieszka

listy. Na święta czy wakacje inne dzieci jeździły do rodzin, nawet obcych ludzi, a my z bratem czekaliśmy, że po zyjedzie po nas mama i będziemy razem. Niestety, nie było takich świąt, ni wakacji w domu rodzinnym.

Po 5 latach nowego małżeństwa mamy urodził się brat, który miał mamę i tatę, ale nie miał niańki. Wówczas mama przypomniała sobie, że ma córkę. Małemu bratu nie wolno było być głodnym, nie mógł się skaleczyć, a już broń Boże przewrócić się, bo bicie miałam czym popadło.

Skończyłam szkołę, zdobyłam pracę i mając 18 lat uciekłam z domu, który był już nie domem, a piekłem. Poznałam chłopca i po trzech tygodniach, tak, tak, po trzech tygodniach, wyszłam za niego za mąż, by mieć dom. Mamy ten dom z dwójką dzieci i gdyby ktoś chciał zrobić im jakąkolwiek krzywdę, wydrapałabym mu oczy..."

BOŻENA S.
SKIERNIEWICE

„Miałem jedyną córkę — 26 lat, już mężatkę, która zginęła tragicznie. Straciłem to, co najdroższe. Życie nie ma już sensu.

Moja żona pracuje w zakładzie wychowawczym i często mówi, że dzieci nie są złe, to rodzice są źli, chyba bez serca, jak ta matka Agnieszki..."

L. KLEMENTOWICZ
GORZÓW WLKP.

„...Jestem samotną matką 9-letniej córki. Sama mam już 30 lat. Nie ułożyło mi się życie, tak jak chciałam. Rozwiodłam się z mężem, a właściwie to on poszedł sobie do innej, lepszej, bogatej. Swoją mamę zostawiłam, była to matka przybrana, ale wychowała mnie i wykształciła. Wyjechałam w świat mając 21 lat. Chciałam być sama. Chciałam wolności. Teraz wiem, że to była straszna głupota. Dziś przebywa w domu rencisty. Jeżdżę do niej, bo jest mi potrzebna, ale kiedy byłam młoda miałam za dużo jej miłości i opieki. Chciałam się od niej uwolnić. Myślałam, że zwojuję cuda. Niestety, nic z tego nie wyszło, a byłam jedynaczką, a mama wdową...

...Wiem, że miłość jest ślepa, ale chyba nie aż tak, by można było powiedzieć, że się brzydzi własnego dziecka, że się go nie chce. Jeżeli się ma już dziecko, to trzeba je kochać takie, jakie ono jest, obojętne czy jest dobre czy złe. Jeśli jest złe to wina naszego wychowania...

...Gdybym miała wybierać między kochankiem, narzeczonym, nawet mężem a dzieckiem, to wybrałabym zawsze dziecko, i tak było w moim przypadku. On odszedł, bo nie chciał kochać dziecka, mimo że było prawdziwie jego..."

TERESA S.

„...Ja też kiedyś byłam uparta i wyszłam za rozwodnika. Mama i ludzie bardzo mi odradzali, przecież on miał 38 lat, a ja zaledwie 20. Chciałam mieć własne zdanie, rządzić sobą i sama decydować o swoich sprawach. Z mężem przeżyłam tylko pół roku. Poszedł do innej. Mam z nim córkę, która jest moją nadzieją. Ma już 9 lat i dobrze, że jest, bo byłabym zupełnie sama. Tak mam powierniczkę do zwierzeń i koleżankę do zabawy, jest nam dobrze...

...Jest wiele matek, które chciałyby być tak kochane, jak ową panią kocha Agnieszka. U mnie było odwrotnie. Matka kochała mnie do szaleństwa, ale im więcej było dowodów jej miłości, tym bardziej Jej nienawidziłam. Była wdową, a mimo to miałam wszystko co chciałam. A jednak zostawiłam Ją i uciekałam. Dziś bardzo bym chciała, by wróciły tamte lata, kiedy miałam wszystko, a przede wszystkim Matkę przy sobie. Kiedy mam kłopoty, kiedy mi naprawdę ciężko, jadę do Matki, ale Ona nie ma już naszego mieszkania. Sprzedała je, jest w Domu Starców..."

TERESA SIENKIEWICZ

„Mam 33 lata. Mężatką jestem od 10 lat. Mam dwie córki — 9-letnia Anię i półtoraroczną Kamilę. Obydwie dużo mi chorowały. O tym, jak ciężkie bywały dni, wiemy oboje z mężem. Ale pomału i w naszej rodzinie zaczyna świecić słońce. Kamilka zaczęła pić pełne mleko — czy to nie radość? Z Anią do kliniki jeżdżę już nie co miesiąc, a raz na kwartał — czy to nie raduje? 16 maja otrzymaliśmy klucze do własnego M-4 — czy to nie radość? Ja zawsze mówię, że wspólnie dojdzie się do każdego celu, żeby tylko był spokój i pokój!..."

GENOWEFA KABAT

„...Pomyślmy sobie jakie będzie nasze pokolenie skoro dobrym i szlachetnym postępowaniem nie dajemy przykładu naszym dzieciom i wnukom. Ta 12-letnia Agnieszka nie będzie zapewne miała życia rodzinnego, ale myślę, że spokojniej jej będzie w Domu Dziecka czy w innym domu zastępczym. Niedługo stanie na własnych, dorosłych nogach, i do tej wyrodnej matki niech nie wraca..."

JANINA BARKOWSKA

„...Proszę o informowanie o losach tej dziewczynki, nie będę miała spokoju. Wszystkim rodzicom życzę, aby nigdy nie dopuścili do takich sytuacji, bo w przyszłości może się zdarzyć, że na starość trzeba będzie wyciągnąć rękę do dziecka, a ono może ją odtrącić..."

CZYTELNICZKA Z GARWOLINA

PODOBNE LOSY

„Gdy byłam taką właśnie dziewczynką, matka zapakowała moje rzeczy i kazała iść precz. Z płaczem poszłam do sąsiadów mieszkających w następnym domu. Ludzie, którzy mnie przytulili, sami mieli już dwójkę dzieci. Tam została młodsza siostra, którą bardzo kochałam. Została z matką i jej kochankiem.

Pani, która mnie przygarnęła, po miesiącu, o mojej sytuacji zawiadomiła Kuratorium Oświaty i Wychowania. Odbyła się sprawa sądowa. Sąd Rodzinny pozbawił matkę praw rodzinnych i umieszczono mnie w Domu Dziecka. Było mi tam bardzo dobrze — chodziłam do szkoły, byłam ubrana i czysta, nie byłam głodna.

Po ukończeniu podstawówki poszłam do Technikum Włókienniczego w Łodzi i zamieszkałam w internacie. Po ukończeniu szkoły znalazłam mieszkanie sublokatorskie. Z pracy byłam zadowolona, ale miałam kłopoty z zameldowaniem w Łodzi. Doszłam do wniosku, że jedynym wyjściem jest poszukanie męża z mieszkaniem. Tak też się stało. Spotkałam pana, który jest ode mnie starszy o 10 lat i mieszka we Wrocławiu. Podobałam mu się, bo podobno jestem ładną kobietą.

Dziś mam 36 lat i 12-letniego syna. Bardzo go kocham, i bez niego nie wyobrażam sobie życia. Nie mam z nim żadnych kłopotów.

Z siostrą utrzymujemy kontakty, nawet bliskie i czasami odwiedzamy się. Kiedy jestem u niej, matka chce mnie widzieć, ale ja nie mam z nią wspólnego języka, milczymy. Czasami odnoszę wrażenie, że chce się usprawiedliwić, że było jej ciężko i tak musiała ze mną postąpić. Do dziś mam do niej wielki żal, nie czuję tęsknoty i miłości, jest mi obcą kobietą. Bardziej cenię i szanuję ludzi z Domu Dziecka, którzy byli mi rodziną.

Moim zdaniem Agnieszka powinna zostać w Domu Dziecka, bo matka jej nie pokocha, skoro wybrała kochanka, a nie ją..."

EWA Z WROCŁAWIA

PS. Opublikujcie ten list. Może niektórym matkom zmięknie serce i pokochają swoje dzieci...

„Proszę Pana! Nie piszę w złości, ale dlatego, że sama też wychowuję dziecko. Nie chcę się chwalić, ale córka uważa mnie za dobrą matkę. Kochamy się. Nie pozwoliłabym skrzywdzić córki nikomu! Ma 10 lat, a ja nigdy nie byłam zamężna i każdą próbę wyjścia za mąż rozpatrywałam pod kątem stosunku mężczyzny do mojej córki. Jestem już kobietą dojrzałą i wiem, że można odmówić sobie „przyjemności", jeżeli w grę wchodzi szczęście dziecka...

...Miałam wielu starających się, ale marzenia o wspaniałej rodzinie odłożyłam do czasu, kiedy pojawi się ktoś, kto naprawdę kocha dzieci..."

KRYSTYNA K.

„...Jestem samotną rozwódką z 3-letnią córką. Moje dziecko miało podobnego ojca, jak Agnieszka. Takich „ojców" i „matek" jest więcej, znacznie więcej. Dobrze, że pan o tym pisze. Może odezwie się w nich sumienie. Moja trzyletnia córka nie ma ojca, ale robię wszystko, żeby miała szczęśliwe dzieciństwo...

GRAŻYNA BRANC

„...Rok temu byłam w podobnej sytuacji. Mam panieńskie dziecko, 9-letnią córkę. Poznałam mężczyznę, którego pokochałam i z którym chciałam zawrzeć związek małżeński. Jednak na pierwszym miejscu postawiłam dobro dziecka. Przez półtora roku spotykaliśmy się 2—3 razy w miesiącu (mieszkaliśmy od siebie w odległości 200 km) i przy każdym spotkaniu była obecna Łucja. Przyzwyczaiła się i bardzo pokochała. Dziś, kiedy wraca ze szkoły, to już w progu pyta o tatę i jemu pierwszemu zdaje wszystkie relacje, razem odrabiają lekcje, razem chodzą na spacery i wycieczki. Czasami jestem nawet o to trochę zazdrosna, ale cieszę się z tej ich miłości...

Dziecku trzeba pomóc, okazać zaufanie i wiele wyrozumiałości, cierpliwości i miłości. Miłości faktycznej, a nie fikcyjnej, która często polega na zaspokajaniu zachcianek dziecka. Jestem wprost oburzona wypowiedzią matki Agnieszki. Czy ona zastanowiła się jaki chce zbudować dom?..."

30-LETNIA ELŻBIETA

„Sama wychowuję 2 dzieci i nie wyobrażam sobie, żeby dzieci mi nie ufały. Nie wyobrażam sobie też takiego rozwiązania konfliktów, na jakie zdecydowała się ta wyrodna matka. Nigdy nie pozwoliłabym, żeby obcy mężczyzna bił moje dziecko. Dziecku trzeba pomóc tak w nauce jak i zabawie. Przecież przyjdzie taka chwila, kiedy matka będzie potrzebowała pomocy swojej dziś odtrąconej Agnieszki..."

JANINA J.

„Sama przeżyłam wiele smutku i biedy, kiedy mąż pozostawił mnie z dwojgiem malutkich dzieci. Nigdy jednak obie z moją matką nie doprowadziłyśmy do sytuacji, żeby maluchy odczuły brak ojca. Byłam młodą kobietą, lecz upłynęło kilka lat zanim zdecydowałam się powtórnie wyjść za mąż. Uważnie szukałam mężczyzny, który lubi dzieci i córkom moim będzie nie tylko opiekunem, ale i przyjacielem. Miałam szczęście, że na takiego wspaniałego mężczyznę trafiłam. Niestety, żył za krótko..."

KRYSTYNA KWAŚNIEWSKA
POZNAŃ

„Ja też mam dwoje dzieci, jestem rozwiedziona i mam również przyjaciela, ale jest to człowiek, który moim dzieciom zastępuje nie tylko ojca... Tak bardzo dziwię się matce tej 12-letniej Agnieszki. Gdyby było to możliwe wzięłabym tę płaczącą dziewczynkę do naszego przytulnego grona. Bo ja bym nigdy nie zamieniła dziecka na przyjaciela..."

ANNA KARTOWSKA

„...I ja też jestem matką 16-letniego chłopca, który również nie był łatwy w wychowaniu. Też ponownie wyszłam za mąż, ale nie wyobrażam sobie, aby mój obecny mąż traktował moje dziecko jak intruza. W tamtym domu winna jest matka. Powinna zastanowić się, czy człowiek, z którym chce związać swoje życie, faktycznie jest jej przyjacielem. A może to tylko seks? Czy zastanowiła się jaki chce zbudować dom?..."

STANISŁAWA OSADA
KRAKÓW

„...Ja też wychowana byłam w Domu Dziecka i może dlatego gardzę takimi rodzicami, którzy nie mogą wychować swoich dzieci..."

SIEROTA

„...Jestem matką trzech ślicznych córek, i całe moje życie toczy się wokół dzieci. Najstarsza 7-letnia córka jest dzieckiem panieńskim. Za mąż wyszłam, kiedy ona miała dwa lata i wspólnie z mężem mamy dwie następne córki. Ale nigdy nie było problemu — to nasze, a to twoje. Wiem, że duża w tym zasługa i moja. Pomagam mężowi, żeby pozyskał miłość Żanetki, m. in. w ten sposób, że sama kupowałam dla niej jakąś zabaweczkę, i dawałam mężowi, by jej dał od siebie. Jaka była radość to trudno opisać, rzucała mu się na szyję i całowała, a ja byłam szczęśliwa, że znowu dało mi się zbliżyć tych dwoje... Nie oddawajcie Agnieszki do Domu Dziecka! Dajcie ją nam, zapewnimy jej dom i spokój..."

ZDZISŁAWA K.

„Ja też jestem nie kochanym dzieckiem wychowanym przez Dom Dziecka. Dobrze wiem co znaczy formalnie mieć matkę i nie mieć domu, jak inne dzieci. Niech Pan powie na cały kraj, że pokazując tę wyrodną matkę, która przyjaciela przedkłada nad miłość Agnieszki, ma pan poparcie nas, wychowanków domów dziecka, tysięcy dzieci nie kochanych, a kochających, pragnących matczynych pocałunków, kołysania na kolanach czy chociażby zwykłego pogłaskania po głowie..."

ZDZISŁAW JARECKI
PIOTRKÓW

Z listów czytelników wybrał i do druku przygotował: ZBIGNIEW KORZENIOWSKI

Dorota Kamińska
Foto: Jerzy Płoński

Halina Rowicka
Foto: Renata Pajchel

Krystyna Janda

Bożena Adamek
Foto: Krzysztof Grossman

Ewa Żukowska
Foto: Renata Pajchel

Chcę być gwiazdą

Dokończenie ze str. 1

początkującej aktorki. Tych błędów nikt mi dotąd nie wybaczył.

— Czy czuję się gwiazdą? Star-gwiazda to ktoś kogo się podziwia, bezwarunkowo uwielbia, ale to ktoś kto wcale nie musi umieć grać. Wolałabym być la commedienne, co we Francji oznacza kogoś kto umie grać i ma szacunek widzów.

„Nie ma u nas teraz tak pięknych aktorek jak na Zachodzie. Może my nie umiemy eksponować urody naszych gwiazd. A może one same o nią nie dbają. Wyjątek stanowi Grażyna Szapołowska, która pięknieje z każdym nowym filmem. Prasa rozpisuje się o jej nowej roli — gwiazdy w komedii muzycznej „Lata dwudzieste lata trzydzieste" i kreuje ją na nową „pierwszą damę polskiego kina", (w spadku po Beacie Tyszkiewicz). I słusznie!"

Dorotą z Gdańska

MÓWI GRAŻYNA SZAPOŁOWSKA:

— Kim chciałam zostać mając 14 lat? Pamiętam, że w tym wieku zaczęłam chodzić na wagary i namiętnie odwiedzałam kina. Film przesłonił wkrótce wszystkie pozostałe zainteresowania, łącznie z plastyką. Kiedy weszłam na egzamin wstępny do warszawskiej PWST, wiedziałam, że zdam i będę tu studiowała. Zdałam. Do stolicy przeniosłam się z Torunia. Nie znaczy to, że o zawodzie aktorki marzyłam od lat. Moje marzenia były bardziej kolorowe.

— Kariera? Nie bardzo rozumiem pojęcie słowa — kariera. U nas chyba nikomu nie grozi zrobienie kariery. Nasze kryteria ocen są zupełnie inne niż w systemie zachodnim, do którego słowo „kariera" bardziej pasuje. Na Zachodzie kariera aktorek to nie tylko ich dorobek artystyczny, to często inny styl życia, odbiegający od przeciętności. U nas chyba nie ma gwiazd. I coraz większa ilość społeczeństwa zdaje sobie sprawę z wyrzeczeń i często bardzo ciężkiej pracy w tym zawodzie.

— Start w zawodzie po dyplomie? Po pierwszym roku pracy nie stworzono mi żadnej szansy na rozwój aktorski ani w teatrze, ani w filmie. Odkryli mnie zagraniczni reżyserzy z Jugosławii i Węgier, a szczególnie Karoly Makk, który powierzył mi rolę Livi w swoim głośnym filmie „Inne spojrzenie". Obejrzał mnie w nim też. Janusz Rzeszewski i powierzył główną rolę Lizy w filmie „Lata dwudzieste, lata trzydzieste".

Dziś — po zagraniu różnych ról w filmie i oglądaniu w nich siebie, nie wierzę własnym oczom, że to ja. Ale to pewnie zasługa świateł i operatora. Nie nie zdawałam sobie sprawy z posiadanego atutu urody, dopóki nie okazało się przy angażowaniu do pewnego filmu, że jestem za ładna. Cenię kobiety interesujące, a potrafi nią być każda z nas, jeżeli chce. Mówi się o pięknych kobietach, że są zimne i złe. Ale przecież kochamy zło, a za dobrem tylko tęsknimy.

— W filmie „Lata dwudzieste, lata trzydzieste" zapewniono mi rzeczywiście oprawę godną największych gwiazd, co w naszym kraju nieczęsto się zdarza, szczególnie teraz. Noszę wspaniałe kostiumy, piękne futra. Piję szampana, jem łososia (prawdziwe). Szkoda tylko, że rzeczywistość poza planem jest inna.

— Wcześniej angażowano mnie do kilku seriali TV, głównie jako ozdobę, dziewczynę, której zadaniem na ekranie jest przede wszystkim rozbieranie się.

Nie gonię za spopularyzowaniem swojej twarzy, wręcz przeciwnie. Wróżka przepowiedziała mi, że szczyt kariery osiągnę w wieku 30 lat. Mam 29 lat. Czekam więc do września.

„Bardzo lubię Bożenę Adamek, tak bardzo zawsze prawdziwą przejmującą, wzruszającą swoją grą na ekranie lub w teatrze. Widziałam ją w warszawskim Teatrze Powszechnym w tytułowej roli sztuki Janusza Głowackiego „Kopciuch". To była premiera. Pani Adamek tak bardzo weszła w postać dziewczyny z zakładu poprawczego że w finałowej scenie autentycznie podcięła sobie żyły. Koleżanki mówiły, że to jest farba, ale ja jestem przekonana, że to była prawdziwa krew. Od tego czasu Bożena Adamek jest moją ulubioną gwiazdą filmową".

Wirginia z Warszawy

MÓWI BOŻENA ADAMEK:

— Jako uczennica III klasy liceum zwyciężyłam w konkursie na rolę Nel w inscenizacji powieści „W pustyni i w puszczy", którą zagrałam na scenie Teatru im. J. Osterwy w Lublinie. Od tej teatralnej przygody wszystko się zaczęło. Kiedy zdawałam do PWST teatr był dla mnie wielkim marzeniem. Widziałam tylko blaski tego zawodu, na który patrzyłam oczami Nel, dziewczyny rozpieszczanej przez zespół i młodą widownię. W PWST pedagodzy twierdzili, że mam fatalny głos. Raziła ich jego matowa barwa. Uważali, że z moim wyglądem powinnam mieć słowiczy głosik. Nikomu nie przyszło do głowy, że właśnie ten kontrast może być interesujący. Wybrałam teatr, choć jako dziecko namiętnie śpiewałam i tańczyłam. Rodzice zapisali mnie do PSM na fortepian, ukończyłam tę szkołę. Dziś żałuję, że zerwałam z muzyką, bo jest ona dla mnie najważniejszą ze sztuk. Żyję muzyką, która zawsze mi towarzyszy. Wydaje mi się czystsza niż teatr, bardziej twórcza. Teatr jest bardziej materialny, często sprawy pozaartystyczne są tu miernikiem powodzenia. Wszystko jest uzależnione od kaprysów ludzkiego organizmu.

— Role? Całymi dniami czekałam na role. Najgorsza jest świadomość, że zmarnowałam tyle czasu. Zamiast intensywną pracą wypełniałam go czekaniem. Myślę, że to wina mojego charakteru. Nie potrafię robić szumu wokół siebie. Nie umiem niczego sobie załatwić, więc siedzę w domu i czekam.

— Moja debiutancka rola Julii w telewizyjnym spektaklu „Romeo i Julia" została uznana za mój dyplom. Szkoda, że od tego czasu miałam niewiele okazji pokazania się w TV. Był to nie tylko mój sukces, ale i profesorów w PWST. Pan X mógł być dumny, że mnie jednak nie wyrzucił ze szkoły, choć tak bardzo tego chciał. Pracowałam w teatrach Nowej Huty, Krakowa Warszawy, obecnie ponownie w Nowej Hucie. Debiut w Warszawie został okupiony krwią. W finale sztuki bohaterka podcina sobie żyły. Więc ja z nadmiaru emocji, nie mając odpowiedniego zabezpieczenia, publicznie podcięłam sobie żyły. Złośliwe koleżanki-aktorki mówiły, że to chwyt reklamowy. Niech im będzie. Nikt z widzów chyba tego nie zauważył, bo dzielnie wychodziłam do ukłonów, tylko reż. Kazimierz Kutz, po premierze był równie blady jak ja. Wcześniej, w Teatrze „STU" na generalnej próbie „Pacjentów" sfrunęłam z trapezu i miałam 5 poważnych złamań. — Mała, nie wpadnij do zapadni — mówili podczas prób nad sztuką „Marja" pracownicy techniczni. Jakoś nie wpadłam.

— Film? Odkrył mnie na I roku, zagrałam Blankę w „Sanatorium pod klepsydrą" u Wojciecha Hasa. Rolę królowej Elżbiety Habsburżanki w „Królowej Bonie" nazywam spełnionym marzeniem. Interesująca była praca nad rolą Bożeny w „Debiutantce". Wkrótce wejdzie na ekrany TV serial „Popielec", w którym gram główną rolę kobiecą. Zofię, wiejską dziewczynę z dużym temperamentem. Jako postać będę istniała na ekranie aż 14 lat. Chcę być aktorką filmową, bo tylko w filmie zdarza się coś autentycznego. Rola teatralna pozostaje tylko w pamięci widzów, rolę filmową można odtworzyć po latach.

— Nic nie przychodzi mi łatwo, mam same trudności. Ponieważ nie mogłam otrzymać mieszkania w Warszawie, wróciłam do Krakowa. Nie umiem być cierpliwa. Mam w sobie niepokój i nie mogę wysiedzieć w jednym miejscu. W przyszłości będę grała demoniczne staruszki i może będę wielką aktorką. Ach, jak by to było fajnie!

„Dlaczego tak mało widać na małym i dużym ekranie Ewę Żukowską? Zawsze imponowała mi jej technika aktorska i dojrzałość wewnętrzna. Po dramatycznej roli w niedawno emitowanym w TVP filmie „Jokohama" przypomniała ona o swoim istnieniu i klasie aktorskiej. Kiedy dostanę się do szkoły teatralnej i skończę ją, pragnę grać tak jak Żukowska, która od lat jest moją ulubioną gwiazdą".

Celestyna z Łodzi.

MÓWI EWA ŻUKOWSKA:

— Jako córka aktorów nie odeszłam od rodzinnej tradycji. Z biegiem lat, coraz bardziej cieszę się, że nie stało się inaczej. Moja mama do dziś emocjonuje się tym co robię — radzi, pomaga, martwi się, cieszy. Od ojca zaraziłam się pasją w tym co robiłam, a wiara w to była w nim niepodważalna. Sądzę, że bez pasji nie wolno wykonywać tego zawodu. Do połowy II roku w PWSFTviT w Łodzi byłam najsłabsza w grupie. Kończąc uczelnię, miałam już wyniki pozwalające na tzw. wyróżnienie, którego z kolei nie chciano mi przyznać. Nadszedł czas przyznawania punktów za pochodzenie, więc moje środowisko i stanowisko ojca (dyrektora teatru) było tym razem przeszkodą. Pamiętam dokładnie chwilę, gdy trzasnął drzwiami dziekanatu na tę wiadomość. Wyróżnienie mi przyznano.

— Po dyplomie wybrałam Teatr Narodowy, musiałam sprawdzić swoje możliwości w innym środowisku. Start jest sprawą dość łatwą, bo przecież w literaturze klasycznej jest dużo wspaniałych ról, które muszą grać tylko młode aktorki. Jeśli więc na początku może wystarczyć młodość potem trzeba już umiejętności bardzo konkretnych i bardzo sprawdzonych. Myślę, że trudniej jest przekroczyć następny próg — utrzymać się w teatrze, zapracować na swoje w nim miejsce. Problem niedosytu czy przesytu wiąże się z nierównym gospodarowaniem naszymi siłami. Przeważnie pracujemy ponad siły albo czekamy. Wpadamy z jednej emocji w drugą. Upokorzenia mieszają się z satysfakcją. Lecimy od sukcesu do niepowodzenia i odwrotnie. Tak jak na huśtawce.

— Dziewczęta marzą o zawodzie aktorki. Nigdy nie myliłam swego zawodu z zawodem modelki — mam pełną świadomość, że uroda nie była i nie będzie moją mocną stroną. Nie boję się tego, co czas wypisuje na mojej twarzy.

— Do tej pory nie zagrałam roli, po której zaczęto by bić się o mnie. Nie trafiłam na swojego reżysera, tj. takiego, który chciałby wiązać ze mną swój los zawodowy. Role, które zagrałam były autonomiczne — to bardzo ważne, bo często kobieta w filmie przypisana jest mężczyźnie i istnieje tylko po to, by on miał jakieś tam życie prywatne i różnorodne. Różnorodność ról to nie tylko warunek doskonalenia się aktora, ale dla mnie absolutny warunek przyjemności uprawiania tego zawodu. A pani Krystyna Janda na pewno zgodzi się ze mną, że „krytyk powinien pisać o tym co widzi, a nie o tym, co on lub ktoś inny chciałby zobaczyć".

„Halina Rowicka, aktorka Teatru Narodowego zachwyca mnie w każdej roli, nawet w tej ostatniej, nietypowej, bo 16-letniego chłopca w sztuce Norwida „Zwolon". Wcale się nie zmienia, jak ona to robi, że wygląda dziewczęco, świeżo, uroczo, a podobno ma dwoje dzieci. Chciałabym być taką jak ona. Za rok wybieram się do warszawskiej PWST".

Janina z Piaseczna.

MÓWI HALINA ROWICKA:

— Miałam zdawać na prawo. Zdałam na Wydział Aktorski PWST w Warszawie. Szansa dla rozwoju aktora jest możliwość pracy z ciekawymi ludźmi i granie ambitnych, odpowiedzialnych ról. W rok po ukończeniu szkoły pracowałam z Adamem Hanuszkiewiczem w Teatrze Narodowym, grając czołowe role w jego przedstawieniach, zagrałam też pierwszą rolę w filmie, pracowałam z Andrzejem Łapickim w TV. Dziś po 9 latach pracy w zawodzie aktorki zastanawiam się — czy to, że pracowałam intensywnie przez te lata ma jakiekolwiek znaczenie. Wydawało mi się, że mam swoje miejsce w teatrze, czułam się potrzebna, żaden sezon nie był pusty. Nie czułam się zabawką, która jak to określił jeden z krytyków — „Hanuszkiewicz bawił się entuzjastycznie, ale krótko". W tej chwili brakuje mi optymizmu i entuzjamu, jaki miałam w pierwszych latach pracy. Natomiast zdobyte w tych latach doświadczenia pozwalają mi na realną ocenę swych możliwości i utwierdzają mnie w przekonaniu, że wybór zawodu nie był pomyłką.

— Marzenia o rolach? Marzenia zawsze rozmijają się z rzeczywistością, jestem więc w tym względzie ostrożna. Interesuje mnie ciekawa praca i ludzie którzy ją wykonują.

— Powodzenie? Zależy co rozumie pan przez to określenie? Jeżeli pomyślę o swej codziennej bieganinie, o niedospanych nocach, o kolejkach, w których nie zdążyłam „wystać" tego co powinny mieć moje dzieci — to powodzenie jest wątpliwe.

„Kiedy obejrzałam Dorotę Kamińską w filmie „Karate po polsku" przekonałam się, że i w Polsce mamy bombowe dziewczyny. Myślę, że pani Dorota mogłaby startować w konkursie na „miss piękności", a już na pewno będzie gwiazdą polskiego filmu. Mamy więc gwiazdę jutra i oby było ich więcej wśród absolwentek szkół teatralnych, bo nie bardzo wiem jakimi kryteriami kieruje się komisja wybierając do takiej szkoły studentki np. o krótkich nóżkach?"

Agnieszka z Płocka

MÓWI DOROTA KAMIŃSKA:

— Po maturze, kiedy nie dostałam się na inżynierię sanitarną na Politechnikę Warszawską, złożyłam papiery do PWST i SGGW. Przyjęto mnie do szkoły teatralnej i tak się zaczęło. Duży wpływ miał na mnie starszy o 3 lata brat Emilian Kamiński — aktor, z uwagą patrzyłam na to, co robi. Kiedy zdawałam do PWST, wyobrażałam sobie zawód aktorki inaczej. Myślałam, że po dyplomie będę grała rolę za rolą w teatrze, filmie i telewizji. Rzeczywistość okazała się inna. Przekonałam się, że aktorstwo to ciężka praca, a nie tylko pozorny błysk...

— Do niedawna opuszczało mnie szczęście zawodowe, zresztą może za dużo wymagam. Z filmu otrzymałam wiele propozycji, ale z reguły odmawiałam, gdyż były to role rozbierane. Zdecydowałam się zagrać w „Karate po polsku", bo scenopis przedstawiał się obiecująco. W rzeczywistości było trochę inaczej. Lubię grać w filmie bo pracę tę uważam za bardziej aktywną w sensie działania aktorskiego. Potrzebna jest tu większa gotowość aktorska niż w teatrze. Gram w warszawskim Teatrze „Studio", gdzie praca ma trochę inny efekt niż w pozostałych teatrach. Marzę o roli Elizy w „My fair lady" bo także śpiewam i tańczę, a nie miałam jeszcze okazji spożytkować tych umiejętności na scenie.

— Na razie gram dużą rolę w 4-odcinkowym filmie TV „Traper", a przygotowuję się do roli w filmie „Tais" opowiadającym historię pewnej kurtyzany.

— Moja satysfakcja zawodowa była do tej pory połowiczna, obecnie zaczyna się wokół mnie dziać coś ciekawego. Czekałam na dobrą passę 4 lata. W życiu aktorki te lata to sporo czasu.

Gwiazdy i gwiazdki opowiadały tu o swoich doświadczeniach zawodowych, o nadziejach i rozczarowaniach, żadna z nich nie myśli o sobie w kategoriach gwiazdy i nie uznaje egzystencji kogoś takiego w naszej rzeczywistości. A jednak... wiele dziewcząt nadal pisze listy do redakcji, magazynów filmowych pytając — co zrobić, aby zostać aktorką i błyszczeć w tym zawodzie jak prawdziwa gwiazda?!

No właśnie co zrobić? Mit gwiazd nadal funkcjonuje w obiegowym pojęciu o artystycznych zawodach. „Chcę być gwiazdą, chcę być gwiazdorem" — marzą młodzi ludzie. Czy są to realne marzenia? Niech na to pytanie odpowiedzą sobie sami po zapoznaniu się z publikacją na bulwersujący ich od lat temat...

BOHDAN GADOMSKI

W kręgu fantastyki

WSPÓŁREDAGUJE WARSZAWSKI SFAN-CLUB
Aleje Jerozolimskie 2, Groteka, 00-375 Warszawa

Nasza trójka

DEAN R. KOONTZ

1.

Jonathan, Jessica i ja przekulaliśmy ojca przez jadalnię oraz wymyślną, staroangielską kuchnię. Mieliśmy trochę kłopotów z przepychaniem go przez tylne drzwi, ponieważ był nieco twardy. Nie chodzi tu o jego zachowanie czy temperament, chociaż potrafił być niezłą świnią, gdy chciał. Teraz był po prostu zupełnie sztywny, bo stężenie pośmiertne ściągnęło jego mięśnie i utwardziło ciało. Nie zniechęciło nas to jednak. Kopaliśmy go, aż zgiął się wpół i wyskoczył z obramowania drzwi. Przewlekliśmy go przez ganek i po sześciu stopniach w dół, na trawnik.

— Waży chyba tonę — stwierdził Jonathan, wycierając spocone czoło i ciężko dysząc.

— Nie tonę — sprzeciwiła się Jessica. — Mniej niż dwieście funtów.

Chociaż byliśmy trojaczkami o zadziwiająco podobnych poglądach na wiele spraw, różniło nas jednak mnóstwo drobnych szczegółów. Na przykład Jessica jest z nas najbardziej apodyktyczna, podczas gdy Jonathan lubi przesadzać, fantazjować i marzyć. Ja jestem gdzieś pomiędzy tymi skrajnościami. Apodyktyczny marzyciel?

— Co teraz? — zapytał Jonathan krzywiąc z niesmakiem twarz i wskazując na leżące na trawniku ciało.

— Spalimy go — zdecydowała Jessica. Jej piękne usta wyciągnęły się w cienką linię. Długie, złociste włosy przechwytywały poranne słońce, odbijając jego blask. Dzień był wspaniały, a Jessica stanowiła najpiękniejszą jego ozdobę. — Spalimy go całego.

— Nie moglibyśmy wywlec matki i spalić ich razem? — zapytał Jonathan. — Zaoszczędzimy sobie pracy.

— Jeśli zrobimy duży stos, płomienie mogą wystrzelić zbyt wysoko — odparła. — Nie chcesz chyba, aby jakaś zbłąkana iskra przypadkowo spaliła dom.

— Mamy do wyboru wszystkie domy na świecie — stwierdził Jonathan, rozpostartymi ramionami wskazując teren letniskowy za nim Massachusetts, granice stanów dawnych mieszkańców. — Wszystko.

Jessica spiorunowała go wzrokiem.

— Czy nie mam racji, Jerry? — spytał mnie Jonathan. — Czy nie możemy mieszkać gdzie chcemy, na całym świecie? Czy to nie głupota kłopotać się o jeden stary dom?

— Masz rację.

— Ale ja lubię ten dom — sprzeciwiła się Jessica.

Ponieważ Jessica lubiła dom, odstąpiliśmy piętnaście stóp w tył od rozciągniętego ciała, spojrzeliśmy na nie i pomyśleliśmy o płomieniach. Zwłoki natychmiast zapaliły się. Skądś wytrysnął ogień spowijając ojca w czerwonopomarańczowy zawój. Ciało wypaliło się, sczerniało, zaskwierczało i rozpadło się w popiół.

— Chyba powinno mi być smutno — Jessica skrzywiła się.

— Cóż, był naszym ojcem — powiedział Jonathan.

— Nie będziemy bawili się w tanie sentymenty. — Jessica twardo popatrzyła na nas, aby upewnić się czy zrozumieliśmy. — Jesteśmy nową rasą o nowym nastawieniu i innych odczuciach.

— Chyba tak... — Jonathan nie wyglądał na całkowicie przekonanego.

— Dobrze, bierzmy się teraz za matkę.

Jessica, mimo że jest młodsza od Jonathana o sześć minut, a trzy ode mnie i choć ma tylko dziesięć lat — jest z nas najbardziej władcza. Zawsze postawi na swoim.

Wróciliśmy do domu, żeby zabrać matkę.

2.

Rząd przysłał do naszego domu dwunastoosobowy oddział piechoty morskiej i ośmiu cywilów. Przypuszczalnie ludzie ci mieli nas strzec i ochraniać. Faktycznie jednak byliśmy więźniami. Kiedy uporaliśmy się z matką, wywlekliśmy pozostałe ciała i kolejno je spaliliśmy.

Jonathan był wykończony. Usiadł pomiędzy dwoma tlącymi się szkieletami i wytarł pot, i popiół z twarzy.

— Chyba popełniliśmy poważny błąd — powiedział.

— Błąd? — spytała Jessica. Natychmiast przyjęła postawę zaczepną.

— Może nie powinniśmy ich wszystkich zabijać?

Jessica tupnęła nogą. Złote kędziorki jej włosów cudownie podskoczyły.

— Jesteś głupim parszywcem, Jonathan. Wiesz, co oni chcieli z nami zrobić. Gdy odkryli, jaki zasięg ma nasza moc i jak szybko możemy przyswajać sobie nowe zdolności, natychmiast zrozumieli, jakie stwarzamy dla nich niebezpieczeństwo. Chcieli nas zabić!

— Mogliśmy zabić tylko kilku, dla ostrzeżenia — powiedział Jonathan. — Czy naprawdę musieliśmy wykończyć ich wszystkich?

Jessica westchnęła.

— Spójrz, oni są w porównaniu z nami Neandertalczykami. Jesteśmy nową rasą o nowych możliwościach, nowych odczuciach i postawach. Jesteśmy przedwcześnie rozwiniętymi dziećmi — lecz i oni dysponują pewną zwierzęcą siłą. Jedyną szansą było działanie zaskoczenia. I tak też zrobiliśmy.

Jonathan spojrzał na wypalone łaty trawnika.

— Będzie mnóstwo roboty. Uwolnienie się od tych kilkunastu ludzi zabrało nam cały ranek. Nigdy nie oczyścimy całego świata.

— Wkrótce nauczymy się lewitować ciała — stwierdziła Jessica. — Czuję już pierwociny z tej siły. Być może nauczymy się nawet teleportować je z jednego miejsca na drugie. Wszystko pójdzie wtedy łatwiej. Poza tym nie oczyścimy całego świata, a jedynie te części, które będziemy chcieli wykorzystać w ciągu kilku najbliższych lat. Do tego czasu pogoda i szczury wykonają resztę roboty za nas.

— Chyba masz rację — powiedział Jonathan.

Ale wiedziałem, że wciąż ma wątpliwości, które i ja częściowo podzielałem. Na pewno nasza trójka stoi wyżej na drabinie rewolucyjnej, niż ktokolwiek przed nami. Potrafimy odczytywać myśli i wróżyć, i kiedy tylko chcemy — korzystamy z tych możliwości. Znamy trick z ogniem, zmieniający energię myślową w prawdziwą, realną pożogę.

Jonathan może kontrolować bieg niewielkich strumieni wodnych. Zdolność ta sprawia mu największą uciechę i korzysta z niej, gdy tylko chce zrobić siusiu. Chociaż jest jednym z przedstawicieli nowej rasy, ciągle trzymają się go dziecinne figle.

Jessica potrafi dokładnie przepowiedzieć pogodę. Ja oddziaływuję na zwierzęta; przychodzą do mnie psy, koty, ptaki i wszelkie inne zasrańce.

Potrafimy też zatrzymać życie każdej rośliny czy zwierzęcia, tylko myśląc o ich śmierci. Podobnie postanowiliśmy uśmiercić całą resztę

Rys. Topór

ludzkości. Może, zważywszy teorię Darwina, zdolności te rozwinęły się u nas w celu zniszczenia tych nowych Neandertalczyków? Lecz nie mogę uwolnić się od tej nieszczęsnej niepewności. Czułem, że poniesiemy jakieś konsekwencje za zniszczenie starej rasy.

— Wsteczne myślenie — określiła to Jessica. Oczywiście, czytała moje myśli. Jej zdolności telepatyczne rozwinęły się silniej niż moje czy Jonathana. — Ich śmierć nic nie znaczy. Nie możemy mieć wyrzutów sumienia. Jesteśmy nowi: z nowymi odczuciami i nadziejami, marzeniami i z nowymi prawami.

— Pewnie — odparłem. — Masz rację.

3.

W środę zeszliśmy na plażę i spaliliśmy zwłoki wczasowiczów. Wszyscy lubimy morze i dlatego chcemy mieć trochę nieskażonego piasku. Rozkładające się ciała mocno zanieczyszczają plażę. Jonathan i ja byliśmy zmęczeni zakończoną właśnie pracą. Lecz ona chciała seksu.

— Dzieci w naszym wieku tego nie potrafią — powiedział Jonathan.

— Lecz my potrafimy — odparła Jessica. — Mamy to zrobić i ja chcę teraz.

No więc zrobiliśmy. Najpierw Jonathan, potem ja. Chciała jeszcze, lecz żaden z nas nie miał chęci na więcej. Jessica rozciągnęła swoje nagie, nie wykształcone jeszcze, białe, smukłe ciało na piasku.

— Poczekamy — rzekła.

— Na co?

— Aż obaj będziecie znów gotowi.

4.

W cztery tygodnie po końcu świata Jonathan i ja poszliśmy na plażę opalać się. Jonathan był jakiś dziwnie cichy, jakby bał się mówić. W końcu powiedział:

— Czy to normalne, żeby dziesięcioletnia dziewczynka była taka nienasycona, jak myślisz?

— Ona nie jest nienasycona.

— Nie daje nam spokoju — odparł Jonathan.

— Ma po prostu duże wymagania.

— To jest coś innego.

Miał rację. Czułem to także. Jessica ciągnęła do zbliżenia, jak pijak do butelki, chociaż wydawało się, że nie sprawia jej to przyjemności.

5.

W dwa miesiące po końcu świata i spaleniu naszych rodziców, Jonathan i ja mieliśmy już dość naszego domu. Gdy postanowiliśmy się przenieść w bardziej egzotyczne miejsca, Jessica ogłosiła nam doniosłą nowinę:

— Nie możemy jeszcze opuścić tego miejsca. Musimy pozostać tu przez kilka miesięcy. Jestem w ciąży.

6.

Zaczęliśmy się bać tej ezwartej istoty, gdy Jessica była jeszcze w czwartym miesiącu ciąży. Obudziliśmy się wszyscy w środku nocy zlani potem. Wyczuwalna ingerencja tej nowej osoby w naszą psychikę przyprawiała nas o mdłości.

— To dziecko — spytał Jonathan — to chłopiec?

— Tak — odparłem wykrzywiając się, czując jego ingerencję. — Chociaż on jest wewnątrz ciebie, Jessica, posiada świadomość. Nie urodził się jeszcze, lecz jest już zupełnie świadom swego istnienia.

Ból drążył od wewnątrz Jessicę. Bezradnie skomlała.

7.

— Dziecko będzie takie jak my, nie będzie nas przewyższało — upierała się Jessica. — I nie chcę więcej słuchać tych twoich nonsensów Jonathanie.

Sama była dzieckiem, jednak rozdęta naszym potomkiem z każdym dniem stawała się coraz bardziej groteskowa...

— Skąd wiesz, że ono nie będzie nas przewyższać? — spytał Jonathan. — Nikt nie potrafi czytać jego myśli. Nikt!

— Co będzie z nami?

— Ale on jest naszym potomkiem — odparła. Oczywiście myślała, że ta prawda zadaje kłam teorii Jonathana.

— My też pochodzimy od naszych rodziców. I gdzież oni są? Pomyśl, załóżmy, że nie jesteśmy nową rasą. Załóżmy, że stanowimy krótki, pośredni stopień — etap kokonu między poczwarką a motylem. Może dziecko jest...

— Ze strony dziecka nie musimy się niczego obawiać — twierdziła głaszcząc ten swój odrażający brzuch obiema dłońmi. — Nawet jeśli to, co mówisz, jest prawdą, on nas potrzebuje. Do reprodukcji.

— Potrzebuje ciebie — odrzekł Jonathan. — Nas nie potrzebuje.

Usiadłem i słuchałem dyskusji, nie wiedząc, co o tym sądzić. Trochę mnie to bawiło, nawet jeśli się bałem. Spróbowałem przywrócić im humor:

— Być może nie mamy racji. Może dziecko będzie Drugim Pokoleniem.

Oboje nie widzieli w tym nic śmiesznego.

— To poważna sprawa, Jerry — powiedział Jonathan. — Nie ma się z czego śmiać. — I znowu zaczęli wrzeszczeć jedno na drugie... zupełnie jak ojciec i matka, gdy nie mogli wyrobić się z miesięcznym budżetem. Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają.

8.

Dziecko budziło nas w nocy, jak gdyby przerywanie snu i niepokojenie nas sprawiało mu szczególną przyjemność.

W siódmym miesiącu ciąży obudziliśmy się tuż przed świtem spiorunowani energią myślową bijącą z ukrytego w łonie jestestwa.

— Zdaje się, że nie miałem racji — powiedział Jonathan.

— Dlaczego? — spytałem. Nie widziałem go dobrze w ciemnościach sypialni.

— To dziewczynka, a nie chłopak.

— Spróbowałem za pomocą umysłu zbadać wygląd istoty znajdującej się w brzuchu Jessici. Dziecko z powodzeniem broniło się, zresztą tak samo skutecznie opierało się sondażom Jonathana i Jessici. Ja byłem pewien, że to chłopiec. Tak też powiedziałem. Jessica usiadła na łóżku, tyłem do ściany, z rękami na poruszającym się brzuchu.

— Obaj się mylicie. To jest jedno i drugie. Obojnak albo coś jeszcze innego.

Jonathan włączył lampkę nocną i spojrzał na Jessicę.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

Skrzywiła się, gdy płód ciężko uderzył ją w ścianę brzucha.

— Jestem bliżej niego niż którykolwiek z was. Czuję je i jestem pewna, że nie jest do nas podobne.

— Zatem miałem rację — stwierdził Jonathan. Jessica nie odzywała się. — Jest obojnakiem i nie potrzebuje żadnego z nas.

Wyłączył światło. Byliśmy bezsilni.

— Może potrafimy je zabić? — powiedziałem.

— Nie możemy — odparła Jessica.

— Boże — zawołał Jonathan. — Nie potrafimy nawet czytać jego myśli. Jeśli on potrafi obronić się przed naszą ingerencją, może równie dobrze zawładnąć nami. Boże!...

Gdy okrzyk ten odbił się echem w ciemnym pokoju, Jessica powiedziała:

— Nie używaj tego słowa Jonathanie. Nie godzi się. Jesteśmy ponad te wszystkie stare przesądy. Jesteśmy nową odmianą. Mamy nowe odczucia, nową wiarę, nowe prawa...

— Na najbliższy miesiąc lub tylko nieco dłużej — odparłem

Tłum.: JANUSZ WÓJCIAK

Robiści

WŁADEN BACHNOW

Posiedzenie rady naukowej zakończyło się późnym wieczorem i teraz stary profesor wolno szedł wzdłuż cichych korytarzy instytutu. Gdzieniegdzie w laboratoriach jeszcze paliło się światło, a za matowymi szybami migały cienie studentów i robotów.

W istocie całe życie profesora przebiegło w tym budynku. Uczył się tu, wykładał, potem został dyrektorem.. Z pewnością kiedyś instytut będzie nosił jego imię, ale profesor miał nadzieję, że nie nastąpi to zbyt szybko.

Szedł i myślał o sporze, który rozgorzał na radzie naukowej. Spór ten wybuchał nie po raz pierwszy i, najwidoczniej, o tym, kto ma rację i czy to, co aktualnie dzieje się ze studentami jest tylko modą, czy czymś poważniejszym, mógł zdecydować tylko czas.

Profesor bardzo chciał, aby okazało się to tylko złudzeniem.

Trudno powiedzieć kiedy i w jaki sposób się to rozpoczęło. Chyba jakieś pięć lat temu. Początkowo to dziwne dążenie studentów, aby we wszystkim naśladować roboty, tylko śmieszyło i drażniło. Młodzi ludzie, nazywający siebie robistami, zaczęli mówić o sobie jak o urządzeniach cybernetycznych:

„Dziś jestem zaprogramowany do zrobienia tego i tego", „Ta książka wprowadziła we mnie przykładowo tyle i tyle jednostek informacji..."

Potem nauczyli się naśladować chód i kanciaste ruchy robotów, nauczyli się patrzeć bez mrugania, jakimś nieobecnym wzrokiem, a ich twarze stały się tak samo bez wyrazu, jak płaskie twarze robotów.

Oczywiście każda nowa moda zawsze kogoś drażni. Profesor doskonale pamiętał, jak jakieś pięćdziesiąt lat temu młodzi ludzie, między innymi i on, naśladując beatowców, zaczęli zapuszczać brody i bródki.

Na dodatek w modzie były jeszcze fryzury a'la Tarzan.

A teraz przyjęte było golenie włosów i na twarzy, i na głowie. Roboty wszak nie mają zarostu.

Ale nie to przerażało profesora.

Teraz uważano, że objawem staroświeckości jest weselić się i smucić, śmiać się i płakać; wyrażanie jakichkolwiek uczuć zdaniem robistów było w złym tonie.

— W naszej epoce — mówili — kiedy jesteśmy w stanie wymodelować dowolną emocję i metodą laboratoryjną rozłożyć na części składowe dowolne uczucie, sentymenty są śmieszne, niewspółczesne i nieracjonalne.

A zasłynąć jako niewspółczesny lub nieracjonalny myśliciel — nie, na to nie zdobyłby się żaden robista.

Wszystkimi czynami robistów kierował rozum. Nie, raczej nie rozum, a coś o mniejszym znaczeniu — rozsądek, beznamiętność, chłodna analiza sytuacji.

Robiści uczyli się dobrze, gdyż to było rozumne.

Nie opuszczali wykładów, gdyż to byłoby nierozumne.

Raz na dwa tygodnie, w sobotę, robiści organizowali wieczorek, pili, tańczyli, i, rozdzieliwszy się na pary, indywidualizowali się. Mózgi, to nie aparatura elektroniczna, potrzebują wypoczynku.

Robiści interesowali się tylko nauką, bo to było nowoczesne.

Logika i matematyka. Będziemy jak roboty.

Zatem, co to jest — moda, czy coś gorszego? A jeśli to tylko moda, to dlaczego tak długo się utrzymuje?...

— Nie mogę bez ciebie, rozumiesz, nie mogę! — usłyszał nagle profesor czyjś wzburzony głos. — Kiedy cię nie ma — myślę o tobie i robi mi się radośnie, kiedy pomyślę, że się spotkamy. Nie wiem, jak mam nazwać swój stan. Jest mi smutno i dobrze, dlatego, że smutno. Rozumiesz o czym mówię?

— Oczywiście, miły...

„E, nie — ucieszył się profesor. — Są jeszcze prawdziwe uczucia i prawdziwi ludzie." — Poczuł taką wdzięczność dla tych, których rozmowę niechcący podsłuchał, że nie wytrzymał i zajrzał do laboratorium, z którego dobiegały głosy.

W laboratorium prócz dwóch robotów nie było nikogo.

Stary profesor pokiwał głową i zamknął drzwi.

Zupełnie zapomniał o głupiej modzie panującej wśród robotów: roboty starały się teraz naśladować wszystkie ludzkie słabostki.

Tłum.: EWA MILERSKA

1

Zapełnić puste krzesła

Król: „...Cieszy mnie to, że przynajmniej znalazła się taka kanalia, która mówi prawdę. My w imię Boga rżnęliśmy się jak rzeźnicy. Ale ten Bóg był dla nas czymś. Dla was — pragmatystów, bo pragmatystą pan jesteś, panie Wąskomord — Bóg jest głupstwem, w które można wierzyć, kiedy przynosi odpowiedni procent".

Spektakl trwa. Król każdym gestem, każdym słowem obnaża pustkę i duchową niemoc Florestana. Stechnicyzowana, zbiurokratyzowana teraźniejszość zbudowana przez pragmatystów wolna jest od metafizycznych uniesień. Nie można w niej przeżyć tajemnicy istnienia. Cóż zatem pozostało? Oczekiwanie, które musi się spełnić — martwy świat bez wartości ulegnie w końcu zagładzie.

Jesteśmy w najprawdziwszym teatrze, choć miejsce niezwykłe — piwnice secesyjnego pałacyku, przypominające ascetyczne komnaty średniowiecznego zamku, publiczność nietypowa — wszyscy przyszli tu z własnej nieprzymuszonej woli, nie było mowy o stadnej szkolnej czy zakładowej wycieczce, aktorzy jacyś dziwni — tacy młodzi, za młodzi na zawodowców!

Oglądamy „Nowe wyzwolenie" Stanisława Ignacego Witkiewicza. Wciąga nas, zastanawia, intryguje — to co dzieje się na scenie. A przecież powinniśmy odczuwać przede wszystkim inną, gorszą jakość, niedojrzałość. Jesteśmy wszak na przedstawieniu przygotowanym przez amatorskie studio teatralne „Slup" działające przy Widzewskim Dzielnicowym Domu Kultury.

Jedynym profesjonalistą w tym gronie jest kierownik zespołu, a zarazem reżyser spektaklu — Marcel Szytenchelm. Są ludzie, którzy dla osiągnięcia stanu świętego spokoju i małej stabilizacji, godzą się wykonywać najgłupsze zajęcia, tak naprawdę zyskując jedynie kolejne życiowe rozczarowania. Mają ten swój uładzony świat zawodowej przeciętności, w którym nic już zdarzyć się nie może. Dla aktora przystającego na taki układ oznacza to artystyczną śmierć na żywo.

Marcel jest aktorem. Fakt ten ma spore znaczenie w zrozumieniu przyczyn, które spowodowały, że zjawił się w tym teatrze. Nie wystarczyła mu rola zawodowego statysty w profesjonalnym zespole (jedna kwestia typu: „królu, przybył wysłannik cesarza" na cały półtoragodzinny spektakl!). Rekompensował sobie te braki, gdzie tylko mógł. Nie gardził nawet zwykłą chałturą, jeśli tylko stwarzała szansę gry, pokazania czegoś innego, odświeżenia stereotypowej roli.

Kiedy zaproponowano mu zorganizowanie akademii w związku z kolejną rocznicą śmierci G. Narutowicza w szkole (II LO), której I prezydent II Rzeczypospolitej jest patronem, zgodził się, choć nie bez wewnętrznych oporów. Akademia wydawała mu się przedsięwzięciem tak bardzo zamkniętym w ramach skostniałej, wypracowanej latami szkolnych praktyk, struktury, że stworzenie w tej formie artystycznej wypowiedzi czegoś nowego, interesującego dla widza-ucznia, było praktycznie niemożliwe. Nie należy jednak godzić się na sztampę i jałowość. Zamiast akademii przygotował spektakl: „Wyrok?" który zaskoczył formą — rzecz cała rozgrywała się w szkolnych korytarzach imitujących salon Zachęty, a nie jak zwykle w sali gimnastycznej oraz ożywił wydawało się doskonale znaną treść — „schodzące" z obrazów zawieszonych w Zachęcie postacie historyczne toczą spór o Narutowicza -polityka.

Spodobało się, chwyciło. Po przedstawieniu zgłosiło się do niego kilka osób z „widowni". Oni — uczniowie „dwójki" też chcieliby spróbować. Dziś — Ewa Drążkiewicz i Robert Luchniak — grający w „Nowym wyzwoleniu" role — Tatiany i Króla zamierzają, po zdaniu matury, walczyć o „aktorski" indeks w PWSTTviF.

Pierwszy krok został zrobiony. Szkolne widowisko stało się impulsem do... stworzenia studia. Dzielnicowe władze uznały, że takie przedsięwzięcie jest realne, dały swe poparcie, także finansowe i pomieszczenie, młodzi aktorzy poczuli smak grania w „prawdziwych" przedstawieniach.

Droga od „Wyroku?" do „Nowego wyzwolenia" nie była jednak tak prosta, jak by się początkowo wydawało. Marcel nie zamierzał i nie zamierza uprawiać ze swoim zespołem amatorszczyzny, czyli inaczej mówiąc artystycznej chały. Dlatego długie miesiące dzielące jedną premierę od drugiej wypełniły zajęcia warsztatowe. Adepci studia musieli zdobyć podstawy aktorskiej wiedzy — nauczyć się świadomie posługiwać swym głosem i ciałem. Okazało się, że jest to proces żmudny i długotrwały, wymagający sporo wysiłku i samozaparcia i wcale jeszcze nie zakończony. „Nowe wyzwolenie" to kolejny stopień artystycznego wtajemniczenia. Jeden z pierwszych.

Dlaczego o nim piszę? Rzecz cała wydaje się przecież błaha, nieistotna, nie warta większej uwagi.

Wojciech Pilarski w jednym z wywiadów powiedział:

„Łódź ma specyficzną, trudną publiczność. Tutaj prawie w ogóle nie ma zainteresowania profesjonalnym teatrem. Na przykład „Terroryści" I. Iredyńskiego w Warszawie idą z powodzeniem, podczas gdy u nas sztuka padła (...). Podobnie z „Vatzlavem". W Warszawie — powodzenie, tu zaś graliśmy bardzo często przy martwej widowni. Te wszystkie rzeczy, które padały ze sceny, zupełnie nie trafiały do widza. Nie wiem kto zasiada na naszej widowni. Przyznaję się bez bicia — sam nie wiem, ile jest winy po stronie teatru, a ile po stronie widowni".

I miał rację. Exodus wybitnych artystów spowodował, że Łódź stała się teatralną „ziemią jałową". Oczywiście teatry działają nadal, odbywają się kolejne premiery, ale fakty te stanowią jedynie mało przekonujące alibi, iż w tej sferze miejskiej kultury życie nie zamarło. Nie oszukujmy się — jedynym, prawdziwym teatrem dla wielu mieszkańców Łodzi były i są piłkarskie stadiony. W latach tłustych nie potrafiliśmy się dochować w blisko milionowym mieście teatralnej widowni z prawdziwego zdarzenia, która w chwili gdy nastaną lata chude nie odwróci się do Melpomeny plecami. Dlatego szansy dla naszych teatrów upatruję nie tyle w wystrzałowych przedstawieniach, ile w konsekwentnie prowadzonej pracy u podstaw.

Hasło na dziś: zainteresować teatrem łódzką młodzież. Jak tego dokonać? Bez wątpienia sposobem nie jest przymusowe spędzanie ludzi na kolejne premiery. Szansę na zapełnienie pustych krzeseł profesjonalnych scen naszego miasta widzę w... rozwoju amatorskiego ruchu teatralnego. W studium kierowanym przez Marcela Szytenchelma grupa kilkunastu młodych ludzi została już przekonana. Być może za nimi pójdą inni.

PAWEŁ STRZELECKI

2

Spojrzenie znad szachownicy

Działkowicz potrafi

1.

W wyniku fortunnego układu planet (bo do układów personalnych, nawet gdybym takie posiadał, za diabła bym się przecież nie przyznał) otrzymałem wreszcie działkę pracowniczą, której życzyła sobie moja żona, jako tak zwana jednoosobowa grupa nacisku. Na pierwszy rzut oka działka ta stanowi taki ot sobie kawałek mocno udeptanej i zarośniętej perzem ziemi, bliższe zbadanie sprawy rozwiewa jednak iluzje. W istocie jest to perz, sam perz i tylko perz, między którego korzonkami pałętają się jakieś pojedyncze ziarenka piasku. Wgryzłem się cokolwiek w problem — to jest w perz, chciałem powiedzieć — i widzę, że tam, gdzie był przedtem pagórek, teraz robi się paskudna dziura w ziemi — przy odrobinie szczęścia może siknie z niej nawet nafta i będziemy mieli nowe Karlino przy ulicy Selerowej.

Walcząc z perzem zacząłem — jako człowiek oczytany i nowoczesny — od próby wytworzenia biopola i namówienia roślinki po dobroci, żeby sama się wykopała i gdziekolwiek sobie poszła. Perswadowałem jej podzmysłowo, że nieźle byłoby się poczołgać do stanu Colorado, w rewanżu za ziemniaczaną stonkę, ale albo biopole mam za słabe, albo perz wytwarza jakąś osłonę telepatyczną, dość że nic z tego nie wyszło i nawet pewien znajomy radiesteta powiedział, że nic, tylko trzeba brać się za widły.

2.

Za widły, to za widły, śni mi się teraz po nocy, że tymi widłami macham, ale na jawie przychodzi opamiętanie i myślę sobie, że nieźle byłoby zapytać Jana Perza — ostatniego dyrektora Teatru Ziemi Łódzkiej, bo potem zrobił się z tego Teatr im. Tuwima, z Teatru im. Tuwima Teatr Studyjny, a z Teatru Studyjnego nie wiadomo jeszcze co się wykluje — otóż, jak powiadam, nieźle byłoby spytać pana Jana, co by szczególnie lubił, bądź czego nie lubił.

Mam ten perz traktować widłami — tak zwanymi amerykańskimi, inne bowiem perzu się nie imają — czy raczej talerzować, bronować, wyorywać, słowem wdać się w mechanizację? A skoro już wszystkie rozłogi wydłubię, spalić toto i popiół po ziemi rozsypać, czy — za przeproszeniem — zgnoić, czyli przerobić na kompost?

Same problemy natury — rzekłbym — towarzysko-ogrodniczej, proszę mi jednak wierzyć, panie Janku, że ledwo wlezę na te swoje, że się tak szumnie wyrażę, włości, zaraz o panu myślę...

Żarty żartami, a patrząc na

3.

to, co dzieje się w moim nowo zakładanym ogrodzie działkowym muszę przyznać rację Wiesławowi Jażdżyńskiemu, który pisał nie tak dawno na łamach łódzkiego „Expressu", że hasło POLAK POTRAFI wcale nie wydaje mu się jak bardzo na wyrost, bo nie ono się skompromitowało, lecz ludzie, którzy nim żonglowali. Co prawda Polak jest raczej indywidualistą, w zbiorowości radzi sobie gorzej, a już organizacja pracy z pewnością nie jest naszą mocną stroną, gdzie się da i gdy się da nadrabiamy to jednak fantazją, wyobraźnią i umiejętnością improwizowania.

Świetny gospodarz, Duńczyk czy Holender, bez swoich mineralnych nawozów, chemicznych środków ochrony roślin i wymyślnych narzędzi stanąłby pewno bezradny przed szczerym ugorem faszerowanym — bo i to się zdarza — gruzem i rozmaitymi tam śmieciami, a działkowicz zakasuje rękawy, bierze do ręki wysłużoną łopatę i grzebie w tej ziemi aż do skutku. Jednemu wychodzi ciut lepiej, innemu ciut gorzej, każdy się jednak czegoś tam dopracuje i to zaraz — nie po dziesięcioleciach.

4.

Przy całej żarliwości neofity muszę jednocześnie przyznać, że w swoim nowym wcieleniu narażony bywam na rozmaite pokusy. Tego nie ma, tamtego nie ma, owego w ogóle nijak i nigdzie nie da się kupić, tymczasem to, owo i tamto — przydatne na przykład do budowy altany — leży sobie najspokojniej porozrzucane gdzie popadnie i wprost samo lezie w ręce. Ukraść niby nieładnie, bo to i grzech, i pod paragraf można podpaść, a znów zostawić, żeby tak sobie leżało i murszało — wprost głupio.

Oto ja, wysoce praworządny Jerzy P., od lat paru potykam się na przykład o coś, co najwyraźniej na nic nikomu nie jest potrzebne, a zawadza jak wszyscy diabli. Teraz nagle widzę, że mógłbym to coś zagospodarować z własnym, a nawet społecznym pożytkiem, bo przecież nie ja jeden się potykam, nie mam jednak pojęcia pod czyim adresem złożyć uprzejmą ofertę jak najbardziej legalnego zakupu. Naczelnikowi dzielnicy głowy zawracać nie śmiem, zresztą gdyby nawet, zacny ten człowiek pomyśli z pewnością, żem zwyczajny wariat. A znów szukać firmy, która to coś kiedyś tam porzuciła — daremna fatyga, pół życia byłoby za mało.

DZIAŁKOWICZ POTRAFI, wiele potrafi, bardzo wiele potrafi, ale oprzeć się podobnej pokusie — to już ponad jego siły. Dlatego też stękam, kwękam, drapię się w głowę i rozpaczliwie biję z myślami; jeżeli przegram, nie wykluczone, że kolejne teksty będą nosić już nadtytuł „Listy z więziennych kazamatów". Chyba oczywiście, że ktoś mnie po prostu ubiegnie, albo też Obywatel Prokurator nie dopatrzy się w zamyślanym postępku nijakiej szkodliwości, a nawet wystąpi z wnioskiem o przyznanie niżej podpisanemu dyplomu „Za zasługi w oczyszczaniu miasta".

JERZY P.

3

Lewym okiem

„Marchołt" w złym towarzystwie

Gruntowny i o pokaźnych rozmiarach tom „Prasa Polska 1918—1939" może doprawdy imponować jako dzieło jednego tylko człowieka o olbrzymiej wiedzy historycznej z zakresu dziejów polskiej prasy — Andrzeja Paczkowskiego. Dzieło to słusznie wyróżnione zostało nagrodą „Polityki" za rok 1982. Pozostając z wielkim uznaniem dla autora, pragnę sprostować parę zauważonych przeze mnie nieścisłości nieuniknionych zapewne przy tak ogromnym materiale.

I tak na stronie 270 stwierdza Andrzej Paczkowski: „Podobne założenia przyświecały wydawcom i redaktorom *dwutygodnika* „Marchołt" (od 1939 r. p.n. „Glossy"), w którym naczele publicystów stali m.in.: Artur Górski, Bogdan Suchodolski, Jan Święcicki".

Otóż „Marchołt" nie był dwutygodnikiem, tylko *kwartalnikiem*, wychodził od października 1934 do grudnia 1938 r., przy czym ostatnie 2 numery (z osiemnastu ogólnego zbioru) ukazały się jako dwumiesięcznik. Przez cały czas redaktorem naczelnym był Stefan Kołaczkowski, którego — moim zdaniem — wypadało wspomnieć, skoro wymieniono niektórych równych mu rangą, a nie decydujących o obliczu pisma, publicystów.

Z początkiem roku 1939 zmienił się redaktor (przejął pismo Tadeusz Makowiecki), powrócono do częstotliwości kwartalnej i zmieniono tytuł na „Glossy". W tej zmienionej postaci ukazały się tylko dwa numery.

Zarówno „Marchołt" jak „Glossy" były znakomitymi pismami, na najwyższym poziomie intelektualnym, i zawierały wiele materiałów tętniących do dziś bogactwem przemyśleń. Tytuł, kojarzący się oczywiście z komedią Jana Kasprowicza („Marchołt gruby a sprośny"), może wprowadzać w błąd, tak jak zmylił pamięć Kazimierza Krukowskiego, który w swych wspomnieniach pt. „Mała antologia kabaretu" pisze na stronie 254: „do śmiechu „Cyrulik Warszawski", „Szpilki", gdzieś dalej „Szczutek", „Marchołt", „Sowizdrzał" i „Mucha".

Doprawdy, nie można było postawić „Marchołta" w mniej stosownym towarzystwie.

Na stronie 401 wymienia Andrzej Paczkowski szereg pism polskich, ukazujących się w Harbinie, w Mandżurii, m.in. „Tygodnik Polski". Redaktorem i wydawcą — pisze Paczkowski — był ksiądz W. Ostrowski, który nadawał pismu ton klerykalny i charakter po części religijny. „Tygodnik" *przetrwał do 1935 roku* i ukazywał się w nakładzie 1000 egzemplarzy".

Jestem w posiadaniu tegoż „Tygodnika" *z września 1938 roku;* jest to już 852 numer ogólnego zbioru, a rok wydawania — szesnasty. Redaktorem jest już inny ksiądz — W. Zborowski (księdza prałata Władysława Orłowskiego — a nie Ostrowskiego — wspomina się z okazji drugiej rocznicy jego śmierci), ale pismo zachowało ten sam charakter i nic nie zapowiada jego upadku. Obok zawiadomień o polskich ślubach, urodzinach, zgonach — pismo zawiera wiele ogłoszeń *polskich firm* w Harbinie (dentyści Jarugski i Ławrynowicz, fotograf Wojciechowicz i inni) oraz kronikę wydarzeń z miejscowego gimnazjum polskiego im. H. Sienkiewicza. Wynika z tego, że grupa polska w Mandżurii była co najmniej do wybuchu wojny silną i dobrze zorganizowaną.

W odniesieniu do opracowań syntetycznych, zmuszających autora do dużych skrótów, nie uniknie się oczywiście koniecznej eliminacji i doboru odnotowanych faktów. Mimo to trochę szkoda, że Paczkowski, rejestrując tytuły zupełnych efemeryd o minimalnych nakładach i minimalnym znaczeniu społecznym, pominął całkowitym milczeniem takie pisma jak świetny kwartalnik i miesięcznik „Pamiętnik Warszawski" (25 numerów w latach 1929—1931, pod redakcją W. Berenta i L. H. Morstina), tygodnik wolnomyślicieli polskich „Myśl" (P. Hulka-Laskowski), tygodnik nacjonalistyczny „Myśl Polska"; szkoda też, że tygodnik „Merkuryusz Polski Ordynaryjny" (1938—1939), stanowiący bardzo charakterystyczną pozycję w mozaice międzywojennego czasopiśmiennictwa polskiego, został ledwie skwitowany jednym jedynym słowem, i to ukrytym w nawiasie (str. 189).

I jeszcze jedno: „Wolną myśl — Wolne Żarty" wydawała w Łodzi nie Helena Kokoszecka, jak pisze Paczkowski (str. 283), tylko Helena Kokorzycka, co należałoby poprawić również w indeksie nazwisk na stronie 505.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

4

Zdarzenia i zwierzenia

Iwan Bunin

Tytuł książki: „Iwan Bunin". Autor: Ludwik Bohdan Grzeniewski. Na pierwszy rzut oka to zestawienie może wydać się dziwne. Ludwik Bohdan Grzeniewski — varsavianista, autor niezwykle cennych studiów jak „Warszawa w „Lalce" Prusa", współautor książek „Warszawa zapamiętana", „Śladami Wokulskiego", edytor „Szkiców warszawskich" Łozy i „Gawęd o Warszawie" Galińskiego — a tu raptem książka o Buninie, rosyjskim pisarzu-emigrancie, laureacie Nagrody Nobla z 1933 roku... Gdyby to jeszcze Grzeniewski napisał książkę o Mandelsztamie, który urodził się w Warszawie, ale skąd ten Bunin w kręgu zainteresowań pisarza, który całą swoją ogromną wiedzę i talent oddał Warszawie?

No właśnie — jak to pozory mylą! Jeśli ktoś bowiem zna twórczość Grzeniewskiego przypomni przecież ten dawny niewielki szkic o powrotach w warszawskie zakątki. I znajdzie tam słowa: „Tutaj, w tej cerkwi zagubionej wśród morza codziennych spraw ruchliwej Pragi, urodziła się jedna z fascynacji mego życia: oczarowanie rosyjskością. Wyniosłem stąd przywiązanie do języka i literatury, do brzozowych lasów Lewitana i Lermontowskich strof. Może gdybym tutaj — przypadkiem zresztą — nie zajrzał, po latach nie odkryłbym moich ulubionych — Osipa Mandelsztama i Iwana Bunina...".

A zatem i fascynacja pisarstwem Bunina zrodziła się u Grzeniewskiego na warszawskiej Pradze. Więc nie ma żadnej sprzeczności — zamyka się niezwykły krąg i otwiera niecodzienna książka.

Twórczość Bunina znam słabo. Poza „Życiem Arsieniewa" i arcydziełami nowelistyki z tomów „Gramatyka miłości" i „Róża Jerycha" nie czytałem właściwie nic więcej. Książka Grzeniewskiego uczy i zachęca do czytania Bunina, który w swoim pisarstwie miał dwie wielkie obsesje: miłość i śmierć. A więc dwie najważniejsze dla człowieka sprawy.

Ludwik B. Grzeniewski w swojej niewielkiej książeczce opowiada nam rzecz znaczącą: jakim artystą i jakim człowiekiem był pisarz naprawdę wielki, dla którego Nobel nie był premią emigrancką, lecz autentycznym uznaniem wielkości.

Dla mnie Iwan Bunin to inna epoka. Trzynaście lat temu minęła setna rocznica jego urodzin. Kiedy otrzymał Nagrodę Nobla nie było mnie jeszcze na świecie. Kiedy po czterdziestu latach zapomnienia, po raz pierwszy wydano w Moskwie jego dzieła zebrane w pięciu tomach — miałem dwadzieścia lat, fascynował mnie raczej Hemingway, a nie zeszłowieczny — jak sądziłem — pisarz.

„Gramatyką miłości" i „Różą Jerycha" zachwyciłem się dopiero po czterdziestce. A może jest to pisarz za mądry, za głęboki dla dwudziestolatka?

Książka Grzeniewskiego stara się przekonać czytelnika o wielkości Bunina i czyni to chyba skutecznie, bowiem nie jest ani banalną biografią, ani krytyczno-literacką „piłą", lecz urokliwą mozaiką faktów, refleksji, wspomnień i tekstów samego Bunina. Ta książka nie opowiada jakim pisarzem był Bunin — ta książka po prostu pokazuje.

Jak choćby to: „Znowu tulił do ust jej ręce, a czasami, niczym jakąś świętość, całował jej chłodne piersi. Jakże całkiem inną istotą stała się dlań teraz! Nad czernią niskiego lasu jaśniało nie gasnąc zielonkawe przyćmione światło, odbijając się słabo w płasko bielejącej w dali wodzie; ostro, niczym seler, pachniały rosiste przybrzeżne zarośla, tajemniczo, jękliwie bzykały niewidzialne komary. A nad łodzią i dalej z jakimś potrzaskiwaniem latały, wciąż latały nad tą nocną, połyskującą wodą, straszne bezsenne ważki".

Jest to przykład fenomenu literatury — stwierdza Grzeniewski. Słowa te napisał bowiem siedemdziesięcioletni pisarz — z dala od Rosji, we wrześniu 1940 roku. Przez Europę przetaczała się straszliwa wojna...

Ale Bunin wyznaje: „Wypowiadam moje myśli pod wiatr zdarzeń. W przyszłym, zmienionym świecie wszystko co piszę może wydać się zupełnie pozbawione sensu".

Stało się inaczej. Mimo że pisał pod wiatr zdarzeń, a może właśnie dlatego?

JERZY WILMAŃSKI

Redaguje zespół: **Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak** (sekretarz redakcji), **Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Grażyna Olechnowicz** (z-ca sekretarza redakcji), **Igor Sikirycki** (kier. działu literackiego), **Karol J. Strzyjski, Janusz Szymański-Glanc** (grafik), **Paweł Tomaszewski, Lucjusz Włodkowski** (redaktor naczelny), **Jolanta Wrońska, Mirosław Zajdler** (fotoreporter).

Stale współpracują: **Tadeusz Błażejewski, Krzysztof Drzewiecki, Grzegorz Gazda, Witold Kasperkiewicz, Włodzimierz Krzemiński, Dariusz Milerski, Krystyna Namysłowska, Jerzy Panasewicz, Ewa Pankiewicz, Henryk Sroczyński, Jerzy Wilmański.**

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy". al. A. Mickiewicza 11, kod 90-438, Łódź. Telefony sekretariat i redaktor naczelny 652-44, sekretarz redakcji 680-99 publicyści 677-70. Redakcja nie zamówionych rekopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo do skrótów. Informacji o warunkach prenumeraty udzielają oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej 1040 zł. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw 00-958 Warszawa ul. Towarowa 23, konto NBP XV oddział w Warszawie nr 1153 201045 139 Prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Wydawca Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa — Książka — Ruch". Łódzkie Wydawnictwo Prasowe. Adres: ul. Piotrkowska 96 kod 90-103, Łódź. Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 23. Nr indeksu 36762. Zam. 1821 L-2.

Opalanie może być niebezpieczne

Lato jest tuż, tuż i blade twarze z półkuli północnej wkrótce zapełnią plaże w pogoni za mocną, ciemną i seksowną opalenizną. Wiktoriański ideał delikatnej, kameliowo białej skóry dawno już został zastąpiony pragnieniem, by wyglądać jak brązowy bożek. Ale ta tendencja pociągnęła za sobą ofiary śmiertelne. Liczba zachorowań na raka skóry wywołanego działaniem słońca rośnie zarówno w Stanach Zjednoczonych, jak i w Europie, a choroba ta dotyka coraz młodszych ludzi. Występowanie najgroźniejszej formy, Melanomu (czerniaka) złośliwego, co prawda mniej związanego z działaniem promieni słonecznych, w ciągu ostatnich 20 lat nasiliło się dziesięciokrotnie. W drugiej połowie maja około 300 dermatologów i lekarzy innych specjalności zebrało się na Manhattanie na pierwszym Swiatowym Kongresie poświęconym rakowi skóry, żeby przedyskutować ten problem. Ich apel: powrócić do parasola.

Lekarze od dawna wiedzieli, że słoneczne promieniowanie ultrafioletowe wywołuje głębokie zmiany w skórze ludzkiej. Jak twierdzi dermatolog, Fred Urbach z Uniwersytetu Temple w Filadelfii „nawet jednodniowe wystawienie się na działanie słońca może wywołać szkody". Najszkodliwsze jest krótkofalowe promieniowanie ultrafioletowe, tzw. promieniowanie B, dominujące w okresie szczytowego nasłonecznienia (od godz. 11 do 3 po poł.). Nowe badania wykazały jednak, że również promienie nadfiołkowe o dłuższej fali (A), występujące cały dzień, sprzyjają rakowi skóry.

Szkody wywołane przez to niewidzialne promieniowanie sięgają od zwykłego oparzenia słonecznego, przez zmarszczki i brązowe plamy „wątrobiane" spowodowane latami opalania się, do przedrakowych ciemnych placków na skórze, znanych jako keratoza aktyniczna i w końcu do raka. Wszystkie te objawy są elementami tego samego procesu, mówi Urbach.

— Najpierw wygląda się staro, potem, jeśli człowiek się dużo opalał, dostaje keratozy, a potem raka skóry. Gdybyśmy żyli dostatecznie długo, to wszyscy byśmy dostali raka skóry.

Proces rozpoczyna się od tego, że słoneczne promieniowanie ultrafioletowe uszkadza komórki położone w pobliżu powierzchni skóry, powodując ich obrzmienie. Ból i zaczerwienienie, jakie pojawiają się w parę godzin po nadmiernym nasłonecznieniu, są spowodowane rozszerzeniem się naczyń krwionośnych na uszkodzonej powierzchni. Pojawiające się następnie zbrązowienie — opalenizna — to rozpaczliwy wysiłek organizmu, by uchronić skórę przed dalszym uszkodzeniem. Drobne cząsteczki melaniny, brązowego pigmentu wytwarzanego przez specjalne komórki skóry, w odpowiedzi na promieniowanie ultrafioletowe, przesuwają się ku powierzchni i działają jako deflektory światła słonecznego. Jednak fanatyk opalania się na plaży płaci po latach za tę wspaniałą naturalną tarczę. Nagromadzenie się melaniny, w połączeniu ze spowodowanymi przez promieniowanie nadfiołkowe uszkodzeniami elastycznych włókien w dalszych warstwach skóry, nadaje jej fakturę starej rękawicy baseballowej.

Promieniowanie ultrafioletowe ma także skutki mniej rzucające się w oczy, ale nawet jeszcze zgubniejsze. W wyniku przemiany białek w soczewce oka powoduje stopniowe gromadzenie się tam pigmentu żółtego. Podobnie jak w wypadku opalenizny, to zbieranie się pigmentu jest do pewnej chwili korzystne: chroni delikatną siatkówkę, przed uszkodzeniem przez promienie ultrafioletowe. Ale zagęszczenie się pigmentu po latach opalania się jest główną przyczyną katastrofy oka.

Podobnie jak promieniowanie rentgenowskie, również promieniowanie ultrafioletowe może spowodować zmiany w DNA komórkowym, wytwarzając mutacje związane z rakiem. Harwardzki fotobiolog, Madhu Pathak, twierdzi że „promieniowanie ultrafioletowe zarówno o fali krótkiej (B), jak i długiej (A) jest rakotwórcze". Wydaje się też, że promienie nadfiołkowe osłabiają system odporności organizmu. Może to być wytłumaczeniem zjawiska, że niektóre infekcje wirusowe, jak ospa wietrzna, stają się groźniejsze pod działaniem słońca. A ponieważ sądzi się, iż system immunologiczny odgrywa jakąś rolę w zapobieganiu rozwoju nowotworów, to jego osłabienie „może także stanowić czynnik przyśpieszający powstanie raka skóry", stwierdza dr Margaret Kripke z Narodowego Instytutu Rakowego.

Około 80 proc. raków skóry wywołanych działaniem słońca to nowotwory komórek podstawowych. Zwykle występują na głowie lub szyi; stanowią najczęstszą i uleczalną postać raka w Stanach Zjednoczonych. W liczbie 400.000 Amerykanów, leczonych na tę chorobę w ubiegłym roku, była także Nancy Reagan; usunięto jej niedawno z twarzy kilka plam keratozy, aby zapobiec nowotworom. Rak skóry pojawiający się także w innych miejscach ciała, to zwykle nowotwór komórek nabłonka, łatwy do wyleczenia chirurgicznego.

Znacznie groźniejsze są ciemne, prawie czarne plamy Melanomu złośliwego (czerniaka), który atakuje rocznie przeszło 15.000 Amerykanów, powodując śmierć 45 proc., z nich. Chociaż czerniak ma tendencję do występowania na tak wystawionych na działanie słońca partiach ciała, jak pierś u mężczyzny i nogi u kobiet, to jego związek ze słońcem jest niejasny. Pewną rolę może tu grać kilkakrotne oparzenie słoneczne; mówi się także o wpływie ciąży i pigułek antykoncepcyjnych.

Niektórzy lekarze — uczestnicy konferencji — postulowali używanie środków chroniących przed słońcem przez cały rok. Niektórzy przyznawali się, że smarują się nimi rano, choć większość dnia spędzają w budynku. Najusilniejsze i najbardziej jednomyślne zalecenie dotyczyło jednak ochrony skóry dzieci. Chociaż rak skóry może wystąpić dopiero około pięćdziesiątki, to wstępne uszkodzenia następują we wczesnym dzieciństwie — twierdzi dermatolog Isaac Willis z Morehouse School Medicine w Atlancie. Rzeczywiście, człowiek najwięcej wystawia się na słońce do 30 roku życia. Kiedy pojawiają się zmarszczki, szkody już nastąpiły.

CLAUDIA WALLIS
MARY CARPENTER
(„The Times")

Po prostu aerobic

Bogactwa biednych Indian

NICOLE BERNHEIM

Nazwy stolicy **„narodu Navajów"** użyczyła różowa skała z wielką dziurą w środku wznoszącą się nad **Window-Rock.** Przed dziesięciu laty była to zakurzona mieścina pośród pustyni, która rozciąga się na pograniczu stanów Arizona i Nowy Meksyk. Dzisiaj Rada Plemienna odbywa swoje posiedzenie wiosenne w nowym „Parlamencie" — harmonijnej budowli z różowego piaskowca, przypominającej tradycyjne gliniane domostwa Navajów. Nieco dalej znajduje się nowa szkoła i budynki administracyjne, co jest oznaką pewnego dobrobytu zawdzięczanego ropie naftowej i gazowi ziemnemu.

Osiemdziesięciu ośmiu członków parlamentu słucha przemówienia nowego szefa, Petersona Zaha, demokraty wybranego w wyborach uzupełniających w listopadzie 1982 roku na miejsce bardzo republikańskiego Petera MacDonalda, który przez dwanaście lat kierował losami **największego plemienia indiańskiego w Stanach Zjednoczonych.** Debata odbywa się po angielsku i w języku navajo, jedynym spośród około 150 języków indiańskich będących jeszcze w użyciu, posiadającym alfabet. Sala zbudowana jest w kształcie wigwamu, zaś ściany pokrywają freski przedstawiające sceny z burzliwej historii plemienia. Głosowanie, przez podniesienie ręki, jest rejestrowane na tablicy elektronicznej oraz przez kamerę telewizyjną filmującą posiedzenie dla miejscowej stacji.

BAJECZNE WNĘTRZE ZIEMI

Ze swoimi 140 tysiącami mieszkańców osiadłymi na obszarze 65 tys. kilometrów kwadratowych, rozciągających się w Arizonie, Nowym Meksyku i Utah, rezerwat Navajów jest najważniejszy w Stanach Zjednoczonych. Potencjalnie jest najbogatszy, ale też sprawia najwięcej problemów władzom federalnym. Od momentu, gdy okazało się, że **ich „spalona ziemia"** kryje w sobie bajeczne bogactwa naturalne — 2,5 mld ton węgla, 80 mln ton uranu, 100 mln baryłek ropy naftowej i ponad 20 mld metrów sześciennych gazu ziemnego — Navajowie przeszli z apatii w entuzjazm, a potem w niepokój.

Po początkowym dobrobycie recesja i spadek cen paliw zahamowały gwałtownie szanse rozwoju ekonomicznego. Niemniej jednak rezerwat wydobył w 1982 roku 14,5 mln ton węgla, 7,5 mln baryłek ropy naftowej, i 5,5 mln metrów sześciennych gazu ziemnego, natomiast kopalnia uranu — najważniejsza w Stanach Zjednoczonych — była zamknięta.

„Naród Navajów" jest w rzeczywistości nękany przez te same problemy, co wszystkie rezerwaty indiańskie. Wspólnoty wiejskie przywiązane pozostają do wartości niewiele znaczących w kraju tak bardzo zaangażowanym w ekspansję gospodarczą i technologiczną, co upodabnia ją do Trzeciego Świata. Cechuje je dominująca rola rodziny i plemienia, nieufność do zmian, brak wykwalifikowanej siły roboczej, niedobór środków komunikacji, do czego trzeba jeszcze dodać godny ubolewania brak „smykałki" do interesów, z wyjątkiem kilku wodzów nie nazbyt drobiazgowych w swym postępowaniu. Rezerwaty indiańskie uzyskują lwią część swoich dochodów z funduszy federalnych przekazywanych im za pośrednictwem **Biura Spraw Indiańskich.** Dochody te pochodzą też z wpływów znacznej liczby stanowisk administracyjnych, które wyjątkowo ucierpiały wskutek redukcji wydatków socjalnych narzuconej przez administrację Reagana.

Mr Peterson Zah, który był z zawodu cieślą zanim został szefem służby prawnej Navajów, nie jeździ samochodem sportowym, jak jego poprzednik, lecz starym Volkswagenem i własnoręcznie zrobił indiańskie meble w swoim biurze. Chce on przede wszystkim wynegocjować ponownie dawne, i jedyne w swoim rodzaju, kontrakty pozwalające na przykład firmie wydobywczej płacić plemieniu 15 centów za tonę węgla, który sprzedaje ona za 20 dolarów. Chce on ponadto narzucić tym firmom nowe podatki, co zwiększyłoby trzykrotnie 52 mln dolarów uzyskiwanych rocznie przez plemię z tytułu udzielenia prawa do eksploatacji.

Mr Peterson Zah, odwrotnie niż jego poprzednik, chce również ostrzec swoich podwładnych przed zbyt wielkim uzależnieniem od surowców mineralnych, które mogą wyczerpać się w ciągu 20 lat. Jeden z jego głównych doradców, mr Trapella, adwokat z wykształcenia, jest pełen polotu, dokładny i ufny.

— Czego trzeba, żeby zbudować gospodarkę? Ziemi, rąk do pracy i kapitału — mówi. I opowiada o przedsięwzięciach z firmami japońskimi, pewnym bankiem z Chicago, o linii kolejowej między Shiproc i Gallup służącej do wywozu węgla, o wielkim planie irygacji mającym na celu utworzenie rozległego, eksperymentalnego gospodarstwa rolnego.

Tyle jest tu projektów, że **Biuro Spraw Indiańskich,** które dostarczyło **„narodowi Navajów"** w 1982 roku ponad 80 milionów dolarów, przygląda się z zainteresowaniem i... sceptycyzmem.

TURYSTYKA I BINGO

W San Ignacio, w południowej części stanu Colorado, **Utowie Południowi** (są również Utowie Północni), niewielkie plemię liczące 1.100 osób, potrafili wyciągnąć korzyści ze swoich bogactw naturalnych i stworzyć, wraz z tysiącem ludności nieindiańskiej, wspólnotę góralską, prosperującą i dobrze zarządzaną. Połowę budżetu plemienia dostarcza gaz ziemny. Rezerwat posiada również węgiel, którego Rada Plemienna postanowiła na razie nie ruszać. Pewną zamożność dały rolnictwo, hodowla, a przede wszystkim turystyka — motel z 40 pokojami, ośrodek narciarski w Mesa-Verde, zaś ku rozrywce klienteli letniej sala bingo z pulą 500 dolarów, przejażdżki konne i tańce indiańskie.

— Tańce o charakterze socjalnym, nie religijnym — podkreśla członek Rady, Eddy Box, który jest medicineman (uzdrawiacz posiadający mniej lub bardziej tajemną moc).

Jest to dobry przykład tego, jak plemiona zachowują swoją tożsamość, język i tradycje — święte tańce, w których uczestniczą tylko wtajemniczeni, a które są srodze zabronione dla innych. Zdaniem mr Boxa, to właśnie tradycje plemienia pomagają młodym Indianom **„wiedzieć, kim są".**

Nieco później grupa dziennikarzy zagranicznych znajdzie u **Zunisów,** małego plemienia **Indian Pueblo** z Nowego Meksyku, całkowitą koegzystencję katolicyzmu — religii dominującej, narzuconej onegdaj przez najeźdźców hiszpańskich — z resztkami pogaństwa inspirowanego przez cykl natury. W kościółku w Zuni, zbudowanym w XVII wieku, kiczowata Droga Krzyżowa wisi obok dwu fresków z olbrzymimi Kochinasami, postaciami uosabiającymi dla wielu Indian duchy wód, lasów i pór roku, ale również naczelne koncepcje życia ludzkiego.

Usadowione wysoko w górach, na północy Nowego Meksyku, Dulce, jest stolicą **Apaczów Jacarillas,** plemienia liczącego 2.200 osób. Zagubieni o półtorej godziny jazdy po nierównych drogach do najbliższego osiedla o jakim takim znaczeniu, Jacarillasowie próbują wyciągnąć maksimum korzyści z ropy naftowej i gazu, które dostarczają 70 proc. ich skąpego budżetu. Trudny klimat oraz niełatwy dostęp zniechęcają jednak inwestorów i powodują, że turystyka jest mało stabilna.

Nie wszyscy jednak **Apaczowie** — jedno z najbardziej niespokojnych plemion wojowniczych w ubiegłym stuleciu — znajdują się w smutnej sytuacji Jacarillasów. **Mescalores** — niegdyś cieszący się złą sławą — żyją zupełnie dobrze, nieco na południe, wokół miasteczka noszącego nazwę plemienia, gospodarując chytrze swoimi dużymi zasobami drewna budowlanego, stacją narciarską w Sierra-Blanca i Inn of the Mountain God (Oberżą Boskiej Góry) — luksusowym zespołem turystycznym, który olśniewa bogaczy z Teksasu.

Taos w górach Santa-Fe jest równocześnie miejscowością urlopową, kolonią artystyczną i miejscem, gdzie znajduje się jedna z najbardziej fotogenicznych pueblo (wieś indiańska). **Indianie Pueblo,** w przeciwieństwie do wędrowców z równin, byli już drobnymi rolnikami osiadłymi, kiedy Hiszpanie najechali w XVI wieku tereny, stanowiące obecnie Nowy Meksyk i Arizonę. Dziś istnieje 21 pueblos indiańskich liczących około 40 tys. ludzi zjednoczonych systemem kulturalnym i społecznym, lecz rozdzielonych przez 5 trudnych języków.

DAVID EISENBERG — PRZYSZŁY ADWOKAT

Taosom udało się odzyskać znaczną część ziem swoich przodków — Jezioro Błękitne i las, które są dla nich święte. Podobnie jednak jak w większości przypadków, rząd federalny uczynił zadość ich żądaniom pod warunkiem, że na restytuowanych obszarach nie będą prowadzić żadnej działalności handlowej. Taosowie nie mają żadnych ciągot do handlu, jak nam wyjaśnia jeden z ich rzeczników David Eisenberg, 27-letni dryblas w dżinsach z włosami do ramion. Mimo swojego nazwiska David Eisenberg uważany jest za Indianina — jego ojciec, Żyd niemiecki, poszedł co prawda do służby w lotnictwie amerykańskim, lecz jego matka była urodzoną w Taos, zaś David został wychowany przez swoich dziadków w pueblo. Mówiący **językiem Taosów,** nazywanym Tiwa, wtajemniczony w tańce i tradycje plemienne, chce zostać adwokatem i być łącznikiem między dwoma światami — indiańskim i anglosaskim. Oskarżając **Biuro Spraw Indiańskich** o paternalizm, uważa za wroga publicznego Jamesa Watta, ministra spraw wewnętrznych, który oświadczył ostatnio, że marazm plemion indiańskich jest najlepszym potępieniem socjalizmu, nie wierzy jednak w powrót wojowniczości indiańskiej w ciągu 15 lat.

— Wojownicy byli ludźmi z miast i ich sposób myślenia oraz działania był obcy Indianom z plemion. Właśnie dlatego ich ruch nie znalazł prawdziwego oddźwięku — twierdzi James Watt.

Czy wojowniczość ta umarła raz na zawsze? Nie, jeśli zakwestionuje się prawa do połowów, polowań i swobodnego korzystania z wód przez plemiona. Doszło już do wielu incydentów na północnym zachodzie Stanów Zjednoczonych między Indianami i rybakami łowiącymi łososie. Wysuszony południowy wschód patrzy coraz natarczywiej na jeziora i strumienie rezerwatów indiańskich w górach. Przyszły adwokat, David Eisenberg, poświęci się właśnie obronie interesów rezerwatów przeciwko zachłannym towarzystwom górniczym.

CZY POTRAFIĄ BYĆ SAMODZIELNI?

Rezerwaty muszą jednak zarobić na życie. Trzeba już nie tylko adwokatów, ale i lekarzy, inżynierów, geologów, którzy mogliby pomóc Indianom pewnego dnia w samodzielnej eksploatacji swoich bogactw. Powinni się nauczyć — teraz, kiedy ich prawa do ziemi są, jak się wydaje, zapewnione — inwestować, a nie tylko rozdzielać co miesiąc czek nadsyłany z tytułu przekazania prawa do eksploatacji bogactw, jak robią to niektóre plemiona. Niestety, niesnaski plemienne trwają i dlatego cudowne dywany **Navajów,** wspaniała biżuteria **Hopisów** i **Zunisów,** eleganckie wyroby garncarskie **Jemezów** sprzedawane po cenach złota w magazynach nie przynoszą prawie żadnych zysków plemionom, którym nigdy nie udało się stworzyć kooperatyw rzemieślniczych. Trzeba wreszcie, żeby powstało prawdziwe **lobby indiańskie w Kongresie w Waszyngtonie.** O reprezentację interesów „etnicznego" okręgu wyborczego, posiadającego zaledwie 1,3 mln obywateli, walczy wiele organizacji.

Czy rezerwaty są wobec tego skazane na wieczną pomoc, na lokalne bezrobocie, które obejmuje trzy czwarte ludności w wieku produkcyjnym, wyniszczonej przez alkohol, na trwanie dzięki nędznym zasiłkom dla bezrobotnych i anemicznej pomocy socjalnej? Tu właśnie tkwi niebezpieczeństwo w świecie Ronalda Reagana. Tym bardziej, że indiańskie bogactwa naturalne nieustannie budzą pożądanie.

(„LE MONDE DIMANCHE")